

Prof. Andrzej Romanowski
Stomma, czyli mądrość
zwyciężonych

Małgorzata Żuber-Zielicz
Wielka ucieczka nauczycieli

Skazani na dwutlenek węgla

Jeziora pogrodzone płotami



GORBACZOW A SPRAWA POLSKA

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311201



Jesienne Targi Książki

15-18 września 2022

Arkady Kubickiego oraz Ogrody
Zamku Królewskiego
Warszawa



Organizator



Mecenas wydarzenia



Patronat honorowy



PREZYDENT
MIASTA STOŁECZNEGO
WARSZAWY



Współpraca redakcyjna



Patronat medialny



eprasa.pl 2113e1012



Zasługuje na pomnik

„Michaił, Michaił, ty postroisz nowy mir”, śpiewał Andrzej Rosiewicz w czasie kilkudniowej wizyty Gorbaczowa w Polsce. Moje pokolenie pamięta entuzjazm Polaków, który towarzyszył rosyjskiemu przywódcy w lipcu 1988 r. Na każdym kroku. Trzydzieści kilka lat temu zobaczyliśmy polityka skrojonego jak na dzisiejsze czasy. Charyzmatycznego. Zachowującego się w sposób bardzo naturalny. Człowieka budzącego sympatię. I, używając obecnego języka, polityka mającego niezwykle talent medialny.

A do tego pełniącego funkcję sekretarza generalnego KPZR. Takiego genseka jeszcze w ZSRR nie było. Wyróżniał się tak bardzo, że świat ogarnęła gorbimania. Mimo że konkurencję miał nielichą. Zawodowego aktora Reagana, Mitteranda, Thatcher i Kohla.

Żyjemy w czasach, gdy w polityce najważniejszy jest obraz. Umiejętność czarowania widzów. Gorbaczow to miał. Ale na szczęście miał też dużo, dużo więcej. Był mężem stanu w całym tego słowa znaczeniu. Zmienił świat tak bardzo, że do dziś wielu odcina kupony od tego, co zaczął. A najważniejsze w tym, co dla świata zrobił, było moim zdaniem zastopowanie wyścigu zbrojeń. Ludzkość dostała szansę, by miliardy dolarów trafiły na mądrzejsze cele. Długo to, niestety, nie trwało. Zaczął się nowy, obłądny wyścig. Z naszym udziałem. Polska planuje wydać na broń ponad 500 mld zł.

Za sprawą Gorbaczowa zmienił się cały świat. Dla nas oczywiście ważne jest to, co stało się z Polską. Gorbaczow otworzył nam okienko historii. I na szczęście miał wtedy kto z tego skorzystać. W takich przełomowych momentach liczą się mądrość polityków i roztropność narodów. U nas gen. Jaruzelski jako główny architekt zmian potrafił wykorzystać szansę, jaka pojawiła się na Wschodzie. Mogliśmy poprzez Okrągły Stół odmienić Polskę, bo liderzy ówczesnej opozycji i Kościół, za oczywistą aprobatą papieża Jana Pawła II, zagrali wspólnie. I skutecznie. Krótki moment narodowej mądrości później już się nie powtórzył. Czy bez Gorbaczowa byłyby możliwe Okrągły Stół, zjednoczenie Niemiec, zmiany w Europie Środkowo-Wschodniej?

Moim zdaniem wschodnie imperium mogło jeszcze trwać i trwać. Z tymi wszystkimi problemami, które Gorbaczow chciał reformować, na czym politycznie poległ.

Reakcja prawicowych polityków i większości mediów w Polsce po śmierci Gorbaczowa pokazuje, jak trudno liczyć nie tylko na sprawiedliwą ocenę, ale nawet na zrozumienie, że jemu zawdzięczają to, że mogą pleść te swoje brednie.

Historia znowu zatoczy koło i przyjdą takie czasy, że Gorbaczow będzie miał w Polsce pomniki i place.

BAKOWSKI



**PREZENT
DLA CZYTELNIKÓW!**

**e-booki PRZEGLĄDU
już od 9,90 zł**



**czytasz TANIEJ
wiesz WIĘCEJ**

**PRZEDŁUŻAMY PROMOCJĘ
DO 30 WRZEŚNIA**

Zamów na sklep.tygodnikprzeгляд.pl

W NUMERZE

SYLWETKI

- 8 Gorbaczow a sprawa polska**
Jak budowano wspólny europejski dom

KRAJ

- 13 Na pełnym gazie**
Do czego potrzebujemy dwutlenku węgla
- 16 Wolność, Tomku, w swoim domku,**
czyli uwieszone jezioro
- 20 Ile dywizji ma Warszawa?**
To USA wymusiły rezygnację
Macierewicza

OPINIE

- 23 Paweł Dybicz**
Deklaracje guzik warte
- 24 Piotr Kimla**
„Silni, zwarci, gotowi”,
czyli zbiorową otumanienie Polaków
- 26 Małgorzata Żuber-Zielicz**
Komu i dlaczego zagraża prof. Wakat
- 38 Andrzej Romanowski**
Mądrość zwyciężonych

ZAGRANICA

- 30 Rok w Islamskim Emiracie Afganistanu**
– rozmowa z Jagodą Grondecką
- 34 Republika wiecznego kryzysu**
Problemy Argentyny

HISTORIA

- 44 Pod młotek pójdzie wszystko**
Wspomnienia ze zjazdu Solidarności

ZDROWIE

- 46 Depresja w masce**
– rozmowa z dr. Piotrem Toczyskim

OBSERWACJE

- 49 Ciało**
Sprzątanie po zmarłym

KULTURA

- 52 Garnitur gości**
Bywalczy Domu Literatów na Krupniczej
- 56 Kulturalia**
- 66 Ziemia**

ZWIERZĘTA

- 58 Zagrożone i chronione zdobią ścianę**
Zabijanie dla trofeów

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Zasługuje na pomnik
- 19 Roman Kurkiewicz**
Ukraińska podręcznikowa doktryna szoku
- 37 Tomasz Jastrun**
Otwarte i zamknięte głowy
- 43 Wojciech Kuczok**
Nowa męskość, nowe ławki
- 55 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Kawa z dna

30

ZAGRANICA

ROK W ISLAMSKIM EMIRACIE AFGANISTANU

– rozmowa
z Jagodą Grondecką



46

ZDROWIE

DEPRESJA W MASCE

– rozmowa
z dr. Piotrem Toczyskim



58

ZWIERZĘTA

ZAGROŻONE I CHRONIONE ZDOBIĄ ŚCIANĘ

Zabijanie dla trofeów

Projekt okładki: Ed Mund

FOT. WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS



✉ Czego życzyć nauczycielom i uczniom w rozpoczynającym się roku szkolnym?

Niech każdy uczeń czuje się jak u siebie, żeby miał swobodę i świadomość, że jest ważny. Nie tworzymy tego społecznego getta, które zaplanował Przemysław Czarnek. Nauczycielom życzę godnej płacy i ministra, który będzie swoje stanowisko sprawował, a nie zajmował – człowieka kompetentnego i samodzielnego, z otwartą głową i z klasą, a nie z partią i Kościołem u boku. Życzę też odwagi i umiejętności stworzenia takiego miejsca, bo to nauczyciele z uczniami i rodzicami wspólnie tworzą szkoły. Niech więc będą partnerami i przewodnikami. Wychowawcom życzę efektywnego wykorzystania godzin wychowawczych poświęconych edukacji antydyskryminacyjnej i ochronie praw mniejszości, partycypacji obywateli, pedagogice krytycznej. A dyrektorom życzę powodzenia w podejmowaniu odważnych decyzji w obliczu zmian w roku szkolnym. Wszystkim życzę więc szkoły bez: polityki, partyjnych wpływów, homofobii i fanatyzmu religijnego.

Beata Molik, nauczycielka i dyrektorka jednej ze stołecznych szkół dla cudzoziemców

Uczniom życzę wyrozumiałych nauczycieli i braku przymusu korzystania z podręcznika pana Roszkowskiego. Uczniowie powinni też dbać o swoje zdrowie psychiczne. Nauczycielom życzę wyższych płac i dużo cierpliwości do wytycznych z Ministerstwa Edukacji, a najlepiej braku nacisków z jego strony.

Maciej Rauhut, uczeń, 16-letni aktywista z Krapkowiec

Życzyć trzeba przede wszystkim nauki i roku szkolnego pomyslnych dla obu stron – siły, pasji i powołania nauczycielom,

aby mogli rzetelnie nauczać młode pokolenie, a ponadto – przestrzegania prawa, dbania o prawa ucznia, które dla nauczycieli powinny być tak samo ważne jak dla uczniów. Uczeń traktowany sprawiedliwie będzie mógł się spokojnie rozwijać. Uczniom trzeba życzyć wytrwałości, aby nie podporządkowywali się kategorycznie szkole i nauczycielom, a żeby rozwijali się i uczyli, byli ciekawi oraz aby tę ciekawość wykorzystywali.

Obu stronom trzeba życzyć wytrwałości w stosunku do działań niektórych organów, nauczycielom rzetelnego doboru podręczników, a uczniom sprawdzania i udoskonalania swojej wiedzy, a także nietraktowania wszystkiego jako pewnik.

Jan Pieniążek, Stowarzyszenie Umarłych Statutów, student prawa



Syty głodnego nie nakarmi

Czytam, że w Anglii 1,5 mln dzieci korzysta z darmowych obiadów w szkołach. W Polsce za czasów PO i Tuska było 800 tys. niedożywionych dzieci. Jak pomyślę, że te cwaniaki miałyby wrócić do władzy, to ręce opadają. Bieda nigdy rządów solidarnościowych nie interesowała. I nikt Solidarności nie rozliczył za tę społeczną katastrofę.



Paweł Maćkowski

Pamiętam, jak 20% wyrzucili na bezrobocie bez mrugnienia okiem, a pół miliona pracowników PGR jednym podpisem pozbawili środków do życia i przyszłości. A potem „Wyborcza” obwiniała tych ludzi za ich zmarnowane życie. Jak jeden Aleksander Małachowski próbował zainteresować problemem katastrofy społecznej, którą stworzyli, to się z niego wyśmiewali.

Zdzisław Nowak

ZDJĘCIE TYGODNIA

W kwietniu 2021 r. na konferencji prasowej Mateusz Morawiecki obiecywał Polsce 770 mld zł. Gdzie te pieniądze, panie premierze?



W sierpniu inflacja pobiła kolejny rekord i wyniosła **16,1%**.

Na **6 bilionów 220 miliardów 609 milionów złotych** politycy rządzącej prawicy oszacowali straty, jakie nasz kraj poniósł podczas II wojny światowej w wyniku agresji i okupacji niemieckiej.

Zmarł **Tadeusz Ferenc**, prezydent Rzeszowa w latach 2002-2021. Wybitny samorządowiec, który zrobił z tego miasta przyjazną mieszkańcom, dynamicznie rozwijającą się metropolię. Wspaniały gospodarz o lewicowych poglądach. Od 1964 r. do rozwiązania partii należał do PZPR, a później do Socjaldemokracji Rzeczypospolitej i SLD.

Zmarł **Ignacy Golik**, wieloletni dziennikarz „Trybuny Ludu” i „Expressu Wieczornego”. Szanowany i lubiany przez kilka pokoleń dziennikarzy. Najstarszy członek Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej, 19 stycznia obchodził 100. urodziny.

Wirtualna Polska, wydawca Pudelka, musi przeprosić naszego autora Jakuba Dymka. Sąd Okręgowy w Warszawie na mocy podpisanej ugody zobowiązał ją do przeproszenia Jakuba Dymka na stronie głównej i wypłacenia odszkodowania za krzywdę spowodowaną publikacją pomówień o gwałt i molestowanie seksualne jesienią 2017 r. Gorzka jest ta sprawiedliwość po pięciu latach. Zobaczmy, czy te media, które Dymka zajadłe atakowały, napiszą o wyroku.

Gdzie są dopłaty dla rolników do nawozów? Sierpień się skończył, a setki tysięcy rolników mimo zakłęg i obietnic nie dostało ani grosza. Wicepremier **Henryk Kowalczyk** to pisowski Sabata.

Może też był zajęty ślubem swojego zastępcy **Norberta Kaczmarczyka**?

Fundacja Grand Press wręczyła Medale Wolności Słowa. W kategorii Obywatel medal otrzymała **Katarzyna Wappa**, która „zachowała się tak jak trzeba w obliczu kryzysu na granicy polsko-białoruskiej”, w kategorii Instytucja – sędzia **Igor Tuleya**, w kategorii Media – **Piotr Jacoń** (TVN 24).

Żołnierzyki z partii Ziobry to grupa wyspecjalizowana w produkcji afer. Po kompromitacji **Jacka Ozdoby** nad Odrą wiceminister rolnictwa **Norbert Kaczmarczyk** przedstawił kilka sprzecznych wersji historii z traktorem marki John Deere za 1,5 mln zł w roli głównej. Wesele urządził sobie w obiekcie, którego właściciel dostał 372 tys. zł z Funduszu Sprawiedliwości (tego od Ziobry).

Nagrodę Literacką Gdynia otrzymali: **Justyna Kulikowska** za tom „gift. z Podlasia”, **Agnieszka Gajewska** za biografię Lema „Wypędzony z Wysokiego Zamku”, **Krzysztof Bartnicki** za „Myśliwice, Myśliwice” i **Maciej Świerkocki** za przekład „Ulissesa” Joyce’a.

W pierwszym miesiącu obowiązywania tzw. wakacji kredytowych skorzystało już z nich 44% uprawnionych. Czyli 876 tys. posiadających kredyty o wartości 228 mld zł.

Andrzej Barański otrzymał **Nagrodę im. Stefana Treugutta** za reżyserię spektaklu „Badyle” według Tadeusza Różewicza. Nagrodą specjalną **Klubu Krytyki Teatralnej Stowarzyszenia Dziennikarzy RP** wyróżniono **Romek Gąsiorowską** za osiągnięcia aktorskie w spektaklu „Tamta twarz”.

PRZEBŁYSKI

Elitarny ród Kempów

Nie po to Beata Kempa męczy się za euro w Brukseli, żeby mąż i syn nie mieli rozrywki. Najlepiej takiej, która potwierdzi, że są już w tej wymarzonej nowej elicie. Długo nie szukała. Jest przecież Paweł Lisiak, którego Michał Woś, kumpel Kempy z Solidarnej Polski, powołał na łowczego krajowego. Lisiak kieruje Polskim Związkiem Łowieckim, a rodzina Kempy poluje sobie za darmo w ośrodkach hodowli zwierząt. Lisiak to modelowy ziobrysta: zero kwalifikacji, góra tupetu. Aktualnie procesuje się z firmą, którą kieruje. Bo Polski Związek Łowiecki zwolnił go dyscyplinarnie.



Niezależni Jagiellończycy

Jarosław Gowin nie ma szczęścia do ludzi. Albo ma, tyle że połowicznie. Wyszukuje młodych, utalentowanych konserwatystów, załatwia im posady i kasę. A oni? Traktują go jak autostopowicze podwózkę. Gowin zrobił swoje – i mu dziękujemy. Tak było z politykami partii, którą założył. I tak jest z Klubem Jagiellońskim. Młodzi poszli za władzą. Krzysztof Mazur, były prezes klubu, poszedł na współpracę do Dudy i na wiceministra, a obecny, Piotr Trudnowski, do Morawieckiego i Głińskiego. Wspierają władzę jako „niezależni eksperci”.

Kowalski ponad niebiosa

Co robią politycy Solidarnej Polski, jak im się zaczęło palić poniżej pleców? Poseł Janusz Kowalski, przez otoczenie zwany tumankiem, ratunek widzi w Maryi Dziewicy. Ale dlaczego na Facebooku Kowalski tak głupio się chichra? A na dodatek jest większy od Matki Boskiej?



Czarny humor

Węgla, naszego czarnego złota, nie ma. Ale coś czarnego jest. I sporo tego. W elektrowniach, a jakże. Gdzie spojrzeć, tam kolejny dowód czarnego humoru władzy. W elektrowni Bełchatów rządzi chrześniak posta PiS Marka Matuszewskiego, były radny powiatu zgierskiego Michał Banaszczyk. Zespołem elektrowni Dolna Odra zarządza architekt, były działacz Ligi Polskich Rodzin, były europoseł Sylwester Chruszcz. Na elektrownię Ostrołęka rzucono zootechnika Pawła Cieckę. A na elektrownię Opolo polonistę i dziennikarza katolickiego radia Mirosława Pietruchę. I tak dalej. Widać, że partia ma zasoby. Sięgnęła po najlepszych. Frontem do kumpli. I rodzin.



PYTANIE TYGODNIA | Jak polskie szkoły są przygotowane na przyjęcie ukraińskich dzieci?

KALINA CZWARNÓG,

Fundacja Ocalenie

Myślę, że nie najlepiej. Polski system edukacji nie jest bowiem przygotowany na żadną „inność”, a więc również na dzieci, które nie mówią po polsku (albo mówią bardzo słabo), są przyzwyczajone do innych sposobów nauczania albo przeszły traumę. W związku z tym obawiamy się, że oświatę czeka kolejny kryzys. Sporo sensu mają oddziały przygotowawcze, ale to rozwiązanie zostało wprowadzone niedawno i jeszcze nie okrzepło, a przede wszystkim takich oddziałów jest na razie niewiele. Istotnym problemem systemowym jest ponadto kwestia dzieci, które powinny iść do szkoły średniej. Ponieważ nie ma rejonizacji, każdy dyrektor i każda dyrektorka może powiedzieć, że danego ucznia nie przyjmie.

MARTA SZYMCZYK,

autorka strony [Niesablonowa pedagogka](#)

Niestety wcale. Nie zostało zwiększone finansowanie szkół, mamy największy od lat kryzys zawodu nauczyciela (wielu odchodzi, na stronach kuratoriów pojawia się mnóstwo ofert pracy), w dalszym ciągu nie ma zatrudnionej specjalistycznej kadry, w tym edukatorów i edukatorek międzykulturowych, a bariera językowa nadal stanowi poważny problem. Dodatkowo liczba dzieci w klasach jest zwiększana do granic możliwości. Mogłabym wyliczać te nierozwiązane kwestie bardzo długo. Ministerstwo

nie zdało tego egzaminu, choć było sporo czasu na wprowadzenie niezbędnych rozwiązań prawnych oraz poważne dofinansowanie oświaty, m.in. na ten cel.

MAREK PLEŚNIAR,

Ogólnopolskie Stowarzyszenie Kadry Kierowniczej Oświaty

Jak zwykle, czyli dajemy radę. Ukraińskie dzieci zagęściły plan lekcji i same na tym ucierpią – słyszałem o przypadkach, kiedy lekcja polskiego jest dla nich dziewiątą godziną zajęć danego dnia. Nie jest to jednak problem, który nas przytłacza. Dzieci uchodźcze przychodzą do szkoły, która ma swoje bolączki, ale w przypadku przeciętnej placówki średniej wielkości w mieście mówimy o zaledwie kilku lub kilkunastu dodatkowych uczniach, i to w różnym wieku. Nasze główne zmartwienia są zupełnie inne – mam na myśli zwłaszcza brak nauczycieli – i dotyczą edukacji wszystkich uczniów.

FRANEK VETULANI,

czytelnik PRZEGŁĄDU

Nie są przygotowane nawet na przyjęcie polskich dzieci, bo w wielu szkołach są braki kadrowe. A ile osób w kadrze nauczycielskiej mówi po rosyjsku i ukraińsku? Czy rząd zrobił cokolwiek, by pomóc nauczycielom poszerzyć kompetencje w tym zakresie?

Więcej o ucieczce nauczycieli – s. 26

GORBACZOW a sprawa polska

Jaruzelski miał obietnicę Gorbaczowa, że ZSRR nie będzie w Polsce interweniował

Robert Walenciak

Zdjęcie często więcej mówi niż tysiąc słów. Ze zdjęć Gorbaczowa najbardziej utkwiło mi w pamięci to z żoną Raisą, z Nicei. Są lata 70., on jest działaczem średniego szczebla, ona robi karierę w instytucie naukowym. Przechadzają się nicejskimi bulwarami, on w chroniącej od słońca czapeczce, ona w sukience. Uśmiechnięci, zadowoleni.

Są częścią pokolenia tych elit z Europy Wschodniej, którym coraz bardziej doskwiera realny socjalizm, jego zapóźnienie. Na tle Nicei, bogatego, dobrze zorganizowanego Zachodu, było to szczególnie widoczne. I szczególnie bolesne.

Jak ten dystans nadrobić? To był główny motyw działań Gorbaczowa. Zachód mu się podobał. Był w tym odosobniony. W elitach ZSRR podobnie myślących było wielu. Coś przecież wyniosło go do władzy.

Zdjęcie Gorbaczowów... Przeglądam zdjęcia Władimira Putina. Na koniu, z odsłoniętym torsem. W jednostce wojskowej. Nurkujący z akwalingiem... Oto dwie twarze Rosji.

Wiele wiosna ze wschodu

Tą pierwszą, uosabianą przez Gorbaczowa, Polska była zauroczona. Rzecz dziś niepojęta – w lipcu 1988 r. był u nas z sześciodniową wizytą. Towarzyszyły mu entuzjastyczne tłumy. Lepšie przywitanie miał tylko Jan Paweł II. Jeśli ktoś nie wierzy – proszę przejrzeć archiwalne zdjęcia i taśmy.

Gorbaczow był w Sejmie. Spacerował po krakowskim rynku. Na Wawelu Andrzej Rosiewicz śpiewał mu: „Wiele wiosna ze wschodu” i „Michaił, Michaił, ty postroisz nowy mir”. Na Zamku Królewskim w Warszawie miał spotkanie z ludźmi kultury i intelektualistami. Z Polski i ZSRR. Wspólne. „Co z doktryną Breżniewa?”, pytał go Marcin Król, a on płatał się w odpowiedzi. Choć wcześniej, na wewnętrznych spotkaniach, zdążył ogłosić jej śmierć. Widocznie w rachubach Kremla było jeszcze za wcześnie, by otwarcie mówić o takich rzeczach. Zamiast tego podkreślał konieczność burzenia tego, co stare, i deklarował, że światowy socjalizm wszedł na drogę przemian. Że pierestrojka, głośność itd. Dla tych, którzy znali tamten język polityki, to były decydujące deklaracje. A czy zaskakujące?

**Gorbaczow pogodził się z przegraną w zimnej wojnie.
Jego celem było znormalizowanie stosunków z Zachodem.**

Na pewno nie dla Jaruzelskiego, który uważnie analizował działania Gorbaczowa od pierwszych dni. Ale to nie znaczy, że wizyta przywódcy ZSRR niczego nie zmieniła. Przeciwnie! Mówił mi o tym Andrzej Gdula: „Gorbaczow już wyjechał, Jaruzelski wezwał mnie i Czyrka: »Słuchajcie, siadźcie, pracujcie nad tym, trzeba znaleźć formułę«. Jeszcze nie było pomysłu Okrągłego Stołu, szukaliśmy inaczej, padała nazwa paktu antykrzysowego... Na innych stołach pracowali inni”.

Lipcowa wizyta Gorbaczowa przyspieszyła działania. Jaruzelski miał jego obietnicę, że ZSRR nie będzie w Polsce interweniował. Oceniał również, że radziecki przywódca jest wystarczająco silny, że na Kremlu nikt jego władzy nie zagraża. I przekonał się, widząc na własne oczy polską gorbimanię, że Polacy chcą zmian.

Zaczęło się w Lizbonie

Jako pierwszy z polskiego kierownictwa Gorbaczowa poznał Józef Czyrek. Było to w Lizbonie, w roku 1984, przy okazji zjazdu Portugalskiej Partii Komunistycznej. „Zwracał na siebie uwagę – opowiadał mi Czyrek. – Elegancko ubrany pan, nowoczesny w zachowaniu, nie taki generał-gubernator. Zaprosił nas na obiad do swojej rezydencji, był to mały hotelik,

który wynajęto dla delegacji radzieckiej. A jak zaczął opowiadać te dowcipy, które znaliśmy jako Radio Erewań, to boki zrywać... Widać było, że on do tej polityki, tego kierownictwa i tych rozwiązań bardzo krytycznie się odnosi. Innymi słowy, że będzie szukać wyjścia z tamtej sytuacji. Gdy już się zegnaliśmy, to rzucił: »Jak będziecie w Moskwie, zajrzyjcie do mnie, pogadamy«. On był już wtedy sekretarzem ds. międzynarodowych. Szedł do góry, cały czas pilotowany przez Andropowa. To był jego człowiek”.



Spotkanie sekretarza generalnego KPZR Michaila Gorbaczowa z mieszkańcami Warszawy, 11 lipca 1988 r.

Kolejne spotkanie nastąpiło już w Moskwie. Sekretarzem generalnym KPZR był w tym czasie Konstantin Czernienko, a Gorbaczow był sekretarzem ds. międzynarodowych. Dopiero wchodził do ścisłego kierownictwa. I mówił bez ogródek. „Wkroczyliśmy w fazę stagnacji – informował Czyrka. – A co to oznacza, jeżeli państwo, naród wchodzi w taki degresywny stan? To znaczy, że grozi mu głęboka zapaść, głęboki kryzys. Nie możemy do tego dopuścić, musimy szukać dróg wyjścia. I w tym kierunku będziemy działali, i bądzcie przygotowani, że nie wasze kłopoty będą dla nas najważniejsze, ale będziemy musieli się zająć naszymi wewnętrznymi sprawami”.

Czyrek zapamiętał też takie jego słowa: „Nie wytrzymamy narzuconego nam tempa zbrojeń. Będziemy przegrywać, układ sił będzie się zmieniał. I będą rosły różnego rodzaju zagrożenia na arenie międzynarodowej, łącznie z działaniami desperackimi, że jak nie będzie innego wyjścia, to trzeba będzie nacisnąć guzik! Musimy więc, zanim ten etap nastąpi, dokonać takich zmian w stosunkach międzynarodowych, żeby płaszczyzna

działania jastrzębi nie trafiała na podatny grunt. Będziemy musieli znieść główne napięcia na arenie międzynarodowej. Innymi słowy, odejść od podziału świata na dwa bloki. Trzeba dążyć do ustanowienia nowego ładu międzynarodowego”.

Na Czyrku te słowa zrobiły wielkie wrażenie. Były znakiem, że w kierownictwie ZSRR dochodzą do głosu nowi ludzie i są gotowi na wielki zwrot. Taki, który będzie dotyczył i Polski. Po powrocie do Warszawy zreferował tę rozmowę Jaruzelskiemu.

„Dokładnie mu ją zreferowałem – podkreślał. – Powiedział: »A to ciekawe...«. I polecił mi zaproszenie Gorbaczowa do Warszawy. Ale zanim to się zmaterializowało, umarł Czernienko”.

Rozmowa trwała pięć godzin

Jego następcą w marcu 1985 r. został Michail Gorbaczow. Po epoce starców władzę w imperium przejął pięćdziesięcioparolatek. Miesiąc po wyborze, w kwietniu 1985 r., Gorbaczow przyleciał do Warszawy na posiedzenie Doradczego Komitetu Politycznego Państw-Stron Układu

Warszawskiego. I już na wejściu ogłosił, że odtąd w Układzie Warszawskim obowiązywać będą równoprawne stosunki. To był wstęp do odejścia od doktryny Breżniewa. Dla wielu delegacji te słowa były pewnie zaskoczeniem. Ale nie dla Polaków.

Po naradzie Jaruzelski poprosił Gorbaczowa o osobistą rozmowę. Gość nie miał specjalnie na to ochoty, ostatecznie uległ – dodając, że tę godzinkę poświęci.

Rozmowa trwała pięć godzin. Jaruzelski był do niej przygotowany, wiedział, czego chce. Opowiadał zresztą później, że „chyba zaimponował Gorbaczowowi wiedzą”. W każdym razie lody szybko zostały przełamane. Generał, wspominając tamto spotkanie, nie omieszkiał zaznaczyć, że rozmawiało im się świetnie, „tak jakby znali się od dawna”.

O chemii między Gorbaczowem i Jaruzelskim mówią ówcześni współpracownicy Generała. Stanisław Ciosek: „Rozumieli się znakomicie. Pamiętam posiedzenie Biura Politycznego, Jaruzelski referował nam swoje kolejne rozmowy z Gorbaczowem, referował je dokładnie, czytał z takiego wojskowego zeszytu, w którym ▶

► najwidoczniej zanotował przebieg rozmowy. Kwintesencja była taka: wiele godzin rozmawialiśmy. I doszliśmy do wniosku, że ten pluralizm to nie jest taki zły system”.

Z kolei sam Jaruzelski opowiadał mi, że Gorbaczow podczas spotkań pytał go wielokrotnie o sprawy wojskowe. Co zrobić, by obniżyć poziom militarnego napięcia w świecie? Jak odpowiadać na żądania radzieckich marszałków? Tłumaczył zatem, że broni atomowej jest tyle, że wystarczy, by świat zniszczyć dziesięć razy.

imperium program zmian. Najpierw było uskorień, potem pierestrojka, potem – głośność. Ratowanie socjalizmu polegało więc nie na dokręcaniu śruby, lecz – przeciwnie – na założeniu, że ma być więcej wolności i demokracji.

„Miałem okazję rozmawiać z Gorbaczowem wiele godzin, jak już nie był prezydentem – opowiadał mi Stanisław Ciosek. – Pytałem go, po co mu to było. A on odpowiadał, że musiał. Że trzeba było rozwalić stare. Zwłaszcza że to stare już nie działało!

zderzyć z inercją aparatu. Z oporem. Nomenklatura w ZSRR liczyła – bagaż – 20 mln ludzi. Zresztą to zderzenie było i wewnątrz ZSRR, i na skraju imperium, w państwach Układu Warszawskiego.

Nastąpiło więc pęknięcie. Podział na tych, którzy w zmianach, w pierestrojce i głośności dostrzegali szansę, i na tych, którzy byli przeciw zmianom. To pęknięcie było nieoczywiste. Mieczysław Rakowski w „Dziennikach”, opisując m.in. czas przed X Zjazdem PZPR i swoje przejście

Wycofanie wojsk ZSRR zmieniało rzeczywistość – Europa nie potrzebowała już wojsk USA, mogła się wybić na niezależność.

I że dla marszałków nigdy dość wydatków na kolejne rodzaje broni.

O tym, że byli blisko, mówił również Gorbaczow. Poświęcił zresztą Jaruzelskiemu cały rozdział autobiografii „Życie i reformy”. Zatytułował go „Wojciech Jaruzelski – sojusznik i jednakowo myślący”.

Czas wielkiej zmiany

Po tej pierwszej rozmowie przyszły następne. Gorbaczow narzucił

Że chciał uczynić z ZSRR inną cywilizację, żeby wprowadzić tam zachodnie wartości. To był człowiek ulepiony z innej gliny. Nie miał w sobie nic z satrapy”.

A jeśli chodzi o państwa sojusznice? „Od razu powiedział, że będzie zmieniał i że Moskwa już nie będzie interweniowała w nasze sprawy – wyjaśniał Ciosek. – Nam to bardzo odpowiadało”.

Próbując zmienić tak wiele i tak szybko, Gorbaczow musiał się

z rządu do Sejmu (czyli faktyczną polityczną degradację), wspomina rozmowę z Jaruzelskim. Generał tłumaczył mu, że musi go odsunąć na boczny tor, ale – jak zanotował Rakowski – „rozводził się na temat zmian zachodzących w Rosji Gorbaczowa i faktycznie od nich uzależniał moją dalszą karierę”. Oto cały Jaruzelski – popierał, ale ostrożnie. Z bardziej odważnymi działaniami czekał, patrząc na sytuację w ZSRR.

Rzecz była prosta – zachęty Gorbaczowa, by szefowie państw Europy Środkowej działali samodzielnie, to jedno. By rozluźniali system – to drugie. Zapewnienia, że Moskwa nie będzie się wtrącać, że nie ma mowy

GDY MYŚLĘ GORBACZOW...

Jak zdecydowana większość światłej radzieckiej, rosyjskiej inteligencji Gorbaczow miał stosunek do Polski, do Polaków przyjazny i dobry. Wyczuwało się zainteresowanie naszą kulturą, obyczajowością. W tej materii życzliwym doradcą była niewątpliwie jego żona, Raisa Maksimowna. Miał też znaczenie fakt, że ojciec Gorbaczowa jako żołnierz Armii Radzieckiej walczył na terenach południowej Polski – był ranny, leczony w szpitalu w Krakowie. Dostrzegałem jego pozytywny głód wiedzy o Polsce, o naszych historyczno-mentalnych odrębnościach, w tym o roli Kościoła, o postaci papieża Jana Pawła II. Ale, co szczególnie ważne, w odróżnieniu od poprzedników nie utyskiwał, nie wskazywał, co w Polsce dzieje się niedobrze, sprzecznie z doktryną. Miał oczywiście różne pytania, ale najważniejsze było to, że odnosił się ze zrozumieniem do naszych ówczesnych zamierzeń, reform, rozwiązań. Po latach niejednokrotnie – w tym publicznie – podkreślał, że były one poligonem, laboratorium dla pierestrojki.

Wojciech Jaruzelski w rozmowie z Grzegorzem Sołtysiakiem „Gdy myślę Gorbaczow”, PRZEGLĄD nr 10/2006, 21.03.2006

I ZBURZYŁ TEN MUR

„Panie Gorbaczow, otwórz tę bramę! Panie Gorbaczow, zburz pan ten mur!”, wołał 12 czerwca 1987 r. pod Bramą Brandenburską prezydent USA Ronald Reagan w przemówieniu wygłoszonym z okazji obchodów 750-lecia Berlina. Wzywając Michaiła Gorbaczowa do zburzenia zbudowanego w 1961 r. muru berlińskiego – będącego symbolem podziału Europy i świata na dwa antagonistyczne bloki polityczno-militarne – Reagan dał do zrozumienia, że likwidacja muru zależy tylko od przywódcy ZSRR. Prawdopodobnie żaden z wiwatujących wtedy na cześć Reagana mieszkańców Berlina Zachodniego nie podejrzewał, że mur berliński – a wraz z nim tzw. blok wschodni – upadną już dwa lata później. (...)

Kilkanaście dni przed wystąpieniem Reagana w Berlinie Zachodnim, na przełomie maja i czerwca 1987 r., odbył się we wschodniej części Berlina, czyli w stolicy NRD, szczyt Układu Warszawskiego. Gorbaczow i minister spraw zagranicznych ZSRR Eduard Szewardnadze odbyli podczas tego szczytu rozmowę na osobności z przywódcą NRD. Zaskoczony Erich Honecker usłyszał od nich, że mur berliński stał się zbędny. Potwierdziło się to, czego Honecker obawiał się od dłuższego czasu i co zdążył już skrytykować – ZSRR obrał nowy kurs polityczny, zmierzający

o interwencji wojskowej w stylu Budapesztu czy Pragi – trzecie. Ale najważniejsze było co innego – czy Gorbaczow wytrwa w obietnicach i czy w ogóle wytrwa on sam.

„Myśmy się cały czas śmiertelnie bali, że zachoruje, że truciznę mu podadzą, że go zabiją!”, wspominał Ciosek. I te obawy były powszechne.

Manewr niemiecki

Myślenie Gorbaczowa i skupionych wokół niego reformatorów szło w dwóch kierunkach: zmian wewnętrznych i zmian w polityce międzynarodowej. Po to, żeby uprzeczyć nadchodzący krach ZSRR, żeby tak przebudować porządek międzynarodowy, by Moskwa wciąż odgrywała znaczącą rolę.

Zaczął więc wycofywać się ze spraw, które generowały koszty, były dla imperium obciążeniem, a korzyści nie przynosiły. Pierwszą kwestią było zakończenie wyścigu zbrojeń. Po co wydawać na kolejne rakiety, skoro już te, którymi Moskwa dysponuje, wystarczą

do kilkukrotnego zniszczenia Ziemi? Drugą – wycofanie się z Afganistanu. I z doktryny Breżniewa, co oznaczało w tamtym czasie wycofanie się z Europy Środkowej. Traktowane to było nie jako porażka, ale jako przystosowanie się do nowej

aby w tym świecie niepodzielnym na dwa rywalizujące bloki odzyskać możliwość manewru rosyjsko-niemieckiego w polityce światowej i europejskiej. To jest tradycja rosyjska. A żeby taką możliwość odzyskać, nie wystarczyło wyrazić zgodę ▶



Spotkanie Michaiła Gorbaczowa z papieżem Janem Pawłem II. Watykan, 1 grudnia 1989 r.

rzeczywistości. Jako budowa nowego układu sił.

„Gorbaczow pogodził się z przegraną w zimnej wojnie, chciał ustawić swój kraj w nowych warunkach na możliwie korzystnych pozycjach – wyjaśniał Andrzej Werblan w książce „Modzelewski-Werblan. Polska Ludowa”. – Jego celem było znormalizowanie stosunków z Zachodem. Ale żeby tak się stało, musiał zrezygnować z rywalizacji dwóch bloków, czyli z Jałty. Co więcej, jak wynika z pamiętników Szewardnadzego, od 1987 r. w najbliższym otoczeniu Gorbaczowa rozważano opcję możliwie szybkiej zgody na zjednoczenie Niemiec. Po to,

do otwierania się na Europę Zachodnią i przechodzenia od napięć zimnowojennych do partnerstwa.

Bohdan Piętko, „ZSRR a upadek muru berlińskiego”, PRZEGLĄD nr 47/2021, 15.11.2021

POWINNY STANĄĆ POMNIKI

Mało kto o tym pamięta, więc warto te prawdy przypominać: nie byłoby trzeciej niepodległości, gdyby nie Michaił Gorbaczow i gdyby nie Wojciech Jaruzelski, który zainicjował proces demokratyzacji PRL, dialogu z opozycją, a w rezultacie zmiany ustroju i budowy nowego państwa. Niestety, ani jeden, ani drugi nie mogą liczyć na sprawiedliwą pamięć potomnych. (...)

Swoją drogą to zdumiewające, jak szybko Polacy zapomnieli o tych przywódcach Związku Radzieckiego, którzy okazali się dla nas najbardziej przychylni, przyczyniając się nie tylko do odbudowy polskiej niepodległości, ale i do ujawnienia prawdy o krzywdach, jakich doznaliśmy od ich poprzedników, zwłaszcza o zbrodni katyńskiej. Gdyby nie absurdalne uprzedzenia, w Warszawie już dawno powinny zawisnąć tablice pamiątkowe (a może nawet stanąć pomniki) ku czci prezydentów Gorbaczowa i Jelcyna – ojców demokratycznej Rosji i zarazem faktycznych współtwórców III RP. Tymczasem w centrum Warszawy stoją

jedynie pomniki prezydentów Reagana i de Gaulle’a – postaci niewątpliwie mających wpływ na polskie dzieje, ale nie tak bezpośrednio jak przywódcy rosyjscy.

Paweł Siegieńczyk, „Lew(icow)cy czerwcowy”, PRZEGLĄD nr 24/2021, 7.06.2021

KATYŃ

„Prezydent Michaił Gorbaczow wręczył dzisiaj prezydentowi Wojciechowi Jaruzelskiemu kartony z dokumentami, które zdaniem radzieckiego przywódcy »pośrednio, lecz przekonująco« dowodzą, że to radziecka tajna policja zamordowała tysiące polskich oficerów w lesie katyńskim wiosną 1940 r.” – tak rozpoczynała się relacja dla „New York Timesa” 13 kwietnia 1990 r.

„Nie jest łatwo mówić o tej tragedii, ale jest to konieczne” – tak z kolei Gorbaczow zaczął swoje wystąpienie przed dziennikarzami z całego świata. W oficjalnym oświadczeniu, udostępnionym wcześniej przez agencję TASS, radzieckie władze wyraziły „ogromny żal za tragedię katyńską”. Przyznały, że egzekucja polskich oficerów należała do „jednych z największych zbrodni okresu stalinizmu”.

Krzysztof Wasilewski, „Niesłuchanie bolesny problem”, PRZEGLĄD nr 15/2020, 6.04.2020

na zjednoczenie Niemiec. Trzeba było dać Niemcom gwarancję bezpieczeństwa, polegającą na tym, że między nimi a ZSRR znajdą się państwa, które nie są satelitami Związku Radzieckiego, ale i nie są satelitami Niemiec”.

I dodawał: „Te państwa przestały przynosić Związkowi Radzieckiemu pożytek strategiczny. ZSRR, jako mocarstwo raketowo-nuklearne, stał się nietykalny, cały ten obóz, wianuszek państw wokół, stał się zatem niepotrzebny. Co więcej – trzeba było tam trzymać wojsko i za nie płacić. Gospodarczo ten wianuszek wasali stał się kosztownym obciążeniem. Trzeba im było dostarczać po preferencyjnej cenie ropę, którą lepiej byłoby sprzedawać na Zachodzie. Same kłopoty!”.

Wspólny europejski dom – to było hasło Gorbaczowa.

Co oznacza określenie manewr rosyjsko-niemiecki? 300 tys. radzieckich żołnierzy stacjonujących w NRD dzieliło Europę nie tylko na pół, ale i na strefy wpływów – radziecką i amerykańską. Wycofanie wojsk ZSRR zmieniło rzeczywistość – Europa nie potrzebowała już wojsk USA, mogła się wybić na niezależność. To też widzieliśmy – po roku 1990 Stany Zjednoczone systematycznie wycofywały żołnierzy z naszego kontynentu, redukowały swoją obecność.

Zjednoczenie Niemiec tworzyło z kolei duże państwo, które mogło być – tak jak było w przeszłości – znaczącym partnerem Rosji. To w czasach Gorbaczowa i w Moskwie, i w Bonn zbudowany został model

stosunków, który przez lata określał zachowania polityków nie tylko niemieckich, ale i europejskich. Że tworzy się gospodarcza symbioza – Rosja dostarcza Europie tanich surowców, a Europa rewanżuje się nowoczesnymi technologiami i inwestycjami. Dla obu stron to złote rozwiązanie. Wspólny europejski dom – to było hasło Gorbaczowa, przyjmowane ze zrozumieniem.

To wszystko rozsypało się 24 lutego.

Poligon Warszawa

A Polska? Polska w myśleniu Gorbaczowa miała być krajem bliskim, niezależnym i przyjaznym. O tyle łatwo mu było stawiać takie cele,

działać ostrożnie, bo beton – zarówno w ZSRR, jak i w Polsce – wciąż jest mocny. Dla Jaruzelskiego było zatem szczególnie ważne, że jego działania miały poparcie Gorbaczowa. Pamiętałem przecież rok 1981, gdy w Moskwie był Breżniew, a w Warszawie ambasada ZSRR organizowała oddanych socjalizmowi towarzyszy. Poparcie Gorbaczowa rozwiązywało Jaruzelskiemu ręce.

Z drugiej strony on też musiał działać ostrożnie, bo moskiewski beton krzyczał o wyprzedzi socjalizmu i o kontrewolucji. A gdyby zdobył władzę, wszystkie zmiany zostałyby zatrzymane, miał do tego wystarczająco dużo siły.

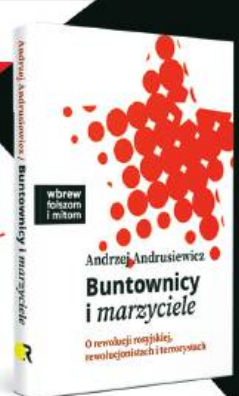
„Czuliśmy, że prowadzona jest operacja, pacjent leży na stole, a nad nami nie ma sufitu, tylko ktoś uważnie się przygląda – obrazowo opisywał czas Okrągłego Stołu Stanisław Ciosek, dodając: – Ani przez moment nie poculiśmy, by Moskwa do naszych działań się wtrącała. Oni tylko uważnie się przyglądali. Byliśmy dla nich jakby poligonem”.

Tak oto w roku 1988, 1989 Gorbaczow z Jaruzelskim szli ręką w rękę, to wspierając się, to wzajemnie się hamując. A w końcu można postawić tezę, że sukces Okrągłego Stołu, wybory 4 czerwca, później wybór Jaruzelskiego na prezydenta RP i Mazowieckiego na premiera zachęciły do kolejnych zmian. W Czechach, w NRD, w Bułgarii i Rumunii.

Bo nie jest tak, że nie było scenariuszy alternatywnych, że historia nie mogła się potoczyć inaczej. Mogła.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Książki w kontrze do IPN

BEZ UPROSZCZEŃ I KŁAMSTW

Polski książę budował potęgę ekonomiczną Królestwa Polskiego

~~41 zł~~ 31 zł

Rewolucja zrodzona z marzeń i buntu

~~41 zł~~ 51 zł

WYSYŁKA GRATIS

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

Marek Czarkowski

Nagle wstrzymanie produkcji nawozów sztucznych przez spółkę Anwil i Grupę Azoty poważnie zagroziło całej branży spożywczej w Polsce. Jako powód podano zbyt wysokie ceny gazu ziemnego, które sprawiły, że produkcja nawozów sztucznych oraz amoniaku i dwutlenku węgla stała się nieopłacalna. My zaś odkryliśmy, że dwutlenek węgla – produkt uboczny – jest niezbędny wytwórcom napojów gazowanych, zakładom mleczarskim, ubojniom, a jako suchy lód zapewnia możliwość bezpiecznego transportu żywności i leków w niskich temperaturach.

Wyszło na jaw, że jego zapasy zgromadzone przez polskie firmy wystarczą na góra dwa tygodnie, a potem półki sklepowe by opustoszały. Pod wielkim znakiem zapytania stało bezpieczeństwo żywnościowe kraju. Z powodu braków suchego lodu (to zestalony dwutlenek węgla) trzeba by wstrzymać dostawy do aptek i szpitali leków, szczepionek oraz preparatów, które powinny być transportowane i przechowywane w niskich temperaturach.

Dla rządu premiera Morawieckiego było to wielkim zaskoczeniem. Anwil i Grupa Azoty kontrolowane są przez skarb państwa i, jak się wydaje, nikt wcześniej nie ostrzegł premiera przed konsekwencjami tak daleko idących decyzji zarządów. Po kilkudniowym zamieszaniu obie firmy wznowiły produkcję, obawiam się, że bez względu na koszty, co odebrano jako realizację decyzji politycznej, która zapadła na szczytach władzy. Podobne zdarzenia miały miejsce w przeszłości, w innych europejskich krajach. O czym nasi ministrowie nie mieli zielonego pojęcia.

Paliwo, od którego wszystko zależy

Gaz ziemny stanowi źródło amoniaku, prostego związku chemicznego o dużych możliwościach. Jest on niezbędny w rolnictwie jako nawóz oraz w przemyśle zbrojeniowym do produkcji materiałów wybuchowych. Ma bardzo wiele zastosowań,



Suchy lód zapewnia możliwość bezpiecznego transportu żywności i leków w niskich temperaturach.

Na pełnym gazie

Uboczne efekty ograniczenia przez Gazprom dostaw gazu ziemnego do Europy okazały się groźniejsze, niż przypuszczano

poczynając od produkcji włókien sztucznych, na kosmetykach i oczyszczaniu spalin kończąc. Przez lata, dzięki dostawom taniego gazu z Rosji, Afryki Północnej oraz krajów Bliskiego Wschodu, europejski przemysł chemiczny mógł się rozwijać i utrzymywać koszty produkcji na niskim poziomie. Niestety, to już przeszłość.

W środę 24 sierpnia br. brytyjska spółka zależna amerykańskiego koncernu CF Fertilisers czasowo wstrzymała produkcję w swoim zakładzie w Billingham w północno-wschodniej Anglii i na Downing Street zrobiło się nieciekawie. Ministrowie rządu Jej Królewskiej Mości wiedzieli, że oznacza to kłopoty. Z gazu ziemnego bowiem obok amoniaku produkowany był w Billingham dwutlenek węgla, a spółka CF Fertilisers w 60% zaspokajała potrzeby brytyjskiego przemysłu na ten gaz.

Przy czym nie był to pierwszy przypadek. W październiku 2021 r. Amerykanie czasowo zamknęli swoje dwie główne fabryki na Wyspach, podając jako powód wzrost cen gazu. Pod wpływem nacisków przedstawicieli brytyjskiej branży spożywczej oraz producentów napojów i napojów gazowanych wdrożono plan awaryjny i produkcja została wznowiona.

Brytyjski rząd dobrze wiedział, że brak nawozów sztucznych za rozsądną cenę oraz stałych dostaw dwutlenku węgla do browarów oznacza poważne problemy. W górę pójść ceny żywności, część rolników wpadnie w kłopoty, a zwykli Brytyjczycy będą niezadowoleni ze wzrostu cen ich ulubionego napitku. Dlatego na przełomie lat 2021 i 2022 rząd podpisał z koncernem CF Fertilisers trzy umowy, dzięki którym firma mogła działać, ▶

nie ponosząc strat. Trudno sobie wyobrazić Zjednoczone Królestwo, w którym połowa pubów jest zamknięta z powodu braku piwa, a w działających za tradycyjną pintę trzeba płacić horrendalne pieniądze. Kryzys udało się w porę zażegnać. Zakłady wznowiły produkcję i wszyscy o tym zapomnieli.

W sierpniu br. sytuacja zmieniła się na gorsze. Przedstawiciele amerykańskiego koncernu przekonywali, że przy cenach gazu w Europie na poziomie 3 tys. dol. za 1 tys. m sześć., produkcja w zakładzie w Billingham nie ma ekonomicznego uzasadnienia. Koszt finalny tony amoniaku przekroczy 2 tys. funtów, podczas gdy na rynkach światowych tę samą

że zamknięcie głównego zakładu w Billingham może zagrozić dostawom nawozów sztucznych, a rosnąca cena gazu będzie w tym roku kosztowała brytyjskich rolników dodatkowe 760 mln funtów.

Tak Brytyjczycy (choć nie tylko oni) odkryli, że sankcje nałożone na Rosję w związku z wojną w Ukrainie uderzają także w nich.

Koszty i straty

Jeśli na Moskwę nałożono ok. 11 tys. sankcji, zamrożono ponad 300 mld dol. rezerw Banku Centralnego Rosji, że o zajmowaniu jachtów i nieruchomości należących do oligarchów nie wspomnę, to reakcja

Jeśli na Moskwę nałożono ok. 11 tys. sankcji i zamrożono ponad 300 mld dol. rezerw Banku Centralnego Rosji, to reakcja musiała nastąpić.

tonę można kupić za 1 tys. funtów. Bardziej więc opłaca się importować amoniak do Wielkiej Brytanii, niż produkować go na miejscu, i CF Fertilisers gotów jest to robić. Amerykanie zapewnili, że w najbliższych miesiącach firma będzie realizowała wszystkie kontrakty na amoniak i kwas azotowy oraz wcześniejsze zamówienia na saletrę amonową. Matt Williams z Energy and Climate Intelligence Unit, cytowany przez serwis internetowy FarmingUK, powiedział,

musiała nastąpić. Gazprom zaczął systematycznie ograniczać dostawy gazu do Europy. Pod koniec sierpnia cena 1 tys. m sześć. gazu ziemnego w hubie gazowym w Rotterdamie w pewnym momencie osiągnęła 3,2 tys. dol. i była pięć razy wyższa niż rok temu. W kolejnych dniach spadła o 20%, lecz nie zmieniło to fatalnej sytuacji, w jakiej znalazł się europejski przemysł chemiczny.

Jeszcze w kwietniu Bundesbank szacował, że wstrzymanie przez

Gazprom dostaw gazu tylko w roku bieżącym będzie kosztowało gospodarkę niemiecką 180 mld euro.

W Niemczech pod koniec sierpnia larum podniosło krajowe stowarzyszenie piwowarów, ostrzegając przed wzrostem cen piwa w związku z brakiem dwutlenku węgla. I tak jak w Wielkiej Brytanii nie było to nic nowego. Rok wcześniej z powodu wzrostu cen gazu ziemnego w Europie kilka niemieckich firm, w tym BASF, ograniczyło produkcję amoniaku, a co za tym idzie, dwutlenku węgla. Również największy producent amoniaku i mocznika oraz jeden z największych producentów AdBlue, dodatku do olejów napędowych redukującego emitowane tlenki azotu, zakłady SKW Stickstoffwerke Piesteritz GmbH w Wittenberdze, zmuszony był ograniczyć produkcję o 20%.

Szwajcarskie media już w czerwcu ostrzegały, że z powodu wojny w Ukrainie w kraju zaczyna brakować chemikaliów do oczyszczania powietrza. I aby uniknąć przekroczenia dopuszczalnych wartości zanieczyszczeń, należałoby zatrzymać pracę spalarni odpadów. Okazało się, że do oczyszczania spalin w tych zakładach stosowane są roztwory amoniaku. Dzięki nim można ograniczyć emisję tlenków azotu do atmosfery. Tylko że z powodu małych dostaw rosyjskiego gazu do Europy coraz trudniej było Szwajcarom kupić amoniak za rozsądną cenę. Pojawiły się obawy, że spalarnie odpadów, jeśli nie będą

DO CZEGO POTRZEBUJEMY DWUTLENKU WĘGLA

Ten bezbarwny i bezwonny gaz o lekko kwaśnym smaku jest niepalny i nietoksyczny. Łatwo daje się skraplać. W postaci stałej tworzy tzw. suchy lód. Jego temperatura zamarzania wynosi minus 78,5 st. C. Na skalę przemysłową produkowany jest przez zakłady chemiczne wytwarzające nawozy sztuczne, jako produkt uboczny. Ogromne jego ilości wytwarzają m.in. elektrownie węglowe, lecz pozyskiwanie go do celów przemysłowych jest zbyt kosztowne.

Dwutlenek węgla jest szeroko stosowany w przemyśle spożywczym przy produkcji piwa i napojów gazowanych. Korzysta się z niego także przy produkcji paczkowanych serów czy mięs, co pozwala dłużej zachować świeżość. Konkuruje tu z azotem, który też jest wykorzystywany przy pakowaniu produktów spożywczych. W postaci stałej,

jako suchy lód, stosuje się dwutlenek węgla np. w lodziarniach. Jest tańszy w użyciu niż agregaty chłodzące.

W ubojniach zwierzęta są usypiane dwutlenkiem węgla, co uważa się za bardziej humanitarną metodę uboju niż głuszenie prądem. Suchy lód w formie granulatu stosuje się w zakładach mięsnych podczas mielenia i mieszanina mięsa, by utrzymać stałą temperaturę. Jest również stosowany w piekarniach przemysłowych do obniżenia temperatury ciasta.

W przemyśle dwutlenek węgla używany jest m.in. do czyszczenia powierzchni pokrytych tłuszczem, olejem, pozostałościami tworzyw sztucznych, rdzą, sadzą, azbestem, żużlem, wapnem, teflonem itp. Technologia ta może być stosowana m.in. w lotnictwie, energetyce jądrowej, budowie i remoncie statków oraz w przemyśle metalowym.

w stanie skutecznie oczyszczać spalin, w obawie przed karami wstrzymującymi odbiór śmieci i piękne Berno, Zurych czy Bazylea zamienia się w Neapol z roku 2010, gdy miasto utonęło w zwalach śmieci. Cytowany przez portal Blick Bastien Girod, prezes Stowarzyszenia Zakładów Recyklingu Odpadów i radny krajowy Zielonych, mówił: „Potrzebujemy szybkiego planu awaryjnego. Istnieje

i inne produkty, na które potrzebujących nie stać. I to jest łączone z wojną w Ukrainie.

Bezlitosny rachunek

Właściwie każdy europejski kraj miał w tym roku problemy z produkcją nawozów sztucznych, a co za tym idzie – z dostępnością dwutlenku węgla i amoniaku.

Właściwie każdy europejski kraj miał w tym roku problemy z produkcją nawozów sztucznych, a co za tym idzie – z dostępnością dwutlenku węgla i amoniaku.

ryzyko, że nagle będziemy musieli wdychać zanieczyszczone powietrze i zapadać się w górach śmieci. Należy temu zapobiec”.

Ten sam problem pojawił się we Włoszech, gdzie pozbywanie się śmieci w spalarniach jest dość powszechne. Jednak nie wywołał on poważniejszej dyskusji. Co innego brak dwutlenku węgla. Włosi piją ogromne ilości wody gazowanej i są jej poważnym producentem. Alarm podniósł Alberto Bertone, prezes i dyrektor generalny spółki Acqua Sant'Anna – największego europejskiego producenta wód mineralnych, mającego siedzibę w miasteczku Vinadio – która pod taką nazwą wypuszcza rocznie 1,5 mld butelek. „Musiałem ograniczyć produkcję o 30%. Dwutlenek węgla stał się niedostępny, a dostawcy, z którymi mamy umowy, wyjaśnili, że nie opłaca się go produkować z powodu wysokich cen gazu”, żalił się reporterom stacji Sky TG24.

Producenci dwutlenku węgla tłumaczyli, że rząd nakazał im skierowanie go do szpitali, aptek i zakładów farmaceutycznych, musieli zatem wstrzymać dostawy dla branży spożywczej. Zbiegło się to w czasie ze wzrostem o 130-150% cen energii elektrycznej we Włoszech, co uderzyło po kieszeni nie tylko producentów wody mineralnej. O tym u nas się nie pisze, lecz obłożenie przeżywają włoskie banki żywności, które rozdają osobom ubogim otrzymane z darów konserwy, makaron

Rachunek ekonomiczny jest bezlitosny. Gdy 22 lutego, dwa dni przed atakiem na Ukrainę, były prezydent i premier Rosji Dmitrij Miedwiediew, komentując decyzję kanclerza Niemiec Olafa Scholza o wstrzymaniu procesu certyfikacji gazociągu Nord Stream 2, oświadczył: „Witamy w nowym, wspaniałym świecie, w którym Europejczycy niedługo będą płacić 2 tys. euro za 1 tys. m sześć. gazu”, został wyśmiany. Przepowiednia się spełniła. Pod koniec sierpnia cena 1 tys. m sześć. gazu wynosiła ponad

kumulują i mogą eksplodować w najmniej oczekiwanym momencie.

W Polsce nikt nie robi rachunku zysków i strat spowodowanych sankcjami nałożonymi na Kreml. Politycy mówią nam, że muszą one boleć i że tak przyczyniamy się do zwycięskiego zakończenia wojny.

Pod koniec sierpnia analitycy amerykańskiego banku inwestycyjnego JPMorgan przyznali, że ich marcową prognoza, iż PKB Rosji spadnie w drugim kwartale br. o 35% w porównaniu z poprzednim, okazała się błędna. W rzeczywistości spadek wyniósł 4%, a gospodarka rosyjska okazała się bardziej odporna, niż przypuszczano na Zachodzie. Przykład ze wstrzymaniem produkcji amoniaku, nawozów sztucznych i dwutlenku węgla w prawie całej Europie wskazuje, jak mocne są rykoszety sankcji.

W tej sprawie jest jeszcze drugie dno. Wśród polityków krąży pogłoski, że władze Anwilu i Grupy Azoty wykorzystały okazję, by uzyskać od rządu dodatkową rekompensatę w związku z produkcją nawozów sztucznych. Przy sierpniowych cenach gazu na europejskich rynkach łatwo było uzasadnić, że produkcja nawozów sztucznych przestała być opłacalna. Bo jeśli dziś tona

Krąży pogłoski, że władze Anwilu i Grupy Azoty wykorzystały okazję, by uzyskać od rządu dodatkową rekompensatę w związku z produkcją nawozów sztucznych.

3 tys. dol. A ponieważ za 1 euro płacimy 1 dol., jest jeszcze gorzej, niż zapowiadał Miedwiediew.

Największy w Europie importer rosyjskiego gazu, niemiecki gigant Uniper, 29 sierpnia zwrócił się do rządu w Berlinie o 4 mld euro dodatkowego wsparcia w związku z zakłóceniami dostaw z Rosji. Ma to zabezpieczyć płynność firmy. Sankcje nałożone na Rosję uderzyły tę spółkę z niewiarygodną mocą. Tylko w pierwszym półroczu br. straty sięgnęły 12,3 mld euro.

Na tym tle braki dwutlenku węgla czy amoniaku do produkcji żywności mogą się wydawać niewielkimi problemami. Rzecz w tym, że one się

salety amonowej kosztuje nawet 5,5 tys. zł, to jak droga się stanie, jeśli wyprodukujemy ją z gazu ziemnego kosztującego, powiedzmy, 2,5 tys. euro za 1 tys. m sześć.?

Jeśli rząd chce, by rolnicy kupowali taniej nawozy sztuczne, producenci powinni otrzymać rekompensatę. W tym przypadku niezwykle sutą, gdyż chodzi nie tylko o nawozy azotowe, ale też o amoniak i wspomniany dwutlenek węgla. W przyszłości dowiemy się, jak było. A dziś możemy tylko czekać, czym jeszcze zaskoczy nas wojenna i sankcyjna rzeczywistość.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Wolność, Tomku, w swoim domku, czyli uwięzione jezioro

Płoty, które wchodzą aż do wody, są prawdziwą plagą w całej Polsce

Helena Leman

12 sierpnia Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska w Gdańsku poinformowała, że postępowanie w sprawie ogrodzenia jeziora Wielkie Oczko w gminie Kościerzyna nadal jest w toku. Jezioro wiosną ogrodził jego właściciel Marek Majkowski, przedsiębiorca budowlany z Kościerzyny. Rzeczą nagłośnił gdański radny Andrzej Kowalczyk. W poście z 6 maja br. na Facebooku pisał tak: „Podobno była kontrola i w papierach wszystko się zgadza. Nowy właściciel, kościerski przedsiębiorca, podobno Kaszuba, kupił sobie jezioro Wielkie Oczko. Miejscowi i przyjeźdźni już o tym wiedzą, gdyż Nowy postawił w niespotykanie krótkim czasie dwukilometrowy, ponaddwukilometrowy płot. Wybudował na linii brzegowej drogę, będzie oświetlenie i zestaw kamer. Zabrał dostęp do wody jeleniom, sarnom, dzikom, lisom, wydrom, borsukom, jenotom i licznej rodzinie chronionego bobra europejskiego. Pod topór poszły dęby, jałowce, brzozy, jesiony i olsy. Zniszczono żeremia i piękną edukacyjną ścieżkę wokół jeziora. Zapadł też wyrok na bardzo rzadką, szczególnym prawem chronioną, lobelię dortmanna. Żeby napić się wody (najbliżej jest Małe Oczko), zwierzyzna musi pokonać nasyp kolejowy, tory i drogę. Spychacze, koparki, ciężarówki zrobiły swoje, tak że przedsiębiorca może być dumny. Takiej dewastacji dawno nie widziałem”.

Unikatowe jezioro

Po czterech miesiącach sprawdzam sytuację. W Stawiskach za Kościerzyną skręcam w drogę

wyłożoną płytami, która prowadzi do jeziora Zakrzewie i ośrodka Gdańskiej Fundacji Dobroczynności. Tam kończą się płyty, a zaczyna piaszczysta, leśna ścieżka, którą po ok. 2 km przecina linia kolejowa z Kościerzyny do Czarnej Wody. Przed przejazdem kolejowym, po prawej stronie, w obniżeniu terenu połyskuje między drzewami jezioro Małe Oczko. Za torami w dole jest bliźniacze Wielkie Oczko.

Już z daleka widać, że płot stoi, jak stał. Za nim przy pomoście bawi się dwójka dzieci. Od razu zwraca uwagę uporządkowana linia brzegowa, jakby to był sztuczny zbiornik, a nie dzikie, śródlęgłe jezioro. Gdzieś poznikały nadbrzeżne krzaki, szuwaru jakby przetrzebione i przycięte, zostało parę kęp trzciny, między nimi bieleje piaszczysty brzeg, czystutki i schludny. Tymczasem nad Małym Oczkiem, też prywatnym, ogrodzonym tylko od drogi siatką, zielony gąszcz. Wielkie trzciny wchodzą mi w obiektyw, tuż przy pomoście zauważam w wodzie roślinę o okrągłych liściach, której białe kwiaty wystają ponad lustro wody, niektóre jeszcze w grubych pąkach.

Leżące na terenie obszaru Natura 2000 i Wdzydzkiego Parku Krajobrazowego Wielkie Oczko należy do unikatowych jezior lobeliowych. Takich zbiorników jest w naszym kraju jedynie 155, z czego 151 na Pomorzu. Jeziora lobeliowe zawdzięczają nazwę lobelii dortmanna, rosnącej w odległości ok. 2 m od brzegu. „Roślina ta kwitnie tylko raz, w czerwcu i lipcu na łodygach pojawiają się bladoniebieskie kwiaty. W dobrze zachowanych jeziorach lobeliowych gatunek ten porasta pierścieniem brzegi jeziora. Lobelia jeziorna, poryblin jeziorny i kolczasty oraz brzeżyca jednokwiatowa to rośliny wskaźnikowe jezior lobeliowych, gatunki reliktowe, będące

pozostałością flory z minionych epok geologicznych, objęte ścisłą ochroną, znajdują się w Polskiej Czerwonej Księdze Roślin Ginących”, czytamy na stronie pomorskieparki.pl.

Jak informuje Grażyna Sadowska, starszy specjalista ds. edukacji ekologicznej z Wdzydzkiego Parku Krajobrazowego, na terenie parku i jego otuliny jest sześć jezior lobeliowych, większość to własność prywatna. – Zagrożeniem dla jezior lobeliowych są procesy, w których następuje zmiana ich specyfiki hydrochemicznej. Są to m.in. eutrofizacja (użyźnienie), acydifikacja (zakwaszenie) czy humizacja (wzbogacenie w substancje humusowe). Poprzez dopływ substancji odżywczych wzrasta żyzność jezior, co może się przyczynić do ich degradacji. Są one bardzo wrażliwymi ekosystemami, szkodzi im niewłaściwie prowadzona gospodarka rybacka, a także zmiany zachodzące w ich zlewniach czy nadmierne rekreacyjne wykorzystanie tych zbiorników. Staramy się monitorować stan naszych jezior lobeliowych – zapewniam. – Jest on różny, jedne są w dobrej i bardzo dobrej kondycji, w innych obserwujemy już powolny proces eutrofizacji. Jak długo właściciel czy zarządca terenu będzie umiał dostrzec jego walory przyrodnicze i krajobrazowe oraz będzie chciał go zachować w niezmienionym stanie, tak długo obszar będzie bardzo dobrze chroniony.

Do 6 sierpnia br. wyłożony był do publicznego wglądu projekt planu ochrony Wdzydzkiego Parku Krajobrazowego. Plany takie powstają na podstawie ustawy o ochronie przyrody dla parków narodowych i krajobrazowych, rezerwatów przyrody i obszarów Natura 2000. Wśród 177 zagrożeń wymienionych w planie

WPK na pozycji 120. zapisano zarybianie jezior lobeliowych; wskazano Głębocko i Wielkie Oczko.

Marek Majkowski kupił jezioro dwa lata temu. Grażyna Sadowska tłumaczy, że właściciel nie ma formalnego obowiązku informować parku o sposobie zarybiania.

Spędzam w okolicy Wielkiego Oczka kilka godzin. Wokół pusto i pięknie, tylko to ogrodzenie jakoś nie współgra z krajobrazem; ktoś trafnie zauważył, że przypomina więzienny spacerniak. Gdy dojdzie oświetlenie, wrażenie będzie jeszcze mocniejsze.

Grodzenie zgodne z prawem

28 kwietnia w związku z zawiadomieniem ze strony Wdzydzkiego Parku Krajobrazowego kontrolę działki i stojącego już na niej ogrodzenia przeprowadził kościerski nadzór budowlany.

– Ogrodzenie zostało wykonane z siatki ocynkowanej na słupkach, z bramą wjazdową – oznajmił mediom Mariusz Myska, powiatowy inspektor nadzoru budowlanego. – Ogrodzenia do 2,20 m są zwolnione z konieczności uzyskania pozwolenia na budowę, jak również zgłoszenia zamiaru budowy. Inwestor w trakcie kontroli dodatkowo przedstawił pismo Wydziału Architektury i Budownictwa Starostwa Powiatowego w Kościerzynie z 8 grudnia 2020 r., mówiące, że roboty budowlane polegające na budowie ogrodzenia do 2,20 m na terenie tej działki nie wymagają oceny oddziaływania na środowisko, nie dotyczą też obiektu wpisanego do rejestru zabytków. Również z rozporządzenia wojewody w sprawie Wdzydzkiego Parku Krajobrazowego nie wynika zakaz grodzenia zbiorników wodnych. W tej sytuacji nie stwierdziliśmy podstaw do wszczęcia postępowania w sprawie samowoli budowlanej. Niemniej wystąpiliśmy z zapytaniem do organów środowiska, w tym Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Gdańsku, czy przedmiotowa inwestycja nie spowodowała lub nie spowoduje zagrożenia dla niego.



Duże Oczko wygląda jak sztuczny zbiornik, a nie dzikie, śródlądne jezioro.

Nad Małym Oczkiem, też prywatnym, ale ogrodzonym tylko od drogi leśną siatką, zielony busz.



Gdańska RDOŚ wszczęła postępowanie w maju. Na początku czerwca kościerski portal donosił, że prowadzono wizję terenową wokół działki, lecz oględziny samej działki z jeziorem do skutku nie doszły, gdyż właściciel poprosił o zmianę ich terminu, a dyrektor RDOŚ do tego się przychylił.

12 sierpnia w mejlu z RDOŚ otrzymuję potwierdzenie, że oględziny

z udziałem właściciela jeziora się odbyły. Lecz na pytanie, kiedy można się spodziewać ostatecznej decyzji w tej sprawie, odpowiedzi już nie dostaję. Regionalna dyrekcja dodaje też, że do tej pory nie prowadziła postępowań w sprawie grodzień jezior w obszarach Natura 2000.

Jego, to ogrodził

Mieszkańcy pobliskich wsi są ostrożni w wyrażaniu opinii. Starszy mężczyzna pod sklepem w Stawiskach przekonuje mnie, że w Wielkim Oczku nikt z miejscowych się nie kąpał. – Mamy bliżej jezioro przy ośrodku Relaks, z małą plażą i pomostem. Nad Wielkim Oczkiem było słabe dojście do wody, brzeg stromy, mocno zarosnięty, w ogóle to jezioro uchodziło za niezbyt bezpieczne.

Kobieta napotkana w jednym ze sklepów jest zdecydowanie przeciwna ogradzaniu jezior, uważa, że to wspólne dobro ludzi i zwierząt i każdy powinien mieć dostęp do jeziora, a zwłaszcza miejscowi, którzy znają je od dziecka. Jest zadowolona, że zrobił się taki szum. Niedawno jej dzieci wybrały się nad jezioro Strupino, które nabył ktoś z Gdańska. – Nie jest ogrodzone, ale za kąpiel trzeba tam płacić. Moje dzieci nie zapłaciły, a właściciel nic nie mówił – dodaje.

W Juszkach pytam o sprawę sołtysa Karola Wysiokiego. Odmałwia komentarza, ale zaprasza na swoją posesję, też nad jeziorem. Mieszka w starym domu utrzymanym z pietyzmem i krytym trzciną, którą sam kładzie.

Inny mieszkaniec Juszek ma wyrobione zdanie: – Wolnoć, Tomku, w swoim domku. A co się pani dziwi? Jego, to ogrodził. Wielkie Oczko miało chyba z pięciu właścicieli, poprzedni postawił pomost na pół jeziora, a obecny płót. Jezior tu pełno, my tam nie chodzimy, ale przyjeźdźni tak. Ludzie dziś za depczą wszystko, samochodami do wody wjadą. Kiedyś z Juszek wszyscy uciekali, nawet szosy nie było, a dzisiaj każdy chce mieć tu działkę. ▶

► Chwilę jeszcze rozmawiamy o zarybianiu, jego zdaniem jeziora takie jak Wielkie Oczko do hodowli ryb się nie nadają, bo woda tam stojąca i nie ma dopływu świeżej. – Ale zarybiają i kto to sprawdzi. Wie pani, jak jest – macha ręką na odchodnym.

Z Juszek są 3 km przez sosnowy bór do Szenajdy; przy piaszczystej dróżce fioletowo od wrzósów. Sołtysa w Szenajdzie nie zastaję, jego sąsiad zapytany o ogrodzone jezioro, kwituje: – Ludzka głupota.

Inny mieszkaniec wsi zastawia się: – Prywatne, to chyba grodzić można... – A po chwili dodaje: – Niedługo będziemy się kąpać tylko pod przysnkiem.

Zawłaszczanie jezior

Zagradzanie dostępu do jezior to zjawisko narastające od lat. Dostęp do jezior publicznych należących do skarbu państwa badała w 2016 r. Najwyższa Izba Kontroli. W jej raporcie czytam, że część właścicieli nieruchomości położonych nad publicznymi jeziorami „nielegalnie grodzi do nich dostęp, uniemożliwiając swobodne korzystanie z terenów przybrzeżnych”. NIK zauważa też, że organy nadzoru budowlanego nie były przygotowane do wypełniania zadań związanych z zapewnieniem obywatelom dostępu do jezior. Oględziny fragmentów linii brzegowych 24 jezior dokonane przez kontrolerów NIK wykazały aż 391 przypadków samowoli budowlanych.

Co z tego, że art. 232 ustawy Prawo wodne zabrania grodzenia nieruchomości przyległych do publicznych wód śródlądowych w odległości mniejszej niż 1,5 m od linii brzegu i uniemożliwiania przejścia przez ten obszar. Prawo sobie, a życie sobie. Mówi się, że kary są mało dotkliwe.

Płoty, które wchodzić aż do wody, są plagą nie tylko na Warmii i Mazurach, ale w ogóle w całej Polsce. We wspomnianym wyżej planie ochrony WPK wymieniono wśród zagrożeń zabudowę linii brzegowej, lotniskową oraz całoroczną zabudowę brzegów jezior oraz inne przekształcenia brzegów, jak również niszczenie zbiorników szuwarowych wokół zbiorników wodnych. Do niekorzystnego

zawłaszczania wód przez człowieka doprowadzają też nieograniczone, niekontrolowane spływy kajakowe, motorowe i niemotorowe sporty wodne.

Z presją zabudowy przestrzeni wokół jezior zmagają się wiele lokalnych społeczności. Najgroźniejsza w ostatnich miesiącach jest sprawa budowy w Rybakach dużego hotelu nad Jeziorem Łańskim na Warmii. Wieś i jezioro leżą na obszarze Natura 2000 w Puszczy Napiwodzko-Ramuckiej. W spółce, która będzie budować hotel, 51% udziałów ma archidiecezja warmińska. Zbierane są podpisy pod petycją, by zatrzymać inwestycję.

– Kto w ogóle wpadł na pomysł takiej budowy w tym miejscu?! – pyta jedna z protestujących, Agata Oskroba. – Mamy tutaj dziki, niezabudowany brzeg. Dookoła lasy. Jak dowiedzieliśmy się na spotkaniu, to jedna z największych inwestycji hotelowych w Polsce.

Prywatne, to chyba grodzić można... Ale niedługo będziemy się kąpać tylko pod przysnkiem.

Wobec takiego rozmachu postawienie płotu wokół jeziora na Kaszubach może się wydawać drobiazgiem. Ale jeśli stanie jedno ogrodzenie, za chwilę może stanąć kolejne. A rzecz dotyczy jezior rzadkich, które jako bezodpływowe tzw. śródlądowe wody stojące często trafiają w prywatne ręce. Choć art. 214 Prawa wodnego daje właścicielowi pewne prawa, kwestia grodzenia jezior prywatnych jest mocno dyskusyjna. Dlatego rozstrzygnięcie RDOŚ może być przełomowe

Nieczułość

Gdy dzwonię do firmy budowlanej Marka Majkowskiego, pracownik odbierający telefon mówi, że szef pewnie mi nie odpowie. Mimo to wysłałam pytanie na dostępny w internecie adres. Wiadomość wraca z informacją administratora poczty, że adres nie jest już aktywny. Dzwonię po raz drugi i proszę o aktualny mejl, nie dostaję go, zostawiam więc kontakt do siebie. Na próżno.

Andrzej Kowalczyk także liczył na dobrą wolę przedsiębiorcy i wystosował do niego apel: „Z punktu widzenia prawa budowlanego nie złamał pan przepisów. Z etycznej strony i w duchu szacunku do natury kształtowanej miliony lat apeluję gorąco: niech pan ten płot zdemontuje”.

Właściciel jeziora wyjaśniał kierownikowi WPK, że postawił płot, aby ochronić teren przed zanieczyszczeniem.

Grażyna Sadowska podsumowuje, że wiele zależy od edukacji kształtującej proekologiczne postawy. – Przydałyby się również zmiany prawne umożliwiające skuteczniejszą ochronę przyrody i krajobrazu – dodaje.

Prof. Andrzej Szahaj dwa lata temu w PRZEGLĄDZIE pisał w felietonie „Ponadpartyjna fikcja ochrony przyrody”: „Parki krajobrazowe w zamierzeniu miały być nieco słabszą formą ochrony niż parki narodowe. Tak było. Ale tylko do 1998 r., kiedy

to chroniące je dobre przepisy zostały zmienione. Chodzi przede wszystkim o prawo do zabudowy. (...) Spowodowało to, że niektóre fragmenty parków zaczęły się zamieniać w daczowiska (...). Mało kto przejmuje się ograniczeniami dotyczącymi zabudowy na terenie parków krajobrazowych, np. odległością od cieków wodnych czy zakazem ingerencji w rzeźbę terenu. (...) Co ciekawe, owa nieczułość na sprawy ochrony środowiska jest w Polsce ponadpartyjna (...), jednocząca władzę centralną i władze samorządowe. Ta pierwsza zadowala się z reguły pustymi deklaracjami, a ta druga zrównuje intensywną zabudowę z prosperity. Obie traktują osoby zainteresowane ochroną przyrody i krajobrazu jak dziwaków, którzy nie rozumieją, że »rozwój« jest ważniejszy niż piękno przyrody”.

Sama trochę czuję się jak dziwak, gdy krąży po wsiach i pytam o jezioro uwięzione za płotem...

Helena Leman

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Ukraińska podręcznikowa doktryna szoku

Każdego dnia czytamy o wojnie w Ukrainie. Gdzie ofensywa, gdzie bomba jedna, a gdzie dwie, gdzie sukces – zaskoczenie i klęska Rosjan. „New York Times” pisze o „zachwycie” Pentagonu ukraińskimi MacGyverami, którzy pomysłowo, domowymi sposobami zwiększają lub optymalizują dostarczaną im przez USA broń. Dużo szczegółów – dla każdego entuzjasty wojskowości i militariów codzienna lektura obowiązkowa, ale i zapewne przyjemna, tyle się dzieje. Tu wyrzutnia rakiet na zwykłej ciężarówce czy łodzi, tam rakiety podwieszane pod poradzieckie migi, ileż tego i jak sprytnie! W powodzi doniesień frontowo-militarnych bardzo rzadko znajduję opowieść o tym, jaka Ukraina ma z tych wojennych zmagani o suwerenność wyjść. Jaka ma być po wojnie, której, załóżmy, nie przegra z kretelem; załóżmy, że Rosja odpuści, wycofa się, przestanie walczyć i bombardować.

Ostatnie miesiące udzielają w tej kwestii co najmniej dwóch niepokojących odpowiedzi. Nie trafiają one na czołówki mediów, nie wywołują debaty, dyskusji – nie tylko muzy milkną w huku armat. Mówię tu o dwóch fundamentalnych decyzjach obozu władzy prezydenta Zełenskiego. Pierwsza to decyzja

Wielu walczących może się zdziwić, że oddawali zdrowie i życie za globalny kapitalizm w swojej pięknej Ukrainie.

o prywatyzacji kilkuset przedsiębiorstw (420), który to proces wszedł w życie 1 września. Najpierw pod prywatyzacyjny młotek miały pójść piekarnie i gorzelnie, tłumaczyć to miała konieczność zagospodarowania zboża, które trudno eksportować. Deklaracje o prywatyzacji były ważnym punktem kampanii wyborczej Zełenskiego jeszcze w roku 2019. Tu na scenę wkroczył legendarny za sprawą dokonań prywatyzacyjno-opresyjnych w naszej części Europy Międzynarodowy Fundusz Walutowy, który już wówczas nalegał na wyprzedaż majątku państwowego na dużą skalę i nazywał to warunkiem dalszej pomocy finansowej dla Kijowa. Wybuch wojny zatrzymał te przygotowania, ale właśnie wróciły z całą mocą.

Ten rodzaj scenariusza pisanego dla kraju ciężko doświadczonego wojną, klęską żywiołową, zapaścią gospodarczą, radykalną zmianą polityczną opisała doskonale w jednej ze swoich najgłośniejszych książek kanadyjska dziennikarka, pisarka i aktywistka Naomi Klein w roku 2007. Wojna w Iraku, huragan Katrina demolujący Nowy Orlean, tsunami w Azji Południowo-Wschodniej, a wcześniej zamach Pinocheta w Chile w 1973 r., wydarzenia z placu Tiananmen w 1989 r. w Pekinie, upadek ZSRR w 1991 r. – wszystkie te momenty szokowych kryzysów społecznych zostały sprawnie (również przy zaangażowaniu

MFW) skonsumowane przez globalny (czyli najczęściej amerykański) kapitalizm. Polski nie ominęła ta operacja, zwana planem Balcerowicza, rok 1989 nie był co prawda krwawym szokiem, ale trudno nawet dawnym zwolennikom Balcerowicza (oprócz niego samego) udawać, że obyło się bez ofiar. Filarem tego zagospodarowania terapii szokowych (na wzór elektrowstrząsów, stosowanych w „medycznych” eksperymentach amerykańskiej armii i służb specjalnych jeszcze w latach 50.) była zawsze prywatyzacja. Miała być lekiem na całe zło, wojnę, zamach stanu, powódź, tsunami... Społeczeństwo dotknięte jedną z form zniszczenia: wojną, przemocą militarną lub potęgą żywiołów, nie miało sił na samoobronę.

Drugim elementem operacji „ratunkowej”, obok prywatyzacji, było zawsze ograniczanie praw pracowniczych, roli i zasad funkcjonowania związków zawodowych. W Ukrainie wprowadzana jest właśnie taka deforma kodeksu pracy pod pozorem sytuacji wojennej. Prezydent Zełenski podpisał ustawę nr 5371, która pozbawia ochrony kodeksowej, jak się szacuje, prawie 70% zatrudnionych. Na wyraźne żądania związków zawodowych dopisano poprawkę, że to tylko na czas wojny. Ale uchwalone złe prawo ma moc trwania samowolki budowlanej, trudno je zmienić. Deklaracje partii Zełenskiego Sługa Ludu brzmią jak z podręcznika chłopców z Chicago, uczniów Milтона Friedmana, rasowych neoliberalów: „Nadmierne przeregulowanie prawa pracy przeczy zasadom samoregulacji rynku [i] nowoczesnego zarządzania personelem”. Tym językiem nie posługują się już dzisiaj nawet najzagorzalsi zwolennicy tzw. wolnego rynku, który, jak dobrze wiemy, podobnie jak bóg po prostu nie istnieje. Oczywiście oprócz Leszka Balcerowicza – jest to okaz zmumifikowanego, niereformowalnego umysłu. Kiedy fakty przeczą jego (czyli zapożyczonym od dogmatycznych neoliberalów) tezom, tym gorzej dla faktów.

Jednym z niewielu krytyków polityki Balcerowicza, w czasie gdy wprowadzał swoje szokowe ustawodawstwo (pod dyktando, jakżeby inaczej, MFW), był historyk i mediewista prof. Karol Modzelewski, którego jednak ówczesna elita rządząca i medialna najzwyczajniej nie słuchała i nie traktowała poważnie. Ten więzień polityczny, który w PRL odsiedział prawie osiem lat, twórca nazwy Solidarność dla związku zrodzonego podczas strajków latem 1980 r., mówił później: „Gdybym wiedział, że w tej walce chodzi o wprowadzenie kapitalizmu w Polsce, co się okazało po 1989 r., nie siedziałbym ani dnia za kratami”. Być może to jest myśl, którą możemy się podzielić z naszymi sąsiadami z Ukrainy, zamiast kupować im drony bojowe, bo wojna kiedyś się skończy i jestem głęboko przekonany, że wielu walczących może się zdziwić, że oddawali zdrowie i życie za globalny (amerykański) kapitalizm w swojej pięknej Ukrainie. Ten scenariusz jest pisany ich krwią i życiem, ale w milczeniu. ■

Ile dywizji ma Warszawa?

To USA wymusiły rezygnację Macierewicza



Niebawem ruszy certyfikacja sztabów 19. Brygady Zmechanizowanej i 18. Pułku Logistycznego.

Marcin Ogdowski

Pisowskich działań w zakresie obronności nie da się odmalować jedynie w czerni i bieli. Z jednej strony, jeszcze za pierwszego PiS (2005-2007), rozwiązano wojskowe służby specjalne, by podjąć dyletanckie próby zbudowania wywiadu i kontrwywiadu od nowa. Efekt? Rodzime specsłużby pracujące na rzecz armii nadal, mimo upływu 15 lat, mają opinię jednych z najgorszych w NATO. Za drugiego PiS doszło ponadto w wojsku do rozległej czystki kadrowej, a modernizację techniczną wstrzymano na trzy lata. Te wydarzenia łączy osoba Antoniego Macierewicza, wpływowego polityka rządzącej partii, delegowanego przez Jarosława Kaczyńskiego do Ministerstwa Obrony Narodowej.

Z drugiej strony, w czasie pierwszej kadencji PiS stworzono Wojska

Specjalne jako oddzielny rodzaj sił zbrojnych. Stało się to tuż przed wyborami z 2007 r., lecz później patrelem procesu formowania pozostał ówczesny prezydent RP Lech Kaczyński. Dziś specjaliści to wizytówka polskiej armii, na co wpływ ma także ich niezależność organizacyjna. Pięć lat temu powołano do życia Wojska Obrony Terytorialnej. I choć mają one problemy z rekrutacją, pozytywnie zakorzeniły się w świadomości Polaków, tracąc po drodze łatkę „partyjnej bojówki PiS”. Pomogły pandemii i zaangażowanie mundurowych w działania kryzysowe podjęte przez państwo.

Tajemnicą poliszynela jest natomiast, że kondycja Wojsk Specjalnych wynika w dużej mierze z parasola ochronnego, jaki nad formacją rozpostarli Amerykanie. I że to USA

wymusiły rezygnację Macierewicza z funkcji ministra obrony na początku 2018 r., gdy uznano, że skala destrukcji Wojska Polskiego zagraża całemu NATO. Mamy więc coś na wzór dobrego i złego gliny, z działającym za kulisami szefem, do którego należy ostatnie słowo. Czy taki wzór zachowań odnajdziemy również w ostatnim wielkim projekcie organizacyjnym PiS w dziedzinie obronności? Jakie inne wnioski można wyciągnąć z trwającego od czterech lat procesu formowania 18. Dywizji Zmechanizowanej?

Niechciane dziedzictwo

Po 24 lutego br. nie ma już wątpliwości, że decyzja o powołaniu 18. DZ była właściwym krokiem. Agresja na Ukrainę zburzyła przekonanie,

że Rosja może być przewidywalnym partnerem. Tymczasem po 2011 r. – kiedy to zlikwidowano 1. Warszawską Dywizję Zmechanizowaną – na wschód od Wisły stacjonowała tylko jedna 16. Pomorska Dywizja Zmechanizowana. Tytułem wyjaśnienia – dywizja to kilkunastotysięczny związek taktyczny, dzięki zróżnicowanemu uzbrojeniu zdolny do samodzielnych działań na dużym obszarze. W 2018 r. Wojska Lądowe dysponowały trzema dywizjami (11., 12. i 16.), oczywisty wydawał się pomysł, że powrót do czterodywizyjnej struktury nastąpi poprzez odtworzenie 1. WDW. Zwłaszcza że nie wszystkie jej jednostki zlikwidowano, a trzonem nowej miała być brygada pancerna z Wesołej, przez dekady wchodząca w skład słynnej jedynki. Tu jednak dała o sobie znać polityka historyczna PiS – 1. WDW wywodziła się ze sformowanej nad Oką w ZSRR 1. Dywizji Piechoty. Czyli była „komusza”, w przeciwieństwie do 18. DP przedwojennego WP, mającej hallerowski rodowód oraz chwalebny szlak bojowy w wojnie z bolszewikami i w kampanii wrześniowej. Tak wybrano numer 18 oraz przydomek „żelazna” noszony przez dawną 18. DP.

Proces formowania wystartował we wrześniu 2018 r., a na dowódcę osiemnastki wyznaczono gen. Jarosława Gromadzińskiego. Nieznany szerzej oficer szybko stał się pupilem rządowych i prawniczych mediów, co w połączeniu z urzędowym optymizmem rodziło obawy o kompetencje generała i samą ideę budowy dywizji. Długo wydawało się, że to „pic na wodę”. „Przenosimy aktywa z jednej przegródki do drugiej”, pisało w branżowej prasie, odnosząc się do faktu, że połowa 18. DZ istniała przed jej powołaniem (poza wspomnianą 1. Warszawską Brygadą Pancerną chodzi o 21. Brygadę Strzelców Podhalańskich). „Nie powstanie nic nowego oprócz sztabu”, krytykowano, zaznaczając, że to sposób na szybki medialny sukces. „Miała być dywizja i jest dywizja”, puentowano płytkie zwykle medialne analizy. Gromadziński tymczasem ujawnił się jako bardzo sprawny dowódca-organizator. Budowa „żelaznej” wymagała

sformowania sztabu dywizji, trzech pułków (artylerii, przeciwlotniczego i logistycznego), jednej brygady (zmechanizowanej) oraz batalionu rozpoznawczego. Po czterech latach wszystkie jednostki już istnieją, dowództwo dywizji zaliczyło w zeszłym roku certyfikację (takie wojskowe dopuszczenie do ruchu), niebawem ruszy certyfikacja sztabów 19. Brygady Zmechanizowanej i 18. Pułku Logistycznego.

Poczyniono spore inwestycje infrastrukturalne, czego najbardziej spektakularnym przykładem jest parking czołgowy w Wesołej. Oddanych obiektów miało być więcej, ale na przeszkodzie stanęły problemy natury prawno-organizacyjnej (pozyskanie terenów i wykonawców budów), niezależne od dowództwa dywizji. Obiektywny charakter mają

Błaszczaka), przekładalnych na korzyści polityczne, a z drugiej realizacja oczekiwań Amerykanów, którzy chcieliby mieć na tzw. wschodniej flance sojuszniczą dywizję jak najbardziej interoperacyjną z ich wojskiem. Lekkie, w zamyśle pisowców, niech pozostaną wojska terytorialne, 18. DZ ma się stać „najsilniejszą dywizją w Europie”. Stąd Abramsy, także te dodatkowe 116 sztuk, które trafi do Polski w miejsce czołgów wystawnych Ukraińcom, stąd np. wozy typu MRAP (o zwiększonej odporności na miny), właśnie przekazywane jednostkom „żelaznej”.

To do osiemnastki trafią jeszcze w tym roku wyrzutnie raketowe ziemia-ziemia typu HIMARS. O ich wyjątkowej skuteczności przekonują się Ukraińcy i Rosjanie – pierwsi jako użytkownicy, drudzy jako cele

Rodzime specłużby pracujące na rzecz armii nadal, mimo upływu 15 lat, mają opinię jednych z najgorszych w NATO.

również kłopoty związane z dostawami sprzętu. Przykładem jest ślimacząca się modernizacja czołgów Leopard 2, za co winę ponosi przemysł. Z kolei w ostatnich miesiącach część uzbrojenia będącego na wyposażeniu 18. DZ – i nowego, które pierwotnie miało do niej trafić – wysyłana jest do Ukrainy w ramach pomocy wojskowej.

Wyspowa nowoczesność

Na wschód pojechały m.in. nowoczesne samobieżne armatohaubice Krab i stareńkie (nieco „odświeżone”) czołgi T-72. „Dywizja wraca do postaci z pierwotnych założeń”, śmieją się wojskowi. Latem 2018 r. zapowiadano, że osiemnastka pozostanie lekkim związkiem taktycznym, szybko jednak pożegnano się z tą koncepcją, tworząc zręby dywizji ciężkiej, z dużą liczbą czołgów i wozów bojowych. Zmechanizowanej z nazwy, de facto – po zakończeniu dostaw amerykańskich czołgów Abrams – pancernej. Zdaje się, że to z jednej strony wyraz ambicji pisowskich polityków odpowiedzialnych za wojsko (głównie Mariusza

ataków. Na liście planowanych dostaw znajdują się też kolejne kraby, bojowe wozy piechoty Borsuk, transportery opancerzone Rosomak z bezzałogową wieżą ZSSW-30, kilka rodzajów dronów, zestawy raketowe obrony przeciwlotniczej Narew (krótkiego zasięgu) i Wisła (średniego zasięgu – w tym przypadku chodzi o słynne patrioty). A do tego mnóstwo wojskowej „drobnicy”, takiej jak naramienie wyrzutnie Piorun, będące postrachem rosyjskich pilotów w Ukrainie. To plany (uczciwie trzeba przyznać, że z dobrymi widokami na realizację) – na razie bowiem „żelazna” jest jak niemal całe wojsko „wyspowa nowoczesna”.

Tyle że te wyspy są rozleglejsze niż w innych dywizjach. Co, tak jak inny atut osiemnastki – kadry, zdradza smutną prawdę o realiach Wojska Polskiego. „Pięścią” 18. DZ są obecnie niemieckie leopardy 2 z 1. Warszawskiej Brygady Pancernej, po modernizacji do standardu 2PL znacząco lepsze od wszystkich rosyjskich czołgów. Mogłoby to tylko cieszyć, gdyby nie fakt, że „leose” zabrano wcześniej z 11. Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej, ▶

► stacjonującej na zachodzie Polski. Leopardy eksploatowano w jedenastce przez kilkanaście lat (pierwsza partia trafiła tam w 2002 r.), dywizja miała zatem doświadczone załogi i rozbudowane zaplecze techniczno-szkoleniowe. W Wesolej nie było nic, a czołgi przez kilka lat parkowano pod chmurką. Po prawdziwie forsowana przez PiS po 2015 r. koncepcja wzmocnienia wschodniej ściany kosztem zachodniej nie była politycznym awanturnictwem, a ideę wspierało wielu najwyższych rangą wojskowych, rzecz w tym, że problem rozwiązano na rympał. Zabrane pancerniakom z Lubuskiego czołgi trafiły pod Warszawę, używane dotąd w brygadzie z Wesolej

podpisaniu umów wykonawczych z Koreańczykami (przewidujących pierwsze dostawy już w tym roku). Na marginesie warto zauważyć, że klaruje nam się obraz Wojsk Lądowych jak z branżowego dowcipu. Biorąc pod uwagę wiodącą broń, 18. DZ będzie dywizją „amerykańską”, 16. DZ „koreańską”, a 11. DKPanc. na powrót stanie się „niemiecką”. W tym żarcie wyraźnych barw dla 12. DZ nie przewidziano.

Demografii nie oszukasz

Wracając zaś do sedna, recykling i kanibalizacja dotyczą nie tylko sprzętu, ale i ludzi. Szczegółowe dane o przepływach kadrowych są

kierowcy ciężarówki. Taki stan rzeczy skutkuje przeciążeniem obowiązkami, spadkiem morale, odejściami ze służby. W ujęciu całościowym pokazuje, jakim wyzwaniem jest powiększanie armii. Presja na rekrutacyjny sukces wybranej jednostki niechybnie oznacza problemy kadrowe gdzie indziej. Bogactwo zasobów ludzkich – kobiet i mężczyzn zdolnych do służby wojskowej – jest bowiem pozorne. Co z tego, że mamy w Polsce kilkanaście milionów potencjalnych żołnierzy, skoro młodzież nie garnie się w kamasze? Proces formowania 18. DZ osiągnął dopiero półmetek, bo przewidziano go na lata 2019-2026, a dywizja nie powstaje od zera. Zapewne będzie sukces, ale na horyzoncie widać ciemne chmury w postaci pomysłów utworzenia piątej, ba, szóstej dywizji. Przy obecnych uwarunkowaniach demograficznych i kulturowych nie da się tego zrobić inaczej jak poprzez „rozwadnianie” już istniejących dywizji.

Niezależnie od tego, jaki los czeka 18. DZ, nie będzie to już zmartwienie/radość dotychczasowego dowódcy. Kilka tygodni temu jego miejsce nieoczekiwanie zajął gen. bryg. Arkadiusz Szkutnik. Gromadziński został jednym z zastępców w Międzynarodowym Zespole ds. Pomocy Ukrainie. Ma to być przeniesienie na równoległe stanowisko, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że jest inaczej.

Proces formowania osiemnastki wystartował we wrześniu 2018 r., a na jej dowódcę wyznaczono gen. Jarosława Gromadzińskiego.

PT-91 Twardy posłano na Warmię i Mazury, by zastąpiły najgorsze w całej puli poradzieckie T-72. Zajebrane „siedem-dwójki” z północno-wschodniej Polski powędrowały z kolei w Lubuskie, gdzie dotąd jeżdżono leopardami. Koło się zamknęło, dla pancerniaków z 11. DKPanc. podwójnie i z wyjątkowo smutnym finałem – oto znów musieli wsiąść do T-72, które w międzyczasie wcale nie odmłodziły. Tę niegdyś najsilniejszą dywizję pancerną w Europie zamieniono w lamus, a 1. WBPanc. zaczęła żmudną drogę do budowy zdolności bojowej na nowym sprzęcie. Szczęśliwie po drodze nikomu nie przyszło do głowy wykorzystywać osłabienia WP.

Ta historia zresztą jeszcze się nie kończy. Napięte relacje z Niemcami i presja Amerykanów sprawiły, że nie kupimy kolejnych leopardów. Na scenę wkroczył Abrams i to on ma się stać jedynym typem czołgu używanym przez jednostki 18. DZ. „Leosie” zatem – nim ostatecznie znikną z arsenału Wojska Polskiego – najpewniej wrócą do 11. DKPanc. Koreańskie czołgi K-2, zamówione obok abramsów, przeznaczone będą dla 16. dywizji. Zapowiedział to niedawno minister Błaszczak, po

niejawne, ale wystarczy prześledzić ścieżki kariery oficerów średniego i wyższego szczebla 18. DZ, by stało się jasne, że w dużym stopniu posila się ona ludźmi z innych jednostek. Obietnice szybszych awansów, nowe wyzwania czy choćby kalkulacja, że w dywizji będącej oczkiem w głowie władzy służba może być bardziej intratna, robią swoje. Identyczny proces drenażu kadr obserwowaliśmy, gdy ruszał projekt pt. WOT.

Nieznany szerzej oficer ujawnił się jako bardzo sprawny dowódca-organizator.

Nie wypada zżymać się na decyzje poszczególnych wojskowych, warto jednak mieć świadomość skutków takich wyborów. Znów nie zdradzę żadnej tajemnicy, pisząc, że poziom ukończenia wielu jednostek WP nie należy do wysokich. Nawet w brygadach oddawanych do dyspozycji NATO/UE, posyłanych na międzynarodowe misje, sporo jest wakatów. Ba, kreatywna księgowość pozwala na policzenie jednego człowieka raz dwa – gdy np. w jednej kompanii jest na etacie strzelca, a do drugiej oddelegowano go na etat

Z drugiej strony zespół to amerykańska inicjatywa, Waszyngton zaś zamierza skończyć z doraźną pomocą dla Kijowa. Wkrótce zmieni się ona w misję na wzór irackiej i afgańskiej (bez angażowania się w działania kinetyczne). Oznacza to m.in. stałe finansowanie, a dla personelu specjalne odznaczenia, wynagrodzenia i ścieżki awansu. Możliwe, że i Gromadziński wykorzysta ów angaż jako trampolinę.

Marcin Ogódowski
m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

Deklaracje guzik warte

Rydz-Śmigły: Nie tylko nie damy całej Polski, ale nawet guzika
Błaszczak: Nie dopuścimy do tego, żeby chociażby skrawek polskiej ziemi był okupowany przez Rosję

Paweł Dybicz

Puszenie się i tromtadracja zawsze cechowały naszych polityków i dowódców, mówiących o potędze państwa polskiego i polskiej armii. Ufni w siłę wojska składali gośtowne deklaracje, pod publiczność, choć fachowcy wiedzieli, że prawda jest zgoła inna. Słabość i niedoinwestowanie polskiej armii, będące pochodną słabości gospodarki państwa, znane były tylko nielicznym.

Marszałek Edward Rydz-Śmigły na zjeździe legionistów w 1935 r. wypowiedział znamienne słowa: „Płonne są rachuby na słabość Polski jej wrogów. (...) Nie tylko nie damy całej Polski, ale nawet guzika”. Wrzesień 1939 r. zweryfikował buńczuczne zapowiedzi Rydza. Stały się one symbolem chwały i braku poczucia realizmu, przyczyniając się do prześmiewczej opinii Polaków nie tylko o autorze tych słów, ale także o całej sanacyjnej władzy i jej elitach. Polska musiała przegrać z Niemcami; porównanie choćby liczebności i wyposażenia armii polskiej i niemieckiej, wreszcie potencjału gospodarczego (sześciokrotnie większy niż II RP) i ludnościowego (Niemcy – 69,3 mln, dwa razy więcej niż Polska), jednoznacznie wskazywało na klęskę II RP.

Skąd więc powszechnie panujące wtedy przekonanie, że odeprzemy atak III Rzeszy i obronimy naszą niepodległość? Głównie brało się ono z przeświadczenia, że jesteśmy mocarstwem (wygrana wojna 1920 r.), a przede wszystkim, że za nami stoją wielcy sojusznicy, z którymi Niemcy nie mają szans w zbrojnym starciu. Jak było w rzeczywistości, pokazał choćby rok

1940 z klęską Francji. Wiarę w zwycięstwo Polski umacniały sojusznicze umowy z Francją i Wielką Brytanią. Już w czasie wojny mówiono o nich: „papierowe sojusze”.

Dziś, w obliczu napaści Rosji na Ukrainę i ogólnego wzrostu napięcia w świecie (np. konfliktu o Tajwan), a przede wszystkim radykalnego pogorszenia się stosunków Warszawy z Moskwą, dają się słyszeć deklaracje polskich polityków i niektórych wojskowych podobne do tych składanych przez Rydza prawie 90 lat temu. Słowa ministra Mariusza Błaszczaka, wypowiedziane parę dni temu podczas odchodów

PORÓWNIANIE LICZEBNOŚCI I WYPOSAŻENIA ARMII POLSKIEJ I NIEMIECKIEJ

	Polska	Niemcy
Żołnierze	0,95 mln	1,85 mln
Broń pancerna	600	2,8 tys.
Artyleria	4,5 tys.	11 tys.
Samoloty	400	2 tys.

102. rocznicy bitwy pod Komarowem w czasie wojny 1920 r. i odsłonięcia pomnika: „Nie dopuścimy do tego, żeby chociażby skrawek polskiej ziemi był okupowany przez Rosję. Chcemy i potrafimy bronić naszej ojczyzny”, brzmią niczym tamto „nie oddamy ani guzika”.

Słów ministra nie można skomentować inaczej jak guzik warte.

Pomijam już to, że nasza armia została niemalże ogołociona ze sprzętu, ten bowiem został w znacznym stopniu przekazany Ukrainie. Szumne zapowiedzi, że kupiliśmy ileś czołgów w USA

i Korei Południowej, to pieśń przyszłości. Tak nawiasem mówiąc, przed wojną 1939 r. też poczyniliśmy spore zakupy.

Skąd się wzięły te dzisiejsze chętelne deklaracje? Ano również z bezgranicznej wiary, chyba jeszcze większej niż u piłsudczyków, że za nami stoją militarne potęgi – USA, Anglia, Francja czy Niemcy. I że NATO pokonałoby Rosję. Pewnie tak by było, tylko czy można mieć stuprocentową pewność, że znów nie zostaniemy sami? Zdradzeni, jak myślało i myśli wielu Polaków?

Lekceważący lub fałszujący przeszłość historycy i publicyści legitymizują obecnie tupet i tromtadrację Rydza, oświadczając, że w 1939 r. obronilibyśmy się, gdyby Sowieci nie napadli na nas 17 września. Jedynie, co im można powiedzieć, to aby sprawdzili, kiedy Niemcy stanęli pod Warszawą. Owszem, Sowieci dobili Polskę, ale w chwili, kiedy jej losy były już przesądzone.

Butne deklaracje współgrają z antyniemiecką retoryką, którą posługują się kaczyści i która ma im pomóc w wygranym wyborów parlamentarnych. Sięgają zaś po nią, bo potrzebują wroga, a straszenie LGBT już nie bardzo skutkuje.

Nie oddamy ani guzika – dzisiaj chyba żaden polski polityk czy generał nie użyłby takiej enuncjacji, bo guzik bardziej się kojarzy z guzikiem atomowym niż tym od munduru.

Nie tylko wojowniczymu ministrowi warto zatem polecić lekturę książki PRZEGLĄDU „Kto odpowiada za klęskę wrześniową. Próby rozliczeń 1939-1954”. Jako przestrożę, że buńczuczne deklaracje prędzej czy później – najczęściej prędzej – wystawiają ocenę wypowiadającym je i pokazują ich śmieszność.

■

„Silni, zwarci, gotowi”, czyli zbiorowe otumanienie Polaków

Piotr Kimla

Kolejna rocznica wybuchu II wojny światowej jest szczególna, bo wypada, gdy wciąż toczą się walki zbrojne za naszą wschodnią granicą. Ponieważ jesteśmy zaangażowani w konflikt rosyjsko-ukraiński, wielu Polakom udzieliło się wojenne podniecenie. Szczególnie w początkowej fazie konfliktu można było z łatwością się go dosłuchać w dyskusjach. Nie tylko studenci i doktoranci stosunków międzynarodowych, ale też ludzie niepoświęcający polityce międzynarodowej wiele uwagi wyrażali przekonanie, że gdyby doszło do wojny NATO-Rosja, NATO ją wygra. I że nadarza się znakomita okazja, aby Rosję ukarać, „wybić jej zęby”, „zrobić z nią porządek”, by przestała zagrażać nie tylko Ukrainie, ale także nam i całemu Zachodowi. Taki stan ducha, o ile znalazłby podatny grunt do wzrostu, mógłby się przeobrazić w bardzo niebezpieczną pułapkę. Taką, w jaką wpadli nasi rodacy w przededniu wojny z Niemcami, wierząc, że są „silni, zwarci, gotowi”. Konfrontacja z rzeczywistością wykazała, że nie byliśmy ani silni, ani gotowi. Nasi przodkowie w obliczu zagrożenia wojennego byli co najwyżej zwarci w patriotycznym uniesieniu i w fantasmagorycznym wyobrażeniu o swojej ukochanej armii. Zupełnie tak, jakby określenie nasermatyzm nie istniało i nie miało się dobrze w wojsku II Rzeczypospolitej.

Pogląd, że NATO wygrałoby wojnę z Rosją, jest słuszny. Uwagi głoszących go uchodzi jedynie to, że zwycięstwo Paktu Północnoatlantyckiego zostałoby poprzedzone całkowitym zdemolowaniem Polski. Podkreślałem i podkreślam, że taka, nie inna byłaby kolejność: zniszczenie Polski, następnie zwycięstwo NATO. Podobnie jak w trakcie II wojny światowej: zniszczenie Polski, następnie zwycięstwo nad Hitlerem. Liczenie na wojnę

NATO z Rosją, a nawet domaganie się jej odzwierciedla ujawniającą się wielokrotnie w historii polskiej polityki afektację, głuchą na rady rozumu i nauki płynące z doświadczenia. „Za czasów mej młodości przesadny umiar, chłodna krew i brak temperamentu w ocenianiu wydarzeń gniewały mnie, odpychały i gorszyły. Widziałem w tym nieomal degeneracką nieczułość na sprawy, które powinny wzruszać. Dziś po latach doświadczeń, do czego prowadzą temperamentowe konflikty, dziś po przekonaniu się, że Polacy nie umieją robić innej polityki niż uczuciowa i w rezultacie daje to klęskę za klęską, inaczej ten umiar oceniam” (Stanisław Cat-Mackiewicz, „Dom Radziwiłłów”).

Pogląd, że NATO wygrałoby wojnę z Rosją, jest słuszny. Tylko że zwycięstwo zostałoby poprzedzone całkowitym zdemolowaniem Polski.

Dlatego uważam, że najrudymentarniejszym punktem teraźniejszej polskiej racji stanu winno być dążenie, i to dążenie ze wszystkich sił, do deeskalacji konfliktu Rosji z Ukrainą. Wydawałoby się, że aby pojąć przytoczony powyżej argument o sekwencji wydarzeń w śnionej przez niektórych Polaków wojnie Zachodu z Rosją, nie potrzeba wirtuozerii w zakresie myśli politycznej i strategicznej. Wystarczy niewielka doza realizmu oparta na zdrowym rozsądku. Dlaczego tak dużo w nas egzaltacji i tak mało realizmu, chociaż mam nadzieję, że mimo wszystko trochę więcej aniżeli w przededniu wojny z Hitlerem?

Rodzimej kulturze umysłowej brakuje dociekliwości, jeśli chodzi o przeświecenie przyczyn popełnionych w przeszłości błędów politycznych, przegranych wojen, poniesionych niepowetowanych strat. Przeważa w niej emocjonalność, pełna pobłażliwości niechęć do

rozdrapywania ran, co zazwyczaj jest bardzo kosztowne, bo nie pozwala na wyciągnięcie nauk na przyszłość. W sedno trafił przed dekadą prof. Stanisław Bieleń, pisząc, że w Polsce „mało kto wyciąga wnioski z historii, przydatne dla bieżącej bądź przyszłej polityki. Nie analizuje się błędów popełnionych w przeszłości, zakładając, że ich nigdy nie popełniono. W polityce zagranicznej Polski brakuje krytycznych przewartościowań. Wszystkie posunięcia uzyskują ex post bezrefleksyjną milczącą akceptację, co nie tworzy klimatu dla racjonalizacji przyszłych zachowań. Jeśli nawet toczy się debata o przeszłości, to jej poziom intelektualny jest coraz niższy, towarzyszy mu natomiast rosnący poziom

agresji. Potępia się każdego, kto naraża się powszechnie obowiązującej poprawności” („Szanse na pojednanie polsko-rosyjskie w świetle wyzwań geopolitycznych”, s. 214). Gdyby nasza kultura była głęboko refleksyjna, dawno znalibyśmy odpowiedź na pytanie, jak to było możliwe, że w przededniu wybuchu II wojny światowej ogół polskiego społeczeństwa – od ludzi bardzo wykształconych do tych bez wykształcenia – podzielał przekonanie, że „dojdziemy do Berlina”. Że oto nadszedł czas utrząść nosa Hitlerowi i stanie się to niezawodnie za sprawą polskiej armii. Jak możliwa była zbiorowa hipnoza każąca wierzyć w polską potęgę i ślepotą na siły i atuty przeciwnika? Jakim cudem wytworzono/wytworzyło się owo patetyczne uniesienie społeczeństwa palącego się do rozprawy zbrojnej z przeciwnikiem? Społeczeństwa nierozumiejącego elementarnej zasady strategicznej, że najczęściej z wojny zwycięsko

wychodzi ten, kto przystępuje do niej ostatni. Gorzko i dosadnie pisał na ten temat cytowany wyżej Cat-Mackiewicz: „Wszystkie państwa tego świata starały się wejść do wojny z Niemcami możliwie najpóźniej, wszystkie starały się możliwie dużą ilość swych sił zachować na finisz wojny. Wszystkie – za wyjątkiem Polski. (...) Myśmy do wojny wskoczyli pierwsi, jak gdyby bojąc się, że o nas zapomną i nas do tej zabawy nie zaproszą” („Lady Makbet myje ręce”).

Uderzające jest, że także osobom zrównoważonym udzielił się nastrój patriotycznego zakochania w polskim wojsku połączony z niemożnością wyobrażenia sobie, że wojsko to mogłoby przegrać wojnę. Do osób takich trzeba zaliczyć Ferdynanda Goetla – wziętego pisarza w okresie II Rzeczypospolitej. Goetel notuje w „Czasach wojny”, że przed wybuchem konfliktu tylko dwie osoby wskazywały mu, że może on się potoczyć inaczej, aniżeli prawie wszyscy w Polsce oczekują. Pierwszą był gen. Ludomił Rayski – dowódca lotnictwa w latach 1926-1939 (dowódca w tzw. torze pokojowym). Kiedy Goetel w rozmowie zaczął „przepisowo” zachwalać walory polskich lotników, Rayski ripostował, że lotnicy owszem, ale maszyny, jakie mają do dyspozycji, to „szkoda gadać”. Drugą osobą był Władysław Studnicki – działacz niepodległościowy, płodny pisarz polityczny, czołowy polski germanofil. W kawiarnianej dyskusji Studnicki klarował Goetlowi, że wojna polsko-niemiecka potrwa trzy tygodnie i skończy się klęską Polski, że przeciwnik wcale nie jest słaby i nie ma tych braków, o których w Polsce propagandowo się mówi. Warto zaznaczyć, że Studnicki, przewidzawszy wcześniej trafnie wynik wojny rosyjsko-japońskiej, nie pomylił się, jeśli chodzi o wojnę niemiecko-polską, m.in. dzięki korzystaniu z danych ekonomicznych. Porównywał przykładowo liczbę pojazdów mechanicznych w Polsce i w Niemczech, a porównania te wypadały dla Polski druzgocąco. W rozmowie z Goetlem Studnicki nie mógł się nadziwić, że rozsądny i „umiejący samodzielnie myśleć” pisarz nie rozumie, że wojna polsko-niemiecka będzie tragedią dla Europy, a ostatecznie zwycięsko wyjdzie z niej

Związek Radziecki. Goetel powiada, że nie wierzył w słowa Studnickiego i że zrobił on na nim „wrażenie maniaka”. Należy jeszcze odnotować, że cały nakład pracy Studnickiego „Wobec nadchodzącej drugiej wojny światowej”, zawierający streszczane Goetlowi argumenty, został przez władze sanacyjne skonfiskowany. Autor przytacza w niej wypowiedzi padające w angielskim parlamencie, że gdyby wojna „jutro wybuchła”, Anglia nie mogłaby wysłać do Polski ani jednego żołnierza. Podobnie Francja.

Daje do myślenia to, że ludzi, którzy tak jak Rayski i Studnicki zdawali sobie sprawę z konsekwencji starcia polsko-niemieckiego dla naszego kraju i w związku z tym uważali, że należy włożyć maksymalny wysiłek w jego uniknięcie, było naprawdę niewielu. Należy na pewno wymienić Stanisława Cata-Mackiewicza, Adolfa Bocheńskiego, Wacława Zbyszewskiego i Stanisława Świaniewicza. Chyba nie było ich dużo więcej. W każdym razie, jak wspomina Świaniewicz w książce „W cieniu Katynia”, osoby te „nie miały realnego wpływu na politykę zagraniczną ani nie reprezentowały jakiegokolwiek większego grupu”.

Najoczywistsza myśl co do zaistnienia tego stanu zbiorowego otumanienia Polaków wiedzie ku kwestii skuteczności propagandy rządowej. Wydaje się jednak, że propaganda ta okazała

się tak skuteczna, ponieważ namawiała naszych przodków do tego, co odczuwali bez żadnej namowy. W niedawno odzyskanym państwie istniał autentyczny patriotyzm połączony z zakochaniem w wojsku, spotęgowanym zapewne „cudem nad Wisłą”. Kiedy – niezbyt często – przyjmujemy realistyczny punkt widzenia, musi nam towarzyszyć zdziwienie, że politycy i wojskowi, którzy spowodowali, iż polscy obywatele byli pędzeni na mroz, topieni w lodowatych rzekach, wywłaszczani, deportowani, rozstrzeliwani, zagazowywani w obozach koncentracyjnych, nie stali się przedmiotem pogardy. Przeciwnie, ludzie ci mają w dzisiejszej Polsce pomniki, ronda ich imienia, ulice. Mają je, chociaż sprzeniewierzyli się swojemu podstawowemu zadaniu przeprowadzenia przez kataklizm wspólnoty, której przewodzili, w jak najlepszej kondycji. Darzeni są nieraz większą rewerencją od tych wszystkich, którzy wnieśli wkład do rozwoju Polski pod względem ekonomicznym, naukowym, artystycznym. Kiedy zachodzimy w głowę, jak to wszystko jest możliwe, warto sobie przypomnieć, że ci politycy utracusze działali w absolutnej symbiozie z opinią publiczną.

Prof. UJ dr hab. Piotr Kimla jest pracownikiem Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego

Tytuł dostępny tylko jako E-BOOK

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl

DOKUMENTY KOMISJI POWOŁANEJ PRZECZ GEN. SIKORSKIEGO OBNAŻAJĄ NIEUDOLNOŚĆ RZĄDÓW SANACYJNEJ ELITY

Najpierw „góra” zaczęła uciekać, nie tylko w wojsku, ale i w administracji. Nic dziwnego, mieli przecież czym uciekać i za co



~~29,90 zł~~
9,90 zł

Komu i dlaczego zagrozi prof. Wakat

Stosowane przez rząd i samorządy metody radzenia sobie z kryzysem kadrowym można nazwać ratowaniem publicznej oświaty do ostatniego nauczyciela

Małgorzata Żuber-Zielicz

W kilku tekstach na łamach PRZEGŁĄDU przedstawiałam narastające zagrożenie egzystencji polskich szkół publicznych, szczególnie średnich, brakiem nauczycieli. Do tej pory polska edukacja korzystała z obfitości kadr zatrudnionych jeszcze w PRL do nauki roczników wyżu z lat 80., kiedy to rocznie rodziło się dwa razy więcej dzieci niż obecnie. Teraz to pokolenie nauczycieli odchodzi. Ministerstwo Edukacji i Nauki z ministrem Przemysławem Czarńskim skale problemu bagatelizują – w tym roku na kuratorskich stronach jest dwukrotnie więcej ofert pracy niż rok temu, a te 20 tys. ofert odpowiada zaledwie ok. 3% polskich nauczycieli. Kłopot w tym, że braki kadrowe nie są rozłożone równomiernie ani pod względem terytorialnym, ani przedmiotów, do których nauczycieli brakuje. Nauczycieli jest bowiem za mało głównie w wielkich miastach (szczególnie w stolicy) i brak ten dotyczy zwłaszcza takich przedmiotów jak fizyka, informatyka, matematyka czy chemia (oraz przedmioty zawodowe w stosownych szkołach). Co warszawskiemu licealiście po pełnej obsadzie kadrowej liceum w Sokółce, co mu nawet po tym, że jego liceum może przebiegać w historykach, skoro np. fizyki uczyć go będzie prof. Wakat, a on wybiera się na politechnikę?

Nauczyciel na półtora etatu

Według aktualnego raportu o stanie miasta dla Warszawy za rok 2021 (co obejmuje również ostatni rok szkolny) w stolicy brakowało prawie 50 nauczycieli fizyki. Zwykle szkoła

średnia przeciętnej wielkości potrzebuje jednego, dwóch fizyków. W stolicy jest ok. 300 szkół średnich. Jeśli deficyt kadr, jak to wynika z porównania liczby tegorocznych i ubiegłorocznych ofert pracy dla nauczycieli, podwoi się, to od września będzie już brakowało ok. 100 fizyków. Co oznacza, że w co trzeciej szkole średniej nie będzie co najmniej jednego fizyka, często jedynego. Podobny scenariusz rysuje się w wypadku innych przedmiotów ścisłych. Jeszcze gorzej jest z przedmiotami zawodowymi. W najlepszym w kraju stołecznym technikum mechatronicznym na Wiśniowej jeden z nauczycieli przedmiotów zawodowych ma już... 82 lata. Następcy brak.

Na kuratorskich stronach jest dwukrotnie więcej ofert pracy niż rok temu.

Fizyczny brak nauczyciela to wierzchołek góry lodowej problemów związanych z zaostrzającym się kryzysem kadrowym oświaty. Bo wielu nauczycieli, szczególnie przedmiotów deficytowych, uczy na półtora i więcej etatu. Oczywiście można odrabiać swoje godziny „tablicowe” w ten sposób, ale jakość pracy drastycznie wtedy spada. Żeby pracować efektywnie, trzeba na każdą godzinę przy tablicy poświęcić drugą na jej przygotowanie, ocenianie prac domowych i sprawdzianów oraz podobne zajęcia, a przecież masę czasu pochłania rozdęta w polskiej szkole do granic absurdu biurokracja. Można oczywiście poświęcić mniej czasu, ale wtedy lekcje są gorzej przygotowane.

To nie koniec problemów z deficytem pracowników. Z braku lepszych

ofert często zatrudnia się w szkołach kogokolwiek, na co postawione pod ścianą kuratoria udzielają zgody. To owocuje np. częstą rotacją nauczycieli – znam renomowane stołeczne licea, gdzie zdające za rok maturę klasy miały w ciągu trzech lat nauki już czterech nauczycieli fizyki, a będą miały piątego. Przemęczeni nauczyciele częściej chorują, chorują też nauczycielscy emeryci, zatrudnieni po wielu namowach.

Pokusy wielkich miast

W tym momencie warto zapytać o przyczyny kryzysu kadrowego w oświacie i jego zróżnicowania terytorialnego. Tak naprawdę

edukacyjna Polska jest podzielona na dwa światy, czego nie chcą widzieć decydenci. Jeden to świat gminno-powiatowy. Płace i ceny (szczególnie mieszkań) są tu relatywnie niskie, więc nauczycielska praca i płaca nie mają atrakcyjnej konkurencji. Wielu młodych ludzi wyjeżdża stąd za pracą, toteż liczba dzieci i młodzieży w wieku szkolnym raczej maleje, niż rośnie; szkoły nie są przepełnione. Możliwość dorobienia do nauczycielskiego etatu paru złotych nadgodzinami jest nie do pogardzenia. W tym świecie o żadnym kryzysie kadrowym ani o problemach z kumulacją roczników w szkołach średnich raczej nie słychać. Tak się składa, że dominuje tu elektorat PiS, więc rządzący postrzegają zjawiska edukacyjne w Polsce przez pryzmat tego świata.



Zupełnie inaczej jest w wielkich miastach, gdzie przewagę ma opozycja, ta jednak kwestiami edukacyjnymi zajmuje się co najwyżej w sposób werbalno-rytualny, czyli na razie rządzącym niczym to nie grozi.

Wielkie miasta mają wiele atrakcyjnych, nie tylko płacowo, ofert pracy. Z jednej strony, stwarza to ogromną konkurencję dla zatrudnienia w oświacie. Z drugiej – ciągną do nich młodzi ludzie, rosną nowe osiedla, to i liczba uczniów raczej rośnie tam, niż maleje. Z kolei wysokie średnie płace w tych miastach powodują, że i ceny, szczególnie mieszkań, są na tle Polski gminno-powiatowej niebotyczne. Oczywiście z tego bogactwa wynikają odpowiednio wyższe wpływy budżetowe samorządów z podatków i innych opłat. Niestety, zwykle samorządowcy mają inne priorytety. W stolicy, po licznych cięciach w budżecie edukacyjnym (m.in. rezygnacji z opłacanych przez miasto kółek przedmiotowych w szkołach) w minionym roku szkolnym, przy rozliczeniu w kwietniu

budżetu za rok 2021 okazało się, że miasto miało ponad 2 mld zł (ok. 10% całego budżetu!) nadwyżki budżetowej i 1,3 mld zł nadwyżki przychodów nad wydatkami. Mimo to oszczędności na dzieciach i młodzieży kontynuowano. Choćby taka organizowana przez stolicę akcja

Wielu nauczycieli, szczególnie przedmiotów deficytowych, uczy na półtora i więcej etatu.

„Lato w mieście” – w poprzedniej kadencji bezpłatna, tego lata kosztowała aż 50 zł za osobodzień.

Lepiej zostać korepetytorem

Nauczyciele jednak odchodzą ze szkoły publicznej bądź nie podejmują w niej pracy nie tylko z przyczyn materialnych. Niektóre odejścia wynikają z działań pracodawców, inne – ze zmian psychospołecznych w Polsce, a jeszcze inne są efektem sprzężenia zwrotnego między postępującą

destrukcją polskiego systemu edukacji publicznej a rosnącą liczbą możliwości zarobkowania poza nim.

Zacznijmy od pracodawców. Widząc problemy kadrowe, próbują oni pozorować, że jakoś je rozwiązują, skąpiąc jednocześnie, jak mogą, środków na ten cel. O edukacyjnym skąpstwie stolicy już wspomniałam. Z kolei Jarosław Kaczyński, zapytany w lipcu o płace nauczycieli, raczył odpowiedzieć, że to problem, owszem, ważny, ale pracowników oświaty jest strasznie dużo – podwyżka byłaby trudna dla budżetu, toteż niczego w tej kwestii rząd nie zrobi. Pierwszy pomysł i rządu, i samorządów, jak zareagować na deficyt pedagogów, polega na zwiększaniu liczby uczniów na jednego nauczyciela. Rząd próbuje to robić, podnosząc pensum, a samorządowcy – upychając jak najwięcej uczniów w klasie. Oczywiście obie metody są samobójcze – pogarszając drastycznie warunki pracy, raczej zachęcają nauczycieli do odejścia i zniechęcają potencjalnych przychodzących.

Drugi pomysł, też wspólny dla rządu i samorządów, polega na podnoszeniu płac, ale tylko początkującym nauczycielom, przy pozostawieniu wynagrodzeń reszty bez zmian lub prawie bez zmian. Oznacza to, że młody nauczyciel po studiach, przechodząc w ciągu wielu lat przez nieustannie zmieniany, biurokratyzowany system awansu zawodowego, będzie na kolejnych

jego szczeblach uzyskiwał prawie wyłącznie tytuły, a nie lepsze stawki. Na szczycie zaś będzie go czekała najwyżej średnia krajowa. Pewności co do ścieżki awansu też nie ma – po wyrzuceniu do kosza przez Handkego i Dzierzgowską poprzedniego systemu awansu i wprowadzeniu nowego, niezbyt przemyślanego, manipulacje przy nim trwają bez końca. Nawet międzynarodowy sukces uczniów, nie mówiąc o innych, nie jest doceniany. Jest tylko jeden chlubny wyjątek. Minister Janusz ▶

► Cieszyński (znany skądinąd z afery respiratorowej), odpowiadając w KPRM za informatykę, wprowadził zasadę, że nauczyciele informatyki mogą za szczególnie wybitne sukcesy swoich uczniów otrzymywać nagrody na poziomie nawet 30 i 50 tys. zł. W przypadku innych przedmiotów ewentualne nagrody, i to dla bardzo nielicznych, są co najmniej 15-krotnie niższe. Na pewno więc praca w szkole nie będzie konkurencyjna w stosunku do chociażby kasy w hipermarkecie. Tam nie ma problemów ze zmianą pracy nawet co rok w pogoni za lepszą płacą. Obie te metody radzenia sobie z kryzysem kadrowym można określić jako „ratowanie oświaty publicznej do ostatniego nauczyciela”.

Masę czasu pochłania rozdęta w polskiej szkole do granic absurdu biurokracja.

Innym bodźcem do odchodzenia z zawodu jest gwałtownie rosnący rynek korepetycji oraz kursów wszelkiego rodzaju. Wielu odchodzących nauczycieli deklaruje, że zajmie się teraz wyłącznie swoją firmą korepetycyjną. Świetnie na to wpływają działania ministra Czarńka i szefa CKE Marcina Smolika, którzy zapowiadają trudniejszą maturę za rok, a szczególnie za trzy lata (po ustaniu pandemicznych ułatwień). Prywatyzuje się także rynek zajęć wspierających uzdolnienia, przygotowujących do olimpiad i konkursów – poza splendorem i satysfakcją ma to niebagatelne znaczenie rekrutacyjne. W dodatku zarówno pogarszające się warunki nauki w szkołach publicznych, jak i kumulacja roczników w szkołach średnich (zawita do nich od września i za rok po pół dodatkowego rocznika) powodują bum na średnie szkoły niepubliczne. Te zaś, korzystając zarówno z subwencji (identycznej na ucznia jak w publicznych!), jak i z czesnego, oraz mając większą elastyczność w wydawaniu środków, są w stanie zaoferować nauczycielom zdecydowanie lepsze warunki pracy – i mniejsze klasy (do 15 uczniów mniej więcej), i wyższe

wynagrodzenie. Mnie samej oferowano i 150 zł za godzinę lekcyjną, a słyszałam o wyższych ofertach i stawkach za godzinę deficytowego przedmiotu. Nic dziwnego, że odchodzą nauczyciele najlepsi i najbardziej efektywni.

Rodzice na wczasach all inclusive

Jest jeszcze jeden czynnik sprzyjający odchodzeniu nauczycieli ze szkół. To wewnątrzszkolne relacje międzyludzkie i brak możliwości efektywnego wykonywania zawodu. Dotyczy to relacji pomiędzy nauczycielami a uczniami i rodzicami oraz relacji pomiędzy nauczycielami i dyrekcjami szkół oraz samymi nauczycielami. Od czasów „reformy”

poziomie intelektualnym. Tymczasem rodzice bywają różni. Choćby pandemia i ruch antyszczepionkowy dały obraz tego, jak wielu ludzi w naszym kraju odbiega od modelu tej racjonalności. Również na temat edukacji jest masa różnych pomysłów, bo podobnie jak w medycynie mamy w oświacie tłumy samozwańczych ekspertów. Generalnie rodzice oczekują, jak na wczasach all inclusive w pięciogwiazdkowym hotelu, że nauczyciel „zawsze właściwie dobierze sposoby rozwiązania napotykanых problemów, świetnie zmotywuje podopiecznych, znakomicie zaspokoi nawet sprzeczne oczekiwania ich rodziców i jeszcze oczywiście zrealizuje podstawę programową. Aha, i przygotuje uczniów do błyskotliwego zaliczenia egzaminów, a przy tym wystawi satysfakcjonujące wszystkich stopnie”, jak opisał to na blogu instruktor harcerski oraz twórca i dyrektor świetnej warszawskiej szkoły społecznej Jarosław Pytlak.

Przy czym wielu rodziców ze wszystkimi, nazwijmy to, wątpliwościami zwraca się nie do nauczyciela („Co ja będę z pokojową rozmawiał?”), ale od razu do dyrektora. Na przykład skarżą się w sprawach tej wagi co fakt, że nowy wychowawca klasy nie odpowiada na mejle w dzienniku elektronicznym. Mejle te zaś były zwykłymi usprawiedliwieniami nieobecności, typu „Jasia nie było w szkole, bo był przeziębiony”,

Opozycja kwestiami edukacyjnymi zajmuje się co najwyżej w sposób werbalno-rytualny.

dawniej uważali, że uczeń uczy się przede wszystkim dla siebie i swojej przyszłości oraz jest odpowiedzialny za wyniki. Obecnie w znaczącej większości uważają, że uczeń uczy się dla stopni i nauczyciela/szkoły, a za efekt także w 100% odpowiadają nauczyciel i szkoła.

Efektywna edukacja związana jest z dobrą komunikacją i relacjami pomiędzy rodzicami i uczniami. System szkolny utopijnie zaprojektowano w Polsce, zakładając, że rodzic jest racjonalną osobą na pewnym

a dziennik elektroniczny pokazuje, czy mejl odebrano, czy nie. Dyrektorzy takich SMS-ów, telefonów i mejli otrzymują dziennie dziesiątki i trudno o wyjaśnianie każdej sytuacji, więc nauczyciel najczęściej dowiaduje się, że rodzice skarżą się na niego, czasem – w jakiej sprawie. No i znajduje się w sytuacji bohatera „Procesu” Kafki, niby jest o coś oskarżony, ale o co i co z tym można zrobić? Na dodatek rodzice często zastrzegają sobie anonimowość, więc nie wiadomo, o kogo chodzi.

Jeszcze inni idą i piszą od razu do kuratoriów, do czego one i MEN zachęcają. Bywają też rodzice, którzy do nauczycieli swoich dzieci piszą masowo obraźliwe listy – o ile nie zamieszczają w nich wulgaryzmów, trudno coś z tym zrobić. Co więcej, rodzic jest od dyrektora czy kuratorium niezależny, a nauczyciel owszem, więc choćby dla wygody urzędnicy

żeby „przestała głupoty opowiadać i zaczęła ich uczyć”. W innym przypadku nowa nauczycielka francuskiego chciała uczyć metodą zanurzenia w język, czyli mówienia na lekcji wyłącznie po francusku. Rodzice wymogli na dyrekcji, by klasa była uczona tak jak dotychczas – podanie i omówienie dziesięciu słów i ich znaczeń oraz wyegzekwowanie tego

z tzw. janosikowego czy przynajmniej zmianą jego formy!). Są to zwykle ci najzdolniejsi, najlepiej zmotywowani, najambitniejsi. Trudno się dziwić. Powiatowe szkoły są w stanie spełnić zapotrzebowanie „przeciętniaków” z okolicy na w miarę porządną edukację i niezłe zdanie matury, ale nic poza tym. To w wielkich miastach są licea rozwijające potencjał najzdolniejszych, jest też cała gama techników różnych branż. Tego w większości miast powiatowych nigdy nie będzie. Wiem na pewno, że wszystkie licea z pierwszej

Wspólny pomysł rządu i samorządów na deficyt pedagogów polega na zwiększaniu liczby uczniów uczonych przez jednego nauczyciela.

biorą najczęściej, niezależnie od meritum, stronę rodziców, polecając nauczycielowi, żeby „coś” z tym zrobił i skargi się skończyły. Uległa poza tym erozji zasada, że w imię autorytetu zwierzchnika nie udziela mu się reprimendy przy podwładnych. Dziś niejeden dyrektor nie ma przed tym żadnych oporów, często bez nadzwyczajnej sytuacji ocenia z uczniami danego nauczyciela, co już mieści się w 45 symptomach mobbingu. Trudno w takich warunkach o niezakłóconą współpracę nauczyciela z klasą i rodzicami. Zwłaszcza że często tworzone są w mediach społecznościowych zamknięte grupy rodziców i uczniów z danej klasy, gdzie dyskusje nad wypowiedziami nauczycieli rozgrzewają się tak jak inba po znanej wypowiedzi Olgi Tokarczuk o tym, że nie tworzy dla idiotów. Sprzyjają temu mnożące się listy „myślozbrodni” – najnowsze pozycje na nich to fatfobia i klasizm. Nie można więc uczniowi powiedzieć np., że jego lektury (lub ich brak) o nim świadczą albo ćwiczenia gimnastyczne sprzyjają zdrowiu i smukłej sylwetce. Dla nieco starszych nauczycieli te szybko wydłużające się spisy mogą stanowić spory problem.

Dość częste są przypadki, że uczniowie i rodzice próbują na podstawie swojej internetowej wiedzy ingerować w sposób nauczania, do czego nie mają żadnych kompetencji. Gdy pewna nauczycielka angielskiego opowiadała w ramach lekcji zabawne historyjki w tym języku, by zajęcia uczynić ciekawszymi, uczniowie poszli na skargę do dyrekcji,

na kolejnej lekcji. Wielu rodziców sądzi, że „obsobaczony”, jak oczekują, przez dyrektora nauczyciel będzie pracował lepiej i zgodnie z ich „najmojszą prawdą”. Jest dokładnie odwrotnie – nauczyciel zwykle postara się wtedy ograniczyć aktywność do najbardziej schematycznej, tak by nie narażać się różnej maści oszłomom, a jego motywacja zdecydowanie spada.

Kłęska wszystkich najzdolniejszych

Sporo kłopotów sprawiają też prowadzone pod publiczność akcje medialne. Przoduje tu niestety „Gazeta Wyborcza”. Kiedyś przez wiele lat nawoływała rodziców, by w sytuacji szkolnych problemów zawsze, bez wnikania w meritum, brali stronę dziecka, a w ostatnich latach występowała przeciw pracom domowym – to tylko te najbardziej spektakularne akcje.

Wielu rodziców ze wszystkimi problemami zwraca się nie do nauczyciela („Co ja będę z pokojową rozmawiał?”), ale od razu do dyrektora lub kuratorium.

Napisałam, że kłęska kadrowa publicznych szkół średnich dotknie przede wszystkim wielkie miasta. Tyle że odczują ją nie tylko dzieci mieszkańców. Do stołecznych liceów i szkół branżowych chodzi ponad 30% uczniów spoza Warszawy, do techników – ponad 40% (skądinąd nie mogę się nadziwić, że władze stolicy nie nagłaśniają tego faktu jako argumentu za zniesieniem

dziesiątki rankingu „Perspektyw” mają internaty – ba, do powstania jednego z nich sama przyłożyłam rękę. Internaty i bursy mają wielkie miasta, licea w nich i szkoły zawodowe. Bez kadry pedagogicznej w odpowiednich szkołach będą to jedynie drogie w utrzymaniu mury.

Kłęska kadrowa (teraz i za rok, kiedy w szkołach średnich znajdzie się już pięć całych roczników, a nie cztery i pół) szkół średnich z wielkich miast nie będzie więc kłęską tylko tych miast i ich młodzieży. To będzie kłęska wszystkich najzdolniejszych i najambitniejszych młodych ludzi w Polsce oraz ich rodziców! Przynajmniej tych, których nie stać na 50-100 tys. czesnego rocznie w prywatnej szkole. Dlatego jest ostatnia chwila, by zarówno rząd, jak i samorządowcy bogatych wielkich miast, zamiast przerzucać się odpowiedzialnością, zechcieli zająć się rozwiązywaniem tego problemu. Odbudowa

rumowiska po publicznej oświacie będzie zdecydowanie trudniejsza i droższa!!!

Małgorzata Żuber-Zielicz – nauczycielka fizyki, była dyrektor Gimnazjum i Liceum im. Stefana Batorego w Warszawie, gdzie m.in. wprowadziła program Międzynarodowej Matury, była wicedyrektor LO im. Mikołaja Kopernika w Warszawie, przewodnicząca Komisji Edukacji w Radzie m.st. Warszawy w latach 2006-2018, przewodnicząca Warszawskiej Rady Seniorów

Rok w Islamskim Emiracie Afganistanu

Jak zmienił się Afganistan od powrotu talibów do władzy

Rozmawia Jakub Dymek

Amerykanie zabili za pomocą ataku drona Ajmana al-Zawahiriego, ważnego członka Al-Kaidy, który ukrywał się w Kabulu. Czy fakt, że następcę bin Ladena zabito dopiero teraz i po przeszło 20 latach od inwazji na Afganistan, jest dowodem sukcesu, czy porażki tzw. wojny z terroryzmem?

– Zabicie Zawahiriego było z pewnością uzasadnionym aktem odwetu, który szczególnie ofiarom terroru Al-Kaidy mógł przynieść długo oczekiwaną satysfakcję. Ale całe dwie dekady tzw. wojny z terroryzmem trudno uznać za sukces. Sam Zawahiri, wbrew zapewnieniom Amerykanów, nie był aż tak kluczową postacią w Al-Kaidzie. A dowody na jego związki ze skutecznymi zamachami terrorystycznymi ostatnich lat są dość wątpliwe. Był ważnym ideologiem, towarzyszem bin Ladena, ale daleko mu do roli guru i lidera światowego terroryzmu.

A przecież wejście sił NATO i USA do Afganistanu 20 lat temu i odsunięcie talibów od władzy dokonało się pod pretekstem rozbicia siatek terrorystycznych i uniemożliwienia ludziom takim jak bin Laden czy Zawahiri ukrywania się w tym kraju.

– Bardzo się cieszę, że użyłeś słowa pretekst. Bo tak właśnie widzą to Afgańczycy. Często uważają, że odnalezienie bin Ladena w Afganistanie było tylko „pretekstem” do najechania ich kraju i do wypowiedzenia wojny całemu światu islamu przez Stany Zjednoczone. Przypomnijmy, co mówiono po 11 września 2001 r. Gdy okazało się, że to w Afganistanie ukrywał się bin Laden i prawdopodobnie tu zaplanował ataki na USA, światowe media – nawet te rzetelne, w rodzaju CNN – zaczęły łączyć ruch talibów

i Al-Kaidę w jedno. Pisano o „Tal-Kaidzie”, jak gdyby afgański reżim i ludzie bin Ladena tworzyli nierozdzielny wspólny byt.

A to nieprawda?

– W 1996 r. talibowie nawet nie kontrolowali jeszcze Dżalalabadu



JAGODA GRONDECKA

– iranistka i dziennikarka. Pochodzi z Głuszycy, mieszka w Kabulu

i wschodniej części kraju, gdzie trafił bin Laden, po tym jak został zmuszony do ucieczki z Sudanu. Tam wciąż rządili wtedy prezydent Rabbani i Gulbuddin Hekmatjar, wówczas premier i ważny warlord (watażka). Mułła Omar, lider talibów, dowiedział się, że ma u siebie takiego nieproszonego gościa jak bin Laden,

od ambasadora Pakistanu. Powody, dla których przez lata nie wydano bin Ladena Zachodowi, były liczne i dużo bardziej skomplikowane, niż mówi popularna, oparta na dość mocnych przeinaczeniach faktów opowieść o tym, że Saudyjczyk był wielkim dobrodziejem talibów i pożądanym w Afganistanie gościem. Nic podobnego.

Kolejne porównania między rządami talibów na przełomie milennium i dzisiaj narzucają się same. Wtedy, tak jak dziś, domagali się od świata i instytucji międzynarodowych uznania ich rządów. I wtedy, i teraz balansują między narzucaniem społeczeństwu surowych reguł religijnych a obietnicami reform i budowy bardziej reprezentatywnego rządu. Nadal prowadzą mało przejrzystą dla zewnętrznych obserwatorów grę.

– Trudno od tych porównań uciec. Tym bardziej że mimo wielu obietnic dzisiejsze rządy talibów nie różnią się aż tak od tych sprzed ponad 20 lat. Choć Zawahiri nie ukrywał się w jaskini, ale mieszkał na bogatym kabulskim osiedlu willi i wystawnych pałacików, najwyraźniej pod ścisłym nadzorem czy w swego rodzaju areszcie domowym. Zamach na niego wyprowadził też niemało mieszkańców Kabulu na ulice – część protestowała, bo zachęcił ich do tego lokalny mułła, ale część również była szczerze oburzona i zaniepokojona tym, że rok po wyjściu wojsk USA z Afganistanu znów dochodzi tu do ataków i amerykańskich nalotów.

Cofnijmy się zatem o rok. Jak wyglądały te letnie miesiące i czas, który poprzedził – jak potem się okazało – nieuchronny powrót talibów do władzy w Kabulu?

– Już latem talibowie przejmowali wsie i kolejne kluczowe punkty, ale nawet wtedy rząd centralny robił dobrą minę do złej gry i przekonywał,

że to właściwie celowa strategia: pozwolić talibom przejąć prowincję, ale zachować władzę w miastach. Kiedy odwiedziłam bazę wojskową Bagram, już pod kontrolą afgańskiego wojska rządowego, jej dowódca przekonywał mnie, że talibowie nie mają szans na zajęcie bazy, że rząd ma na miejscu 3 tys. wyszkolonych wojskowych i najnowocześniejszy amerykański sprzęt. A trzy czy cztery tygodnie później Bagram było pod kontrolą talibów. Do końca jednak prowadzono jakieś rozmowy

Ale pamiętajmy też – co na Zachodzie rzadko się przebija – że ludzie dokonywali codziennych, pragmatycznych wyborów: „Nasza strona przegrywa, Amerykanie się wycofali, po co mam walczyć z talibami, skoro i tak będę musiał tu z nimi żyć?”. Żołnierze zostawili mundury, wracali do domów i zastanawiali się, jak wrócić do codzienności – takie relacje z pierwszej ręki również słyszałam. A myślę, że społeczność międzynarodowa kompletnie nie zdaje sobie sprawy, i jest w tym niechlubna rola

Wielu Afgańczyków czuje się porzuconych i zdradzonych – Zachód nieomal oddał kraj w ręce talibów, a teraz jeszcze nakłada sankcje.

i obiecywano powołanie rządu tymczasowego, kolejne wybory, podział władzy z talibami. A to jedynie wzmocniło efekt szoku, piorunującego sukcesu i tempa, w jakim kraj de facto wrócił w ręce talibów.

Armia zaczęła oddawać posterunki i miasta bez walki, a rząd ewakuował się przy pierwszej okazji na pokładzie odrzutowców.

– Większość miast została oddana bez walki. Dochodziło do potyczek, ale głównie na obrzeżach. Jeden z oficerów z okolic Kandaharu przyznał wprost, że otrzymał rozkaz wycofania się, zdjęcia mundurów, oddania broni i wyjazdu w rodzinne strony. Inny żołnierz, z Bagram, powiedział mi to samo: dostali telefon, by porzucić bazę. W bramie czekali już talibowie, którzy weszli sobie na miejsce sił rządowych. A gdy z kraju uciekł prezydent, talibowie tym bardziej mieli powód, by oznajmić, że w celu powstrzymania chaosu i bezprawia muszą przejąć kontrolę.

Czy to wszystko uzasadnia teorię, że tak naprawdę przejęcie władzy zostało ukartowane, a świat nie ma świadomości pewnych układów czy porozumień, które pozwoliły talibom to zrobić?

– Mimo upływu roku dalej wielu rzeczy nie wiemy na pewno. Niejeden Afgańczyk podziela przekonanie, że, owszem, były jakieś umowy, dokonano różnych dealów, dogadano się, by wręcz oddać miasta talibom.

mediów, z ogromnych podziałów – społecznych, religijnych, etnicznych, klasowych – pomiędzy samymi Afgańczykami. Skala resentymentów jednych grup obywateli wobec drugich była ogromna.

Ludzie w realiach okupacji robią sobie różne świństwa, a pamięć osobistej, rodzinnej czy zbiorowej

Dzisiejsze rządy talibów nie różnią się aż tak od tych sprzed ponad 20 lat.

krzywdy ciągnie się długo. Wyjście Amerykanów stworzyło okazję do wyrównania rachunków?

– Oczywiście. I to na wielu poziomach. Z opublikowanych przez „Washington Post” The Afghanistan Papers, śledztwa opartego na tysiącach stron dokumentów, wiemy, że zachodni eksperci, doradcy wojskowi i politycy nie zdawali sobie sprawy, jak działa afgańskie społeczeństwo. Nie wiedzieli, z kim mają wchodzić w sojusze, a z kim walczyć. Mówili wprost: „Nie wiemy, kto jest *good guy*, a kto *bad guy*, oni nawet wyglądają tak samo”. Przez to potem wojska koalicji natowskiej były wykorzystywane przez bardziej cwanych lokalnych przywódców do załatwiania rodzinnych, klanowych i plemiennych waśni. Nawet w przyziemnych sprawach, np. sporach o ziemię. Afgańczycy z jednej wioski

czy prowincji donosili na sąsiadów, że współpracują z talibami bądź Al-Kaidą, a często niewinni ludzie, którzy padli ofiarą takich pomówień, trafiali do Guantanamo, czasem na wiele lat. Zwykle kryminalne napaści czy lokalne porachunki były w prasie przedstawiane jako...

...ataki terrorystyczne albo zamachy?

– Właśnie. I jeszcze druga rzecz: doświadczenie okupacji nie było takie samo dla całego społeczeństwa. Pewna grupa Afgańczyków w poprzednim 20-leciu bardzo skorzystała. Dorobiła się majątków, wpływów i władzy. Doszła do niewyobrażalnego dla zwykłych ludzi w Afganistanie bogactwa. Ale są całe regiony kraju, gdzie nie ma wsi, nie ma rodziny, która nie doświadczyła w czasach okupacji wielkiego okrucieństwa. Do wojsk koalicji dochodziły fałszywe informacje i donosy o talibach ukrywających się w jakiejś wsi, skutkiem tego były ataki dronów i nocne naloty. Specjalne lokalne jednostki wojskowe podlegające CIA dopuszczały się strasznych zbrodni wojennych na rodakach. Rosła nienawiść

do Amerykanów jako okupantów, ale i do ludzi, którzy dopuszczali się niegodziwości wobec współmieszkańców, współpracując z siłami okupacyjnymi. Do dziś wiele rodzin nie doczekało się zadośćuczynienia, żadnej sprawiedliwości za krzywdy. Etniczni Pasztuni – a z tej grupy wywodzili się w znacznej mierze talibowie – czuli się prześladowani ▶



► za sam wygląd i ciągnące się za nimi oskarżenia, że na pewno współpracują z talibami, Al-Kaidą, Państwem Islamskim i wszystkim, co najgorsze. **Podziały między ludźmi były rozgrywane, a lojalność wobec rządu centralnego słaba?**

W Afganistanie bieda, także skrajna bieda, zawsze była problemem. Ale teraz brakuje jedzenia nawet o niewielkiej wartości odżywczej.

– Widziałam to ostatnio w Pandższirze. Gdy rozmawiałam tam z mężczyznami, dzisiaj bezrobotnymi, prawie każdy był wcześniej zatrudniony przez rząd. Ale gdzie? Armia, służby, wywiad. Pytam ich, dlaczego zatem – skoro wszyscy mają broń i doświadczenie w walce – nie walczyci z talibami. A oni: „A o co mieliśmy walczyć?”. Mówią, że ci, którzy zarobili na okupacji, z nich, biedaków, wyśmiewali się. „Nic nam nie skapnęło. A teraz mamy walczyć?”. Często w rozmowach z mężczyznami, którzy mogliby walczyć z talibami, wraca stwierdzenie, że nie chcą walczyć z tym czy innym rządem dla zasady. Im najbardziej przeszkadza brak pracy, brak szans dla dzieci czy bieda, a nie to, że u władzy w Kabulu są talibowie.

A co z katastrofą humanitarną? O ryzyku masowego głodu w kraju było głośno późną jesienią i zimą, potem z oczywistych powodów temat Ukrainy wyparł z mediów inne kryzysy i nieszczęścia. Choć Światowy Program Żywnościowy przy ONZ ostrzegał, że będzie bardzo źle. Jak jest teraz?

– W Afganistanie bieda, także skrajna bieda, zawsze była problemem. Ale teraz brakuje jedzenia, nawet o niewielkiej wartości odżywczej, do tego stopnia, że całe rodziny muszą się żywić samym chlebem zamoczonym w herbacie. Kolejki pod piekarniami po chleb dla najuboższych rosną, po kilka bochenków chleba ustawiają się dziesiątki osób. Wcześniej nigdy czegoś podobnego nie widziałam. A to rodzi kolejne problemy: niedożywione dzieci trafiają do przeludnionych i niedofinansowanych szpitali. Tam otrzymują doraźną pomoc, ale obłożenie jest takie, że

zanim personel wyleczy jedno dziecko, musi robić miejsce dla kolejnego. A po paru miesiącach mały pacjent i tak wraca, bo rodziców nie stać na utrzymanie go w zdrowiu. Wielu Afgańczyków czuje się porzuconych i zdradzonych – Zachód nieomal

oddał kraj w ręce talibów, a teraz jeszcze nakłada sankcje i uniemożliwia zwykłym ludziom odzyskanie ich oszczędności.

Administracja Bidena zatrzymała w amerykańskich bankach rezerwy afgańskiego banku centralnego.

– Tak i to są tematy, które wracają w rozmowie z dosłownie każdym. Nasiliły się próby desperackich ucieczek do Pakistanu i Iranu. Wydawanie za mąż małoletnich dziewczynek – oczywiście zjawisko wcześniej znane – przybiera na sile. Bo służy odciążeniu domowych budżetów. Zachodnie organizacje pomocowe i humanitarne działające na miejscu mają problem ze współpracą

sensownego wyjścia niż wydanie ich za mąż. Z tych powodów kilkadziesiąt kobiet wyszło na ulice Kabulu. Talibowie w 15 minut rozpędzili ten protest, bijąc i przeganiając dziennikarzy, strzelając w powietrze i aresztując podejrzanych.

Podejrzanych o co?

– O uczestnictwo w protestach. Nam, dziennikarzom, powiedziano, że nie mamy prawa robić zdjęć i dokumentować protestu, choć

mieliśmy wszystkie niezbędne dokumenty i pozwolenia. Są zresztą dziennikarze, których w ostatnim roku wydano ze względu na „uderzanie w afgańskie wartości”, a może to znaczyć opisywanie tematów niewygodnych z punktu widzenia obecnej władzy.

Afgańczycy mają łatwość mówienia zachodnim mediom tego, co według nich chcą one usłyszeć. Część dziennikarzy z kolei szuka potwierdzenia tego, co sami sądzą: że wszyscy tęsknią za amerykańską okupacją, że pragną liberalnej demokracji i że społeczeństwo jest zjednoczone w sprzeciwie wobec talibów.

Całe rodziny muszą się żywić samym chlebem zamoczonym w herbacie.

z talibami, ale muszą się pogodzić z faktem, że są oni de facto rządem, i to rządem być może najskuteczniej od 20 lat kontrolującym większość kraju.

Protesty po zabiciu Al-Zawahiriego nie były jedynymi ulicznymi demonstracjami towarzyszącymi rocznicy powrotu talibów do władzy.

– Trzy dni przed rocznicą – jedni Afgańczycy mówią „wyzwolenia”, drudzy „upadku” Kabulu – odbył się protest kobiet. Takie manifestacje odbywały się dość regularnie w ostatnich 12 miesiącach. Kobiety protestują przeciwko ograniczeniu dostępu do edukacji i wręcz odcięciu od rynku pracy. Na Afganki narzucono drakońskie restrykcje, a liczba małżeństw dziewczynek rośnie. Gdy nie mogą one kontynuować edukacji, wiele rodzin nie widzi innego

– Sporo ludzi wie, jak manipulować korespondentami zagranicznych mediów i co mówić, by ci chcieli słuchać. Spójrzmy na popularną wśród zachodnich obserwatorów kwestię szkół ponadpodstawowych dla dziewczynek. Odkąd talibowie doszli do władzy, pomimo obietnic są one zamknięte. Z drugiej strony są dystrykty, gdzie dziewczynki wciąż mogą do szkół uczęszczać, a talibowie przytykają na to oko i pozwalają szkołom normalnie działać. Fakt zakazywania edukacji dziewczynkom i młodym kobietom jest straszny i placówki oświatowe powinny zostać otwarte jak najszybciej. Ale jest grupa dziewczynek i chłopców, która dopiero teraz po raz pierwszy poszła do szkoły, bo nareszcie zrobiło się na tyle bezpiecznie w kraju, że to możliwe. Rozmawiałam z wieloma

rodzinami, które wcześniej przestały posyłać do szkół synów, bo na drogach toczyły się walki, działali talibowie i grupy terrorystyczne czy bojówki zwolenników i przeciwników rządu lokalnego lub centralnego. Spadały bomby. Ludzie w takich warunkach

bardziej niż inne doświadczyły wojny w ostatnich 20 latach. Naprawdę nie brakuje ludzi, którzy po wieloletniej – sięgającej końca lat 70. – nieustannej wojnie i zawierusze mówią, że po raz pierwszy nie boją się przydrożnej bomby albo przekupnej policji zdolnej

Zachód, ignorując talibów, zachowuje poczucie moralnej czystości, ale cierpią na tym zwykli Afgańczycy.

nie wysyłali dzieci do szkół. Nie można udawać, że takich problemów nie było.

Czyli znów, jak ćwierć wieku temu, legitymacja władzy talibów bierze się z zapewnienia elementarnego bezpieczeństwa w kraju po wojnie. „Owszem, talibska sprawiedliwość jest surowa, a w kraju panują rządy twardej ręki, ale moja córka nie zostanie porwana, a na drodze, którą jeżdżę na pole, nie ma min przeciwpancernych”, mówią ludzie.

– Słyszę to od większości Afgańczyków, szczególnie z prowincji, które

ograbić ich z płodów rolnych w drodze na targ. A działa się tak i robili to policjanci i funkcjonariusze wyszkoleni i dozbrajani przez nas, Zachód. Żołnierze nie mieli oporu – opowiadał mi to kolega dziennikarz z Włoch – żeby nawet w trakcie udzielania mediom wywiadu ściągać haracze, np. w postaci worków winogron, od rolników, których mieli bronić. To wydaje się zabawne, ale dla ludzi mogło być prawdziwą udręką.

Czy Zachód powinien wobec tego uznawać rząd Islamskiego Emiratu Afganistanu, czy nie?

– Próbowaliśmy jako Zachód różnych rzeczy. Traktowania talibów z otwartą wrogością, ignorowania, niepodjęmowania rozmów. Ale czy po 12 miesiącach Zachód osiągnął wobec nich to, co chciał? Nie wydaje się. Jedyne, czego jeszcze nie spróbowaliśmy, to zaangażowanie się w rozmowy i uznanie talibów za rząd Afganistanu, którym de facto są. Oczywiście to również może się skończyć kompletnym fiaskiem. Ale inne działania, zarówno w latach 90., jak i w ostatnich miesiącach, też nie zakończyły się sukcesem. Zachód, ignorując talibów, zachowuje poczucie moralnej czystości, ale cierpią na tym zwykli Afgańczycy. Jak to często bywa w przypadku sankcji i międzynarodowej izolacji. A nawet obywatele tego kraju, którym bardzo z talibami nie po drodze, nie chcą być w ten sposób karani przez świat zachodni za nie swoje grzechy i za rząd, którego wcale sobie nie wybrali.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



KSIĘGARNIA
Stacjonarna i internetowa



**Czasopismo do nabycia
w księgarni stacjonarnej
i internetowej
Muzeum Niepodległości**

Pałac Przebendowskich/Radziwiłłów
główna siedziba Muzeum Niepodległości
al. Solidarności 61, 00-240 Warszawa
<https://ksiegarnia.muzeum-niepodleglosci.pl>

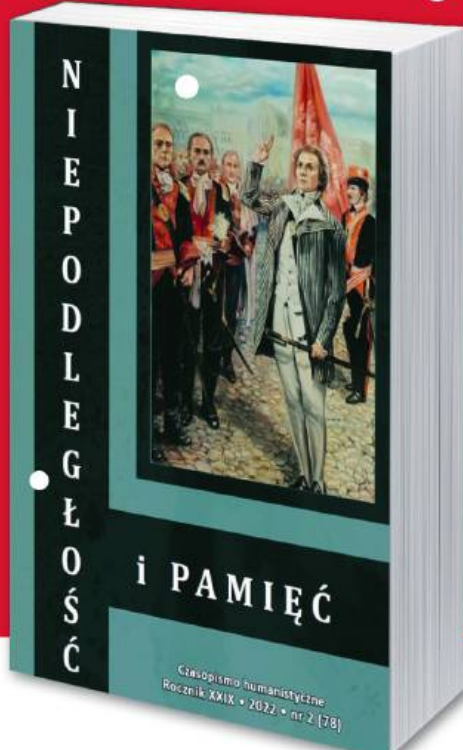


**Muzeum
NIEPODLEGŁOŚCI**
WARSZAWA



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Republika wiecznego kryzysu

Przekraczająca 70% inflacja wcale nie musi się okazać największym problemem Argentyny

Mateusz Mazzini

Każdy tekst na ten temat zaczyna się od historii upadku potentata. Wraca się wtedy do lat 40., gdy większość rozwiniętych gospodarek dźwigała na swoich barkach trudy II wojny światowej, natomiast Argentyna bogaciła się jak szalona. Potem, jak głosi mit, pojawili się populiści o antydemokratycznych zapędach, skupieni wokół Juana

mówiąc, do stabilności, bogactwa i bezpieczeństwa już wtedy było Argentynie daleko.

Prawo ulicy

Szybki przegląd wydarzeń w kolejnych dekadach, z uwzględnieniem krachu gospodarczego po upadku dyktatury, kreatywnej księgowości lat 90. i bankructwa z 2001 r., pozwala zrozumieć, dlaczego na syreny alarmowe zwiastujące kryzys nikt

jednak Argentyńczyków to nie powstrzymuje. Handlują na potęgę, poza systemem, mimo o wiele wyższych cen. Oficjalnie kurs wymiany wynosi 138 peso za 1 dol., lecz ulica rządzi się swoimi prawami. Jeszcze w czerwcu czarny rynek wymieniał dolara za 200 peso, ale już w sierpniu kurs skoczył do 300. Oznacza to, że peso straciło połowę wartości w ciągu zaledwie dwóch miesięcy. Chwiejny sektor bankowy, obciążony olbrzymimi stopami procentowymi, dawno stracił zaufanie klientów, więc ci, obawiając się powtórki krachu z 2001 r., masowo wyciągają oszczędności z kont. Według danych przytoczonych przez Bloomberg'a jedynie w ciągu siedmiu tygodni lipca i sierpnia Argentyńczycy wypłacili w gotówce równowartość miliarda dolarów. Zdecydowana większość transakcji, nawet tych sporych, jak kupno mieszkania czy uregulowanie kontraktu na budowę domu, odbywa się wyłącznie w gotówce. Jak opisał

Tylko w ciągu siedmiu tygodni lipca i sierpnia Argentyńczycy wypłacili równowartość miliarda dolarów.

Perona i Evity. Bogactwo rozdzieli albo rozkradli, osłabiając struktury państwowe. Kraj pogrążył się w chaosie i starciach pomiędzy komunistycznymi bojówkami a faszyzującą prawicą, aż wreszcie kontrolę przejęło wojsko, wprowadzając dyktaturę. Po rządach mundurowych kraj nie podniósł się do dziś, zepchnięty do pozycji wiecznego bankruta i pariasa na scenie już nawet nie międzynarodowej, ale regionalnej.

W rzeczywistości w czasach okotowojennych Argentynie daleko było do gospodarczego i politycznego raj. Lata 30. rozpoczął wojskowy zamach stanu, potem armia torpedowała wysiłki społeczeństwa obywatelskiego, by dołączyć do strony alianckiej. Większość elit intelektualnych chciała takiego ruchu, co przeczy narracji o argentyńskim pacyfizmie. Niechętni aktywnej walce byli zwłaszcza biznesmeni, którzy szukali sposobu, by zaszkodzić interesom Wielkiej Brytanii, największego rywala handlowego. W dodatku w armii odzywały się elementy nacjonalistyczne, ciągnące to w lewą, to w prawą stronę. Krótko

już nie reaguje. Tym bardziej nie robi tego teraz, choć na papierze sytuacja wydaje się dramatyczna. Na koniec sierpnia inflacja przebiła barierę 70% i jest jedną z najwyższych na świecie. Do końca roku, jak prognozuje Międzynarodowy Fundusz Walutowy, dojdzie zapewne do 72%, w przyszłym roku – do 75%. Tyle dane oficjalne, nieoficjalnie niektórzy eksperci spekulują już teraz o ukrytej inflacji trzycyfrowej, nawet 120-procentowej. Poniżej lub na granicy ubóstwa żyje 40% 45-milionowej populacji kraju. Stopy procentowe wynoszą obecnie 52%, a bezrobocie (znowu tylko oficjalnie) przekracza 10%.

Znacznie więcej o sytuacji w Argentynie mówią realia życia. Ponieważ kraj został praktycznie odcięty od kapitału zagranicznego, a miejscowe peso traci na wartości w ekspresowym tempie, rośnie czarny rynek walutowy. Żeby ukrócić odpływ waluty, rząd wprowadził restrykcje, pozwalając na zakup nie więcej niż 200 dol. miesięcznie na mieszkańca,

Nikt już w kraju nie podpisze żadnej umowy, zanim nie zobaczy pieniędzy na własne oczy.

to jeden z argentyńskich deweloperów w rozmowie z reporterami „New York Timesa”, nikt już w kraju nie podpisze żadnej umowy, zanim nie zobaczy pieniędzy na własne oczy.

Aktor rujnuje kraj

Jak do tego doszło? Argentyna w swojej najnowszej, trwającej od 1983 r. demokratycznej historii nieustannie zmagą się z kryzysami gospodarczymi. To recesja, wywołana toczoną ponad siły wojną o Falklandy, doprowadziła w dużej mierze do upadku dyktatury gen. Jorge Videli. Kolejni prezydenci, wybierani już



Demonstracja zwolenników Cristiny Fernández de Kirchner w Buenos Aires, 29 sierpnia 2022 r.

przez naród, też nie podejmowali ekonomicznie dobrych decyzji. Najgorzej wypada pod tym względem Carlos Menem, prezydent rządzący przez całą ostatnią dekadę XX w., wybrany głównie dzięki popularności zbudowanej na rolach w telewizyjnych operach mydlanych. Były aktor pod koniec drugiej kadencji zrujnował kraj gospodarczo, więc, szukając sposobu na uspokojenie nastrojów społecznych, sztucznie zrównał kurs peso do dolara. Skończyło się to bankructwem dwa lata później, ale przez ten czas dochodziło w Argentynie do scen kuriozalnych. Wielu mieszkańców nie było stać na paliwo, lekarstwa czy rachunki za prąd, ale na wakacje jeździli do Miami, bo ich waluta dawała w USA spore możliwości nabywcze.

W 2001 r. nie było już z czego się cieszyć. Kraj nie spłacał zagranicznych pożyczek i zaliczył pięciu prezydentów w ciągu dwóch tygodni. Sytuację ustabilizował dopiero wywodzący się z peronistowskiej młodzieżówki Néstor Kirchner, dając początek okresowi względnego spokoju oraz dynastii politycznej, bo po nim głową państwa została żona Cristina, dzisiaj wiceprezydentka. Do niej zresztą wrócimy. Na razie warto się skoncentrować na kwestiach

gospodarczych, bo one najlepiej odślaniają polityczne źródła kryzysu.

Bezpośrednią przyczyną obecnego zamieszania nie jest jednak ani spiętrzenie dawnych grzechów ekonomicznych, ani powrót do władzy lewicy pod egidą prezydenta Alberta Fernández de Kirchner. W międzyczasie

Prokuratura w Buenos Aires postawiła wiceprezydentkę w stan oskarżenia, domagając się 12 lat pozbawienia wolności i dożywotniego zakazu sprawowania funkcji publicznych.

jedną kadencję rządził prawnikowy przedsiębiorca celebryta Mauricio Macri, który mocno zaciskał pasa na wszystkich frontach, obiecując poprawę relacji z głównym kredytodawcą Argentyny, MFW. W 2018 r. jednak znowu peso się załamało, uruchamiając spiralę wydarzeń znaną z przeszłości.

Od tego momentu, jak analizuje James Bosworth z firmy doradztwa politycznego Hxagon, przez ponad połowę czasu inflacja w Argentynie przekraczała 50%. Kraj nie miał też środków na obsługę zadłużenia zagranicznego, więc ratował się absurdalnymi instrumentami, chociażby

emisją 100-letnich obligacji skarbowych oprocentowanych na 7%. Rynek cudem jeszcze to łyknął, biorąc pod uwagę fakt, że rząd w Buenos Aires ogłaszał niewypłacalność wobec zagranicznych dłużników aż osiem razy w ciągu ostatnich 200 lat. Z nowej emisji na konto skarbu państwa wpłynęło 2,75 mld dol., ale inwestorzy mogą zostać ukarani za swój optymizm. Kiedy Fernández dochodził do władzy w 2019 r., obligacje zrestrukturyzował, obiecując ich spłatę nie w 100, ale w 20-30 lat. Jak zauważa Anna Isaac z „Wall Street Journal”, realizacja tej zapowiedzi przy bieżącym klimacie gospodarczym wydaje się nierealna. Projekt „100-letnich obligacji” przetrwał zatem nieco ponad dwa lata.

Kwestie związane z obsługą zadłużenia zagranicznego, wynoszącego w tej chwili 69% PKB Argentyny, wymagają takiego zaangażowania zasobów publicznych, że rząd Alberta Fernández de Kirchnera nie zajmuje się niczym innym. Twarzami negocjacji z Międzynarodowym Funduszem Walutowym, Międzyamerykańskim Bankiem Rozwoju (IADB) i innymi podmiotami byli kolejni ministrowie finansów, którzy zmieniali się jednak w błyskawicznym tempie. Ostatnim na tym stanowisku, którego warto

wymienić, był Martín Guzmán. To on był ojcem idei restrukturyzacji stuletnich obligacji, a w rozmowach z MFW osiągał nawet względne sukcesy. Fundusz zgadzał się na odroczenia spłaty rat, pod warunkiem że Argentyna opanuje rosnący deficyt budżetowy i przestanie drukować pieniądze jako uniwersalną odpowiedź na swoje problemy finansowe. W praktyce oznaczało to powrót do polityki zaciskania pasa, którą społeczeństwo znało z czasów Macriego i przeciwko której postperonistowska lewica cały czas protestowała. Dlatego działania Guzmána, choć gospodarczo skuteczne i cenione ▶

► przez zagranicznych kredytodawców, w samej Argentynie powodowały ogromny konflikt społeczny. Doprowadziły nawet do demonstracji przeciwko ministrowi finansów, choć nie można tych pikiet nazwać antyrządowymi. Najgłośniejsza krytyka pod adresem Guzmána płynęła bowiem z rządu, a jej inspiratorką była wiceprezydentka Cristina Fernández de Kirchner. I dopiero tutaj zaczyna się prawdziwy dramat.

Pokoiki do wynajęcia

Kirchner, choć deklaratywnie miłuje demokrację jak mało kto, jest klasycznym przykładem uzależnionej od władzy satrapki, która próbuje rządzić zawsze i wszędzie, nawet jeśli nie ma do tego legitymacji. Już po zakończeniu dwóch kadencji w roli głowy państwa próbowała zmienić konstytucję, by ubiegać się o reelekcję. Potem została zastępczynią Fernándeza, choć wielu powątpiewało, czy rzeczywiście usunie się w cień. I mieli rację.

Jej konflikt z prezydentem doprowadził do następnego wstrząsu w krajowej polityce, lipcowej dymisji Guzmána i powołania na jego miejsce Sergia Massy, „superministra” finansów. Już na starcie otrzymał on taki przydomek, bo zażądał

znacznie szerszych kompetencji, niż mieli poprzednicy, upierając się, że tylko w ten sposób opanuje kryzys. Nawet jeśli mu się uda, odbędzie się to kosztem ogólnej jakości argentyńskiej demokracji, bo koncentracja prerogatyw w rękach ministra finansów oznacza osłabienie nadzorujących go instytucji – prezydentury i parlamentu.

Tym jednak Cristina niespecjalnie się przejmuje, podobnie jak toczącym się w jej sprawie postępowaniem w związku z korupcją. W połowie

konkursów. W rewanżu pieniądze wracały w części do samej Cristiny, za pośrednictwem jej własnych firm. Doskonałym tego przykładem jest jeden z hoteli w patagońskiej części kraju, należący do rodziny wiceprezydentki. Choć pojedynczy goście regularnie poświadczali, że obiekt świecił pustkami, w dokumentach właściciele deklarowali stałe obłożenie. Báez i inni przyjaciele Cristiny wynajmowali pokoje, nie pojawiając się nawet w hotelu, i w ten sposób przesyłali pieniądze z powrotem do pani

To Cristina Fernández de Kirchner jest główną hamulcową wszelkich zmian strukturalnych w Argentynie.

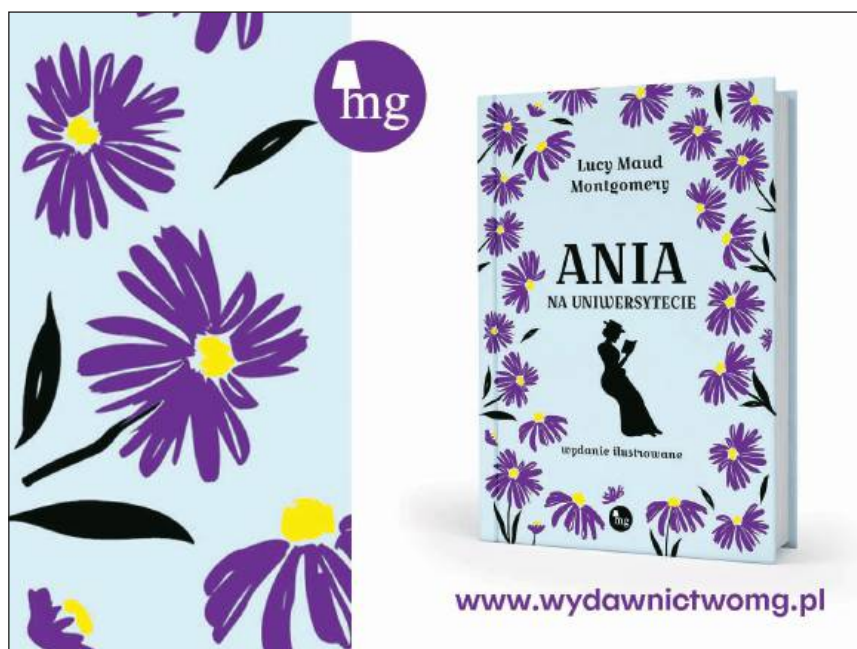
sierpnia prokuratura w Buenos Aires postawiła ją w stan oskarżenia, domagając się 12 lat pozbawienia wolności i dożywotniego zakazu sprawowania funkcji publicznych. Powód? Gigantyczna sieć nieformalnych powiązań z wiodącymi biznesmenami, w tym z budowlanym potentatem Lázarem Báezem, znanym sponsorem środowisk peronistycznych. Podmioty związane z Báezem i innymi przedsiębiorcami regularnie otrzymywały rządowe kontrakty, nawet jeśli nie spełniały formalnych kryteriów

wiceprezydent. A dokładniej wkładali do jej prywatnej kieszeni środki, które sami otrzymali z budżetu państwa. Teoretycznie nie łamali prawa, choć nie trzeba być ekspertem od korupcji, by ją dostrzec.

Cristina oczywiście odpiera zarzuty, głosząc teorie o globalnym spisku przeciwko postępowym ideałom. W ramach sprzeciwu wobec prowadzonego w jej sprawie śledztwa mobilizowała elektorat. Spośród całego lewicowego obozu rządowego to ona ma najsilniejszą markę i poparcie, więc nie było to specjalnie trudne. Nie wiadomo, jak akurat ta afery się zakończy, ale i bez tej wiedzy nazywanie Cristiny „kuloodporną” nie jest przesadą. Przetrawiała już wiele takich skandali, od oskarżeń o zbyt miękkie podejście do rozliczenia irańskich zamachowców odpowiedzialnych za zabicie 85 osób w ataku na synagogę w Buenos Aires w 1994 r. po jej niewyjaśnioną rolę w śmierci prokuratora Alberta Nisman, prowadzącego śledztwo w sprawie zamachu. Z obecnych kłopotów też może wyjść cało, popiera ją sporo osób w kraju i większość liderów w regionie. Nie zmienia to faktu, że właśnie ona jest główną hamulcową wszelkich zmian strukturalnych w Argentynie. I to nią, a nie inflacją czy bankructwem, Argentyńczycy powinni przejmować się najbardziej.

Mateusz Mazzini

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Otwarte i zamknięte głowy

Skończyły się wakacje, lato zleciało szybko, jak życie, jesień niestety za pasem, ale jeszcze wracam w myślach do wsi Słajszewo, gdzie spędzaliśmy ostatnie tygodnie. Kilka słów o wiejskich dzieciach nowego wieku. To po nich najlepiej widać wielką zmianę, jaka się dokonała na polskiej wsi. Kaszub pan Bogdan opowiada o swoim dzieciństwie, o pasaniu krów i gęsi, nawet kosztem szkoły, o skrzeczącej biedzie, o tym, jak jedzono byle co i ubierano się byle jak. I ta praca ponad siły. Teraz jego liczne wnuki niczym się nie różnią od zamożnych miejskich dzieci. Markowe ciuchy, rowery, hulajnogi elektryczne, komputery; mówią tylko z lekkim nalotem prowincji, ale to minie. I mają marzenia. Wnuczka Karolina idzie do liceum w Wejherowie, do klasy medycznej, chce być lekarką – i będzie, bo widać, jak wytrwale potrafi dążyć do każdego celu. Ma 14 lat i już ma chłopaka, mówi o tym jako o czymś naturalnym. To też nowe czasy.

Bogdan chodził kiedyś do kościoła, teraz już nie. Jest wierzący, ale nie trawi tej instytucji. Kościół w pobliskim Ciekocinku ładny, poniemiecki, z czerwonej cegły. Bogdan mówi: „Z kilku wsi, które należą do tego kościoła, zbierze się na mszy nie więcej niż 40 osób. Jest wielki odpływ ludzi od kościoła. I zasłużył na to”. Wie od rodziców, jak wyglądało przed wojną niemieckie Słajszewo. Była tu nawet apteka, poczta, mały park, była karczma, tak, w tym podupadłym kamiennym domu obok. Polska Ludowa wymiotła te miejsca. To było jak najazd barbarzyńców. Dopiero teraz wieś się odradza dzięki turystyce. Ale elektrownia atomowa zawisła nad tym miejscem jak przyszły kataklizm, na razie bez wyraźnego kształtu. Jakoś więc podobnie, jak wiszą nad nami konsekwencje zmian klimatycznych, zbyt wielkie, by w nie uwierzyć.

Wracamy E7 do Warszawy, już gładko, już dwupasmowo, szybko. A pamiętam, jakie to było wleczenie się tą trasą. Na poboczach co chwila wielkie billboardy „Jezu Ufam Tobie”. Jak w państwie religijnym. Kto za to płaci, zapewne państwo? Bo Kościół zbyt oszczędny na takie reklamowanie Chrystusa, obok mydła i nowej Mazdy.

Czołowy ideolog PiS prof. Zdzisław Krasnodębski powiedział: „Zagrożenie dla naszej suwerenności ze strony Zachodu jest większe niż ze strony Wschodu”. No tak.

Świetnie uzupełnia tę myśl minister Czarnek na antenie Radia Maryja. „Jesteśmy na froncie wojny kulturowej. Wojny o człowieka, o cywilizację łacińską i chrześcijańską, o przyszłość Polski w cywilizacji łacińskiej i chrześcijańskiej. Jeśli tego nie zrozumiemy, jeśli się poddamy, nawet w obliczu tak potężnego hejtu i kłamstw, to tę wojnę przegramy. Nasze dzieci, nasi wnukowie nie będą już żyli w Polsce, w cywilizacji łacińskiej czy chrześcijańskiej. Jest to wojna kulturowa, wojna społeczna, wojna o człowieka. To jest wojna z błędem antropologicznym”, opisywał grozę sytuacji panujący nam minister edukacji i nauki.

No tak. Zgadza się z jednym – jesteśmy na wojnie z wami, chcecie Polskę zepchnąć w śmierzący zaścianek. Cywilizacja, jaką proponujecie, nie jest łacińska ani chrześcijańska, jest nacjonalistyczna i zaściankowa. Brak zmiany bywa gniciem, żalosnym, zatęchłym kątem. Ale to się wam nie uda. Zbyt potężne siły działają przeciwko wam, duch nowych czasów jest liberalny, nie dacie rady z nim wygrać ani w Polsce, ani w Stanach Zjednoczonych, ani we Francji, w Anglii czy w Izraelu, bo wszędzie

Jesteśmy na wojnie z wami. Cywilizacja, jaką proponujecie, nie jest łacińska ani chrześcijańska, jest nacjonalistyczna i zaściankowa.

widzimy podobny strach przed nowym, zmiany są za gwałtowne i za szybkie. I jest dramatyczny podział na zamknięte i otwarte głowy. To nowe, które idzie, ma wiele wad i niesie zagrożenia, ale inne, niż wam się zdaje.

Z kimkolwiek rozmawiam o polityce, a rozmawiam tylko z wrogami PiS – nie mam żywego kontaktu z nikim, kto PiS popiera – nikt nie wierzy w zwycięstwo opozycji w najbliższych wyborach. Będę głosować na opozycję, ale bez wiary. I ja, pesymista z natury, staję się nagle optymistą i przekonuję niedowiarków, że jednak wygramy. To szczere przekonanie. Ten pesymizm jest destrukcyjny, a wiara czyni cuda. Oszustwo wyborcze jest trudne i mało prawdopodobne. Tak trudno uwierzyć w klęskę PiS też dlatego, że opozycja przejęłaby państwo jedynie częściowo demokratyczne, w którym wygrani będą mieli narzędzia, by gnębić przegranych, czyli PiS. Ci sami tak się urządzili, ukreśli bat na własny kark. Rozumiem, że trudno to sobie wyobrazić.

Mądrość zwyciężonych

Żal było patrzeć, jak się Stommę fetuje, ale nie słucha

Andrzej Romanowski

W Wilnie rozpoczęło się jego dojrzewanie ideowe. I w Wilnie się skryształizowało. (...) Natychmiast po rozpoczęciu studiów, w 1928 r., wstąpił Stanisław Stomma do prawicowego i chadeckiego Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie” i od razu przesterował je z przyjaciółmi na tory bardziej lewicowe: prorządowe i piłsudczykowski. (...) Jednak Stomma miał wobec komunizmu „awersję od lat dziecińczych”, toteż pośpiesznie spalił mosty z lewicą i rozpoczął okres „zezowania na prawo”. Ale wtedy z kolei zorientował się, że „po rozczarowaniach gorzkich wśród lewicy” skręt w prawo był „zbyt duży”.

Bezbłędnie wyczuwał, że przy ewentualnej zmianie koniunktury dobre stosunki polsko-niemieckie mogą stać się jednym z fundamentów jednoczącego się kontynentu.

Tak oto narodził się w Wilnie centrizm Stanisława Stommy, owa „lewica społeczna, prawica polityczna”. Jednak, identyfikując się z katolicyzmem, odzegał się Stomma od doktryn niedających się z nim pogodzić: nie tylko od bolszewizmu (co było oczywiste), ale i od „faszyzmów zachodnioeuropejskich w różnych wydaniach”. Zauroczony odrodzeniem katolicyzmu zachodzącym we Francji, wzbogacony o Maritainowskie pojęcia „porządku idealnego i porządku praktycznego” oraz „środków bogatych i środków ubogich”, zauważał w roku 1935: „Katolicy prawie we wszystkich państwach idą na pasku różnych grup i doktryn społecznych, obiecujących różne zdawkowe koncesje, które jednak w założeniach, u podstaw są doktrynalnie

niechrześcijańskimi, dla których owe koncesje na rzecz katolicyzmu są tylko wygodną kombinacją polityczną”. I aby nikt nie miał wątpliwości, dodawał: „Exemplum: megalomania katolicyzmu z endecją w Polsce”. Już wtedy więc stanął na przedprożu powojennego „Znaku”. (...)

Na razie jednak pozostawał w kręgu Mariana Zdziechowskiego. „Dzień każdy – czytał u mistrza – świadczy o zastraszających postępach dżumy moralnej, która od Rosji sowieckiej pędząc, zagarnia wszystkie kraje, wżera się w organizmy wszystkich narodów, wszędzie procesy rozkładowe wszczyna, w odmęty zgnilizny i zdziczenia pogrąża. (...) Co można bolszewizującemu nacjonalizmowi i na bolszewickim bestialstwie opartemu komunizmowi przeciwstawić?

Tylko piękno chrześcijaństwa, heroizmu chrześcijańskiego”. Instynktowny antykomunizm lat chłopięcych uległ pod wpływem Zdziechowskiego wzmocnieniu.

W międzywojennym Wilnie bycie Polakiem z Kiejdan oznaczało stan wydziedziczenia. W roku 1939 stan ten zderzył się z traumą rozbioru państwa, w następnych latach – z koszmarem sowiecko-hitlerowskiej okupacji, a wreszcie, pod koniec wojny – z ostatecznym kresem polskiej niepodległości. W obliczu nadciągającej po raz kolejny Armii Czerwonej Stomma 7 lipca 1944 r. opuścił na zawsze swe wileńskie mieszkanie przy ul. Ludwisarskiej 7/7. Miesiąc później, z samotni w Laskach, obserwował powstanie w Warszawie. Świadomość tej jeszcze jednej tragedii,

skojarzonej z podobnym dramatem, który po jego wyjeździe rozegrał się w Wilnie, na zawsze nastawiła go wrogo do ideologii powstańczej niepopartej gwarancjami politycznymi. 5 października, już po kapitulacji Warszawy, dotarł Stomma do Krakowa – miasta stańczyków.

Jak przetrwać

(...). Podobnie jak w Wilnie, znajdował się Stomma w Krakowie pod skrzydłami Kościoła. A krakowski książę metropolita Adam Sapieha miał za sobą nie tylko 1900 lat mądrości chrześcijaństwa, lecz i 500 lat mądrości swego rodu – wywodzącego się, tak po mieczu, jak po kądzieli, z bojarów ruskich, w tym z możnych Wielkiego Księstwa Litewskiego. Sapieha, bohater okupacji hitlerowskiej, niemal natychmiast po wkroczeniu do Krakowa Armii Czerwonej uznał, że obecność katolików w życiu społecznym kraju jest koniecznością. Z kolei posuwająca się na zachód wraz z Armią Czerwoną administracja „Polski lubelskiej” zdawała sobie sprawę z innej konieczności: wypracowania jakiegoś modus vivendi z katolicką większością narodu. W rezultacie w tymże „stańczykowskim” Krakowie doszło do pierwszego nieformalnego porozumienia polskiego Kościoła z narzuconą władzą: Stomma wskazywał po latach domniemanego architekta tego układu – Jerzego Bo-rejszę. W rezultacie 24 marca 1945 r. zaczął się ukazywać „Tygodnik Powszechny” (redagowany niebawem przez Jerzego Turowicza), a 1 czerwca 1946 – miesięcznik „Znak” (redagowany wkrótce przez Stommę).

Jesienią 1946 r., w trzecim numerze „Znaku”, ogłosił Stomma artykuł „Maksymalne i minimalne tendencje społeczne katolików”. Zawierał on obserwację z pozoru banalną,

bo dotyczącą obecnego na Litwie i w Polsce przez całe stulecie zaboru splecenia sprawy polskiej ze sprawą katolicką. Nowością było to, że Stommie chodziło o rozerwanie tego związku. Pomny bowiem doświadczeń wileńskich, mocniej niż kiedykolwiek odrzucał sojusz Kościoła z jakąkolwiek partią polityczną – wszystko jedno: opozycyjną pravicową czy rządzącą lewicową (faktycznie totalitarną). Nic mu nie było tak obce jak chrześcijańska demokracja (to stanowisko różniło go od biskupów, nawet od Sapiehy); z faktu – rozumował – że właśnie partie chadeckie triumfowały wówczas na Zachodzie, wynikało niewiele, bo w komunistycznej Polsce wszystko było inaczej. „Jeżeli się zakłada konieczność socjalizmu – pisał – wówczas postulaty doktryny katolicko-społecznej tracą rację bytu. I błędem wydaje się wszelkie, choćby luźne nawet, wiązanie Kościoła z tą sprawą społeczną”. Skoro bowiem „socjalizm będzie się rozrastał w głąb i wszere”, to „tendencje społeczne katolicyzmu polskiego mogą doprowadzić do sprowokowania konfliktu już w najbliższym czasie. Niebezpieczeństwo leży w tym, że konflikt będzie się rozgrywał o zagadnienia bądź co bądź drugorzędne”. „Nie wiemy – konkludował – czy, kiedy i jak rozegra się w Polsce konflikt obozu katolickiego z obozem wojującym socjalizmu. Być może rezultatem konfliktu będzie dalsza utrata pozycji społecznych przez katolicyzm u nas posiadanych. (...) Sytuacja byłaby groźna, gdyby walka na liniach społecznych stanowiła całość ekspansji obozu katolickiego w Polsce”.

Artykuł wywołał burzę – nie tylko w kręgu chadeckiego „Tygodnika Warszawskiego”, ale po części nawet w macierzystym środowisku „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”. Postulat rezygnacji katolicyzmu z życia społecznego, ów – jak mówiono – „minimalizm”, uznawano nieledwie za odstępstwo od nauki Chrystusa. Nie dostrzegano,



Stanisław Stomma sprzyjał przede wszystkim idei jedności europejskiej.

że potrzeby ekspresji społecznej Stomma nie negował, nie uważał jej tylko za zasadniczą. Nie zauważano zwłaszcza, że to jedynie sytuacja „tu i teraz” wymuszała ów program: zarówno „okopania się” na pozycjach ostatecznych, jak i trzymania religii z dala od pokus życia publicznego Polski stalinowskiej; w ostatecznym rachunku chodziło przecież o ocalenie depozytu wiary. Stomma musiał tłumaczyć: „Maksymalizm szuka efektów natychmiastowych, sprawdzalnych i żeby tak powiedzieć: syntetycznych. Pozorny »minimalizm« idzie drogą okrężną, przez odrodzenie kultury jednostki do przetwarzania form społecznych. Dlatego zarzut defetyzmu jest nie na miejscu”. Oponenti machnęli wreszcie ręką i pogodzili się z tym „stommizmem”: sztuka prowadzenia sporów nigdy nie była mocną stroną Polaków. (...)

Non possumus po raz pierwszy

O kapitulacji, którą mu zarzucono, nawet nie było mowy. Stomma, uznany przez władze za wroga, w grudniu 1949 r. został wyrzucony

z posady docenta na Uniwersytecie Jagiellońskim. Mimo tego ostrzeżenia nie zrezygnował z działalności publicznej i rok później ogłosił – z Jerzym Turowiczem – manifest „Katolicy w Polsce Ludowej” („Tygodnik Powszechny” 1950, nr 50). Było to już dwa lata po likwidacji „Tygodnika Warszawskiego” i obaj autorzy nie mieli wątpliwości, gdy pisali: „Katolicy mogą zrezygnować i w rzeczywistości polskiej rezygnują z walki o cele polityczne, o opanowanie władzy państwowej, jak też z dążenia do tworzenia własnego, po swojemu ujętego ustroju społecznego, godząc się na życie w ramach innego ustroju”. Od razu jednak obaj dodawali: „Natościast w żadnym wypadku i nigdy zrezygnować nie mogą z walki o kulturę chrześcijańską, czyli o chrześcijańską treść życia. Mówiąc obrazowo, mogą być oddane pozycje polityczno-ustrojowe, natomiast nie mogą być opuszczone pozycje walki o chrześcijańską kulturę jutra”. I dalej: „Katolicy mają wolę być lojalnymi obywatelami państwa budującego socjalizm. Jesteśmy za umiarem, za odprężeniem, za łagodzeniem tarć wewnętrznych, jesteśmy za *treuga Del*”. Ale też „stawiamy sprawę prosto, bez niedomowień i z całą szczerością. Marksistami ani socjalistami nie jesteśmy. Widzimy w socjalizmie wiele stron dodatnich. Niemniej ideał socjalistyczny nie jest naszym ideałem”.

Takie oto poglądy głoszone w państwie poddanym woli Stalina. Cenzura to puszczała, bo „Tygodnik” był potrzebny do neutralizacji nastrojów społecznych. Lecz przecież o ileż bardziej był on potrzebny społeczeństwu, dla którego stanowił – jak mawiał wileński przyjaciel Stommy, Paweł Jasienica – „butlę z tlenem”. Totalitaryzm miał jednak swoje prawa: jeżeli do jego organizmu wpuszczano ciało obce, to tylko po to, by je otorbić i zresorbować. Po śmierci kard. Sapiehy w lipcu 1951 r. i po procesie kurii krakowskiej w styczniu 1953 r. „Tygodnik” został postawiony ▶

► wobec wyboru: ugiąć się lub zniknąć. Ostatnim warunkiem było usunięcie z redakcji Turowicza i Stommy.

Pismo ostatecznie zlikwidowano wiosną 1953 r., za odmowę umieszczenia hołdowniczego artykułu o zmarłym właśnie Stalinie; tytuł przejął posłuszny PAX. Wobec równocześnie zawieszenia „Znaku” Stomma mógł się spodziewać już tylko aresztowania. Nie zdawał sobie sprawy, że tak długie – siedmioletnie – przetrwanie na pozycjach, które sam sobie z góry wyznaczył, było w krajach światowego komunizmu ewenementem. Nie mógł też wiedzieć, że teraz pozostawało już tylko czekać na okazję i odbić się od dna.

„Neopozytywizm”

Takie „odbicie” stało się możliwe już po trzech latach (z okładem), jesienią roku 1956. Stomma, symbolizujący dotąd wycofanie się katolicyzmu ze sfery społecznej, wszedł do polityki: w roku 1957 został posłem z Krakowa na Sejm PRL oraz przewodniczącym koła poselskiego „Znak”. Paradoks? Wyjaśniał po latach, że „wszelka mądrość polityczna jest zawsze, z konieczności, mądrością etapu”. Lecz przecież także

Uwolniony w roku 1956 z Komańczy prymas Stefan Wyszyński znał Stommę jeszcze z czasów powstania warszawskiego i akceptował w pełni jego linię. Sam odwołujący się raczej do katolicyzmu tradycyjnego, ludowego i maryjnego, rozumiał, że w każdym, a coś dopiero w zniewolonym społeczeństwie, musi istnieć podział politycznych ról. „Nie mówcie – powiedział kiedyś członkom »Znaku« – że jesteście opozycją, bo po to się robi opozycję, żeby dojść do władzy. A wy nie chcecie dojść do władzy. Więc raczej nazwałbym was: »głos wolny wolność ubezpieczający«”. Stomma poprawił kardynała: „Głos wolny o wolność się upominający”.

(...) Razem ze Stefanem Kisielewskim proklamował ugodowy „neopozytywizm”, choć wiedział, że komunizm żąda nie ugody, lecz akceptacji, i to akceptacji bezwarunkowej – czy jednak polityki takiej nie powinien ogłaszać? Mówił o ugodzie, nie o kolaboracji. A warunkiem ugody jest umowa dwustronna, czyli zachowanie podmiotowości i tożsamości każdej ze stron, zachowanie ich odrębnego systemu wartości, ich prawa do mówienia własnym językiem. Stomma przyjmował do wiadomości realia geopolityczne: przynależność

też to, że „Znakowe” 19 lat umożliwił zwłaszcza sam Stomma – człowiek przez całe życie poruszający się między skrajnościami. Jak przed wojną odnajdywał się w ten sposób między Litwą a Polską oraz między wileńską prawicą a lewicą, tak po wojnie stał się łącznikiem między rządem a Episkopatem oraz między władzami a społeczeństwem. Zarówno z trybuny sejmowej, jak w szeregu poufnych memoriałów domagał się praw dla ludzi wierzących, wolności w kulturze, postępów w popaździernikowej demokratyzacji. W kraju rozmawiał z Gomułką, a zwłaszcza z jego prawą ręką Zenonem Kliszką, natomiast gdy z PRL-owskim paszportem wyjeżdżał na Zachód, spotykał się (zresztą za wiedzą partii) z największymi wrogami komunizmu: Giedroyciem, Nowakiem-Jeziorańskim, Raczyńskim. Im lepiej rozumiał ryzyko ugody, z tym większą determinacją politykę tę realizował.

Jako wiceprzewodniczący sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych był przy tym łącznikiem między Europą Układu Warszawskiego a Europą NATO, zwłaszcza – między PRL a Republiką Federalną Niemiec. Poczynając od pierwszej wizyty parlamentarnej w RFN wiosną 1958 r. (jeszcze przed układem niemiecko-francuskim), stał się pionierem polsko-niemieckiego pojednania. Uwiarygadniał i bronił PRL? Ależ tak. Wspierał

Poczynając od pierwszej wizyty parlamentarnej w RFN wiosną 1958 r., stał się pionierem polsko-niemieckiego pojednania.

teraz zachował wierność wileńskim pryncypiom: z miejsca odrzucał możliwość – choćby hipotetyczną i teoretyczną – zbudowania stronnictwa katolickiego, jakiejś nowej polskiej chadecji. „Nie stanowimy namiastki czy też załączka katolickiej partii politycznej – pisali posłowie „Znaku” w roku 1961. – Czynimy to zastrzeżenie nie tylko dlatego, że w Polsce nie ma obecnie warunków do powstania takiej partii, ale ze względów bardziej zasadniczych. Mamy tu na myśli fakt, że katolicyzm w naszym przekonaniu nie może być sprowadzany do rzędu jednego ze stanowisk politycznych. (...) Kościół nie może utożsamiać się ani być utożsamiany z żadnym ugrupowaniem politycznym”.

do bloku socjalistycznego, przyjaźni z ZSRR. Przyjmował do wiadomości, choć ich nie popierał. Ale nie opowiadał się przeciw partii: gdyby było inaczej, nie mógłby działać ani chwili. Ugodowy i „samoograniczający się” „Znak” był władzom potrzebny, bo nie był im w stanie zagrozić, jak jeszcze niedawno czynił to Mikołajczykowski PSL. Na chwiejny i niepewny okres przejściowy dopuszczono prowizorium instytucjonalizujące chwilowo zdobycze Października. Ale – jak to często bywa – prowizorium trwało długo: w tym przypadku 19 lat, prawie tyle, co Polska międzywojenna. To prawda, że od początku, a coś dopiero po Październiku, system komunistyczny w Polsce nie czuł się wystarczająco pewnie. Ale prawdą jest

pośrednio interes sowiecki? Oczywiście. Ale równocześnie bronił racji stanu państwa polskiego – takiego, jakie się wyłoniło po II wojnie światowej, jedyne, które po tym kataklizmie okazało się możliwe. Czy miał nie sprzyjać procesom, które inicjowała ostrożnie Gomułkowska PZPR, a które państwo powołane przez Stalina zbliżały z wolna do Rzeczypospolitej? Nawet niepodległościowa emigracja rozumiała wtedy jego misję.

Właśnie na polu stosunków PRL – RFN doszło nadspodziewanie łatwo do zbieżności interesu „Znaku” z interesem rządu. Władze – wspominał Stomma – „respektowały polską rację stanu do granic swych możliwości. To mówię z całą odpowiedzialnością. Władze prowadziły grę, były

pełnomocnikiem Związku Radzieckiego, sprawowały dyktaturę z ramienia Związku Radzieckiego, musiały wysługiwać się temu mocarstwu – ale starały się też przeforsowywać niektóre swoje cele”. Stomma, tak jak redaktor „Polityki” Mieczysław Rakowski i inni nieoficjalni przedstawiciele władz PRL, był nieraz wysyłany do Bonn w celu odbycia poufnych rozmów z politykami zachodnioniemieckimi: konferował z ministrem spraw zagranicznych Heinrichem von Brentano, z premierem Nadrenii-Palatynatu Helmutem Kohlem, z prezydentem RFN Gustavem Heinemannem – w tym ostatnim przypadku jako pierwszy Polak przyjęty przez głowę powojennego państwa niemieckiego. O ile jednak w tego typu rozmowach PRL-owskie władze musiały również realizować długofalowy, strategiczny cel sowieckiego hegemonu, Stomma sprzyjał przede wszystkim idei jedności europejskiej: działając ponad żelazną kurtyną, a będąc wolnym od uwarunkowań ideologicznych, bezbłędnie wyczuwał, że przy ewentualnej zmianie koniunktury dobre stosunki polsko-niemieckie – tak jak niemiecko-francuskie – mogą stać się jednym z fundamentów jednoczącego się kontynentu. Ostatecznie 7 grudnia 1970 roku premier PRL Józef Cyrankiewicz oraz kanclerz RFN Willy Brandt podpisali w Warszawie, niezależny od wcześniejszego układu RFN – ZSRR, układ polsko-niemiecki. Stomma, choć nie działał w pierwszej linii, był jednak jednym z pośrednich twórców tego porozumienia. (...)

Non possumus po raz drugi

„Dla nas trwanie przy Październiku, z pewnością za długie – pisał po śmierci Stommy Mazowiecki – oznaczało sposób na obronę tamtych wywalczonych przez naród swobód oraz przypomnienie, że nie można rządzić całkowicie poza rzeczywistą opinią społeczeństwa”. Przekonanie o „zbyt długim trwaniu”, w ostatnich latach często powtarzane przez byłych „znakowców”, nie wydaje się słuszne: czyżby rozwadnianie totalitaryzmu było czymś mało istotnym? Bo przecież „Znak” nieustannie wykonywał gesty sprzeciwu – tak jak w marcu

1968 r. gdy zwrócił się do premiera Cyrankiewicza ze słynną interpelacją w obronie bitych studentów. Jeszcze bardziej stanowcza była zaś reakcja „Znaku” na zdławienie tego roku Praskiej Wiosny: Stomma uznał, że trzeba demonstracyjnie złożyć mandaty, dać świadectwo, „które pozostanie po nas”. Jeżeli postanowiono trwać, to dlatego, że tak chciał... Wyszyński.



(...) Stomma, pomny negatywnych doświadczeń litewskich sprzed I wojny, mocniej niż kiedykolwiek zdawał sobie sprawę, że prawdziwy realizm musi uwzględniać imponderabilia. Kiedy więc wkrótce potem, już w czasach Edwarda Gierka, prymas zmierzał do porozumienia z władzami, przewodniczący koła „Znak” działał odwrotnie: pogłębiał postawę opozycyjną. Wobec przygotowywanych zmian w Konstytucji PRL uznał – wbrew całemu kołu (w bardzo już zmienionym składzie, m.in. bez Mazowieckiego) oraz wbrew prymasowi, który w tej sprawie zajął stanowisko niejednoznaczne – że nie sposób głosować za zapisami o „przewodniej roli” PZPR i „przyjaźni z ZSRR”. Co innego – rozumował – przyjmować te fakty jako zastane, co innego aprobować je i popierać. Dnia 10 lutego 1976 r. jako jedyny poseł wyłamał się z jednomyślnego poparcia: wprawdzie nie zagłosował przeciw, lecz wstrzymał się od głosu – był wrogiem pustych gestów. Jednak w wyborach do Sejmu miesiąc później nie

mógł już kandydować: jego „neopozytywizm” dobiegł kresu. (...)

W stronę III RP

Wybierając imponderabilia, przekroczył Stomma granice ugody. Ale coś bardziej naturalnego u polityka, który horyzont swej formacji przekraczał zawsze. Ten poseł na Sejm PRL był przed wojną wielbicielem Piłsudskiego; łączył go z nim – oprócz faktu pochodzenia z Litwy – jego kult imponderabiliów i sprzeciw wobec nacjonalizmu. Potem jednak, jak pisał, „wydarzenia II wojny światowej (...) przyniosły klęskę ideom jagiellońskim, które usiłował rewindykować Piłsudski, a siła konieczności nadała aktualność realistycznym i racjonalnym, dalekosiężnym tezom programowym Romana Dmowskiego”. Mimo to, przechodząc od dziecięcego ideału Rzeczypospolitej Obojga Narodów do „Polski piastowskiej” lat dojrzałych, nie zajął Stomma podstawy nacjonalistycznej: ten Polak – wygnaniec z Litwy, bez większego trudu znajdował wspólny język z Niemcami – wygnańcami z Polski. Równocześnie ten antykomunista umiał sobie ułożyć lojalną współpracę z komunistami: tu z kolei była pomocą wypracowana w Wilnie postawa centrowa. Piłsudczyk i „dmowszczyk”, pozytywista i romantyk, katolik i liberał, konserwatysta i modernizator, prawicowiec i lewicowiec, Polak, Litwin i Europejczyk – stanowił Stomma swoistą syntezę polityki polskiej ostatnich stuleci. Każdy etap jego życia służył do wznoszenia kolejnych pięter koncepcji politycznej.

Faktyczny akces Stommy do opozycji pozasystemowej był takim właśnie aktem przekroczenia siebie: aktem przedostatnim. Stomma zdecydował się wówczas na rolę polityka drugiego planu: członka zespołu redakcyjnego „Tygodnika Powszechnego” – pisma otwarcie już wtedy opozycyjnego – oraz działacza związanego z Mazowieckim – liderem „znakowego”, umiarkowanego skrzydła Solidarności. Ale najsilniejsze oparcie znalazł Stomma, jak zawsze, w Kościele instytucjonalnym. Mieszkając już od ponad 20 lat w Warszawie, został w przededniu ▶

► stanu wojennego, 12 grudnia 1981 r., przewodniczącym Prymasowskiej Rady Społecznej (przy nowym prymasie Józefie Glempie). W 1984 r. objął prezesurę sekcji tej Rady, nazwanej Klubem Myśli Politycznej „Dziękania”, grupującej polityków solidarnościowych różnych zapatrywań i stającej się kuźnią opozycyjnych programów w schyłkowej fazie Polski Jaruzelskiego. I tylko po stronie władz nie szukał już niczego: w roku 1986, na propozycję wejścia do Rady Konsultacyjnej przy Jaruzelskim, odpowiedział odmownie. Choć przecież nie mógł nie widzieć, że ideologiczny charakter PRL, który tak wytrwale stępiał od 40 lat, załamał się wtedy całkowicie.

Mocniej niż kiedykolwiek odrzucał sojusz Kościoła z jakąkolwiek partią polityczną – wszystko jedno: opozycyjną prawicową czy rządzącą lewicową.

Nie wahał się natomiast Stomma, by w roku 1989 r., zasiąść w Komitecie Obywatelskim przy przewodniczącym NSZZ „Solidarność”. Oraz by w 1989, w negocjacjach Okrągłego Stołu, wziąć udział po stronie solidarnościowej – razem z Turowiczem, ale i Kuroniem. Poparty przez Lecha Wałęsę, w wolnych wyborach do Senatu w czerwcu tego roku uzyskał mandat senatora. Jako marszałek senior otwierał pierwsze od półwiecza posiedzenie tej wyższej izby parlamentu – wtedy jeszcze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Po zmianie nazwy państwa w schyłku tego roku ów dawny poseł na Sejm PRL stał się senatorem RP. Miał wtedy lat 81. Dopiero teraz się okazało, że jego polityczny „minimalizm” był w rzeczywistości drogą do niepodległości. Bo przecież nie było sprawą przypadku, że pierwszym premierem III RP został akurat Tadeusz Mazowiecki.

Non possumus po raz trzeci

Ale nawet niepodległość nie stała się metą długiego życia Stanisława Stommy. Kiedy „wojna na górze” zniszczyła na zawsze jedność obozu solidarnościowego, przekroczył on siebie po raz ostatni. W roku 1990 spotkał się z Kuroniem

– w kierowanej przez Mazowieckiego Unii Demokratycznej. Połączenie w jednej partii dwóch nurtów opozycji – „Znaku” i KOR-u – miało wtedy wymiar symbolu. Nic dziwnego, że stała się Unia dla Stommy partią marzeń: zwieńczeniem jego długoletniej walki, ucieleśnieniem wileńskich ideałów centrowości. Ten najstarszy wówczas polski polityk (mówiono o nim w Unii: „Stomma jest jak wino”) starał się z wyjątkową przytomnością umysłu o zwartość i jednolitość tego ugrupowania, o porozumienie między jego działaczami, przychodzącymi z różnych stron i grającymi wcześniej na różnych instrumentach. (...) Mógł wziąć odwet

za dziesięciolecia „przydeptywania gardła”, mógł przyjąć wobec PRL postawę oskarżycielską, której u schyłku życia uległ nawet Turowicz. Ale wierność sobie rozumiał Stomma w ten także sposób, że brał pełną odpowiedzialność za swe polityczne wybory. W jego rozumieniu wolna Polska miała być dla wszystkich. Kiedyś, w reakcji na pogląd, że PZPR była partią zdrady narodowej, odpowiedział: „Takiego zarzutu nie wolno a priori stawiać całemu obozowi komunistycznemu w Polsce. Niektórzy, owszem, świadomie przeszli na stronę sowiecką i chcieli Polski sowieckiej, ale inni byli temu przeciwni. Nie można wszystkich wrzucać do jednego worka. Myślenie w kategoriach czarno-białych to okropna skłonność w polityce. Taki czarno-biały obraz widzę też w aktualnych podręcznikach szkolnych. Bardzo mi przykro, ale to jest zakłamywanie historii”.

Zwłaszcza więc od roku 1993, gdy obóz solidarnościowy przegrał wybory, Stomma przeciwstawiał się absolutyzowaniu idei „Polski posierpniowej”. (...) Namietnie bronił Konstytucji III RP – kolejnego „mądrego kompromisu”, łączącego ludzi różnych zapatrywań, różnych rodowodów i różnych sympatii politycznych: „Jeżeli Episkopat wzywałby do jej

odrzucenia, oznaczałoby to głęboką interwencję w sprawy państwowe. Sytuacja bez precedensu w ostatnich wiekach w Europie i w świecie”. Wciąż w zgodzie z zapatrywaniami wileńskimi, bał się Stomma wpłatywania Kościoła w politykę, uzyskiwania dla niego kolejnych przywilejów; gotów był tylko – i aż – bronić jego wiecznotrwałej misji, nienaruszonego depozytu wiary. Zawsze też stawał w obronie przyzwoitości: przeświadczony, że depozytariuszem tej cnoty jest tylko Unia Demokratyczna, sam jeden, do końca, przeciwstawiał się w roku 1994 zjednoczeniu z liberałami Donalda Tuska. Dopiero ubłagany przez Mazowieckiego skapitulował.

W polityce zagranicznej był entuzjastą akcesu Polski do NATO i Unii Europejskiej: doczekał jednego i drugiego, wiedział więc, że Polska jest wreszcie bezpieczna. Zadomowiony w kulturze i polityce Niemiec i Francji, był jednak u schyłku życia zdecydowanie proamerykański, powtarzał, że „świat potrzebuje żandarma”. A przy tym – przywykły żyć „w cieniu Rosji” – nieustannie wzywał do uwzględnienia jej stanowiska, ostrzegał, że stosunki polsko-rosyjskie, dziś poprawne, mogą któregoś dnia raptownie się pogorszyć (co rzeczywiście się stało w ostatnich miesiącach jego życia). Bał się polityki „prometejskiej” i choć doceniał istnienie niepodległego państwa ukraińskiego, nieustannie powtarzał, że „nasze dobre stosunki z Ukrainą nie mogą być skierowane przeciw komukolwiek”. Mądrość zwyciężonych domagała się umiaru, a wartością nadrzędną była polska racja stanu, pojęta jak zawsze w sposób nie doraźny i nie ideologiczny, ale globalny i długofalowy. Stary wilnianin nie mógł się pogodzić z „nie miłym zgietkiem polityki polskiej”.

A przecież żal było patrzeć, jak się go fetuje, ale nie słucha. Czy jednak mogła go słuchać Polska odchodząca od doświadczeń dziesięcioleci i stuleci? Polska, która nie rozumie już samej siebie? (...)

Cały tekst znajduje się w książce Andrzeja Romanowskiego *Pamięć gromadzi prochy. Szkice historyczne i osobiste*, Universitas, Kraków 2021. Pierwotnie ukazał się w „Gazecie Wyborczej”, 29-30 października 2005, pt. „Stomma czyli Polska”



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Nowa męskość, nowe ławki

Olga, Olga, coś ty narobiła. Czułość nie może być kategorią estetyczną. W ustach lewicowego krytyka brzmi dla mnie równie niezdolnie, co „patriotyzm” w orędziu polityka populisty. Numer letni „Ekranów”, mojego ulubionego pisma filmoznawczego, poświęcono „nowemu mężczyźnie” i „dyskurs czułościowy” panoszy się tam jak cudzystowy w niniejszym felietonie. Wizerunek macho jest w odwrocie, by nie rzec w zaniku; kino w erze „me too” szuka pomsty za lata dominacji patriarchy, ale krytyka tak się zapędza w postulowaniu nowego modelu męskości, że dokonuje skrajnej inwersji: teraz wzorem jest podmiot we wzmożonej niepewności, by nie powiedzieć w depresji. Nieapetycznie zarośnięty samotny grubasek, mdlejący pod ciężarem kilkulatka na ramionach, uważnie i z powagą wsłuchujący się w głosy dzieci i kobiet – taką postać w nieznośnie przechwalonym „C’mon C’mon” Mike’a Millsa wykreował zdecydowanie przeciw swojemu genre wybitny Joaquin Phoenix. Łajzowaty przegryw, miękki i letni jak odstany naleśnik, samiec omega, pokutujący za wszystkie role kinowych twardzieli i czarujących łajdaków, na których Hollywood zbudowano – a wszystko, co robi, czyni z błagalnym spojrzeniem cocker-spaniela: „Proszę pańczę o przebaczenie, że nasrałem na balkon”. Mężczyzna, który wstydi się swojej siły i obnosi ze słabością, najlepiej z zaburzeniami tożsamości płciowej, a może i potencji, och, podstarzały Casanova, któremu zabrakło na viagrze – jeśli to ma być nowy typ męskiego protagonisty, to ja wychodzę, idę sobie zrobić maraton westernów Johna Forda, stęskniony za nieczułym narratorem.

Rewelacyjnie opisał model „czułego widza” podczas seansu filmu Millsa gniewny krytyk z Krakowa, Piotr Mirski: „Dużo samotnych dziewczyn, które siedziały wygodnie skulone w fotelach, jakby grały się przed kominem. Trochę par w swetrach, okularach, szaliczkach. Większość widzów nosiła maseczki. Wrażliwi, inteligentni ludzie śmiali się dobrodusznym z padających z ekranu dobrodusznym żartów. Aż miałem ochotę wstać i zacząć strzelać”.

Uff, nawet w snach mnie prześladowa cenzura czułości. Śniłem np. o Totarcie – ewidentnie pod wpływem lektury „Sclavusa” Tymona Tymańskiego. Jako uczestnik performance’u odpowiadałem za wymyślanie i skandowanie świętokradczych hasel, ale musiałem je wcześniej konsultować z Sajnogiem, który przepuścił tylko jedno,

jego zdaniem „czule krytyczne”: „MAMY BOGA W KIESZENI”. Skądinąd sięgnąłem po „Sclavusa” niedawno, bo dopiero po nominowaniu do Nagrody Literackiej Nike tom stał się dostępny w księgarniach. Swego czasu ceniłem zlewnych tudzież zaumnych „Chtopów III”, spisanych przez Tymona i Zbigniewa Sajnogę, jeszcze zanim ten drugi zaginął na lata w sekcje Niebo pod przydomkiem Anioł Rowerowy. Tymański nawet się chwali, że znalazł egzemplarz tego białego kruk na moim domowym regale, ale również w ubikacji Lecha Janerki, który zażywa lektury jako antidotum na obstrukcję. Niestety, „Sclavusa” zniosą jedynie najbardziej cierpliwi i bezkrytyczni wyznawcy Tymona: autor bezwstydnie „kręci śmigło” na ponad 400 stronach historii sztubackich wybryków, poprzetykanej cytatami z konkurencyjnych biografów gdańskiej kontrkultury, gdzieś tam przynudza niemiłosiernie kazania buddyjskimi. Scena seksu z hermafrodytą z całą pewnością powinna się

Co to za kraj, w którym na ławki wchodzi się po schodach, a i tak strach na nich siadać, bo można wylądować na dołku za zbyt zrelaksowaną postawę.

znaleźć w antologii pornografomanii polskiej na miejscu poczesnym, ale zakwalifikowanie książki do nikowskiej dwudziestki niech mi wolno będzie jako byłemu laureatowi tej nagrody uznać za niesmaczny żart jurorów.

Idę się „odczulić” na stadion, na Wielkie Derby Śląska, w stadzie rozjuszonych samców głoszących przedmeczowe zapowiedzi, że „to nie mecz, tylko wojna”; idę i zauważam, że moje miasto rodzinne, Chorzów, jako jedno z pierwszych w Polsce zbrukano tzw. ławką patriotyczną. Ta instalacja mnie autentycznie rozczula. Jeśli ktokolwiek ma wątpliwości, czy PiS jest partią autorytarną, czy jej niezamierzoną karykaturą, niech sobie spojrzy na to kuriozum: kontur ojczyzny wzniesiony na postumencie i odgradzony łańcuchem, w dodatku wszystko w barwach narodowych Rosji, dostępne wyłącznie dla pełnosprawnych i obostrzone 15-punktowym regulaminem. Co to za kraj, w którym na ławki wchodzi się po schodach, a i tak strach na nich siadać, bo można wylądować na dołku za zbyt zrelaksowaną postawę. Tęgie pisowskie głowy zbyt dosłownie potraktowały przestrogi, że pójda siedzieć, i postanowiły sobie zawczasu zaprojektować miejsce odosobnienia. ■

Pod młotek pójdzie wszystko

Nie widzicie, że tu się dyskretnie proponuje robotnikom, by własnoręcznie kręcili bat na robotniczą dupę?

Marian Buchowski

Trwała jedna z przedłużających się przerw w obradach I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ Solidarność. W małej grupce delegatów i dziennikarzy staliśmy sobie przed goszczącą zjazd widowiskowo-sportową halą Oliwia i kurząc papierosy, rozmawialiśmy o wszystkim. Rej wodził jakiś długowłose Tadek z warszawskiej prasy solidarnościowej; bez plakietki z nazwiskiem, za to z informacją, że osobiście zna Zbyszka Bujaka, szefa Regionu Mazowsze, więc jakby co, to może któremuś z nas załatwić wywiad. Także o papierosy było wtedy trudno. Pałił ów Tadek, dzięki nam, już drugiego „cudzesza”, ale chyba nie z wdzięczności zaczął nas pocieszać, zerkając nam w zjazdowe identyfikatory:

– Ty z Opola, ty też z Opola, ty z jakiejś tam innej Zielonej Góry. W stolicy o tym od dawna wiadomo. Koledzy, jako terenowi dopiero tu możecie wyłapać zjawisko. Że już bez białych rękawiczek, za to nadal, nie szczędząc narkozy z wielkich słów, robi się trepanację głowie Solidarności. Żeby wyciąć jej te szare komórki, co u zdrowego produkują instynkt samozachowawczy.

– Wałęsa, od czasów stoczni, nie idzie już na zwarcie – włączył się Rómek Kirstein, delegat z Opola. – A gra tu teraz Lechu chojraka nie z czyjejs podpuchy, tylko sam z siebie. Lechu ma nosa, czuje salę i wie, czym wygrać wybory na przewodniczącego.

No to nasz intelektualny oświeceniowiec ze stolicy rozjaśnia prowincjonalną ciemnotę i delikatnie nas zawstydza:

– Ludzie! Nie o Wałęsę chodzi! O cały związek! Od morza do Tatr. Panowie, nie widzicie, że tu się dyskretnie proponuje robotnikom, by własnoręcznie kręcili bat na



Roman Kirstein na uroczystych obchodach rocznicy podpisania Porozumień Sierpniowych 1980. Opole, 30 sierpnia 2017 r.

robotniczą dupę? I oni ten drut kolczasty tykają i jeszcze biją brawo! Co to za jakaś „społeczna własność środków produkcji”, wychwalana tu na zjeździe? Albo państwowe, albo prywatne. Wszystko, co państwowe, jest podobno be, a prywatne – wszyściusko cacy. No to się Polskę sprywatyzuje. Nie tylko jakiś sklepik z guzikami. Rekwiem dla sprawiedliwości dawno gotowe, partyturę dyrygenty na razie trzymają za pazuchą inteligentkiego fraka. Zaczną rozpiardol od Pałacu Kultury. Pod młotek pójdzie wszystko. Huty. Kopalnie. Szpitale... Wszystko. Tylko klasztor na Jasnej Górze pozostanie państwowym. No co się tak dziwicie? Przecież klasztor to własność państwa Watykan.

Opowiadał jeszcze, długo i barwnie, o różnych postaciach z warszawskiej opozycji, kto z kim i przeciw komu, o Michniku, który, jako z własnej woli całymi latami formalnie bezrobotny, nie mógł należeć do związku

zawodowego (a bardzo chciał), i dopiero Bujak, za czasów MKZ, zrobił go u siebie jakimś takim pracownikiem od doradzania. Sypane z rękawa Tadekowe syntezy, hipotezy i analizy nie zawsze trzymały się kupy, ale słuchaliśmy z zainteresowaniem.

Szukałem potem tego długowłosego Tadka, nie tylko licząc na rekomendację u Bujaka i wywiad z tym młodym (miał wtedy 26 lat), bardzo inteligentnym robotnikiem z Ursusa; błyskotliwego wystąpienia Bujaka (a był zaproszonym gościem) słuchałem na zjeździe Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich pod koniec października 1980 r. Tadek z Oliwii też był bystry, budził wprawdzie irytację beserserwiserstwem i protekcjonalnością, ale chciałem się umówić na dłuższą pogawędkę, bo jego patrzyenie na ówczesną rzeczywistość było ciekawe, a niektóre poglądy wydawały mi się w jakiejś mierze bliskie. Mimo charakterystycznej sylwetki nie udało się go

potem wypatrzeć, a rozpytywanym delegatom z Regionu Mazowsze opis i imię nic nie dały. A może to był jakiś przebieraniec i agent wpływu? Jeśli tak, to utalentowany.

Być może po latach, już raczej z przerzedzoną czupryną, poznany w Oliwii długowłose Tadek odczuje gorzką satysfakcję z powodu trafności swoich przepowiedni, brzmiających tam dla nas trochę jak lewackie warczenie. Tylko że, skubaniec, czuł dobrze. Kto najszybciej i najdrożej zapłacił za witany z takim entuzjazmem, pędzący z prędkością 100 km na godzinę pogrzeb PRL? Zapłacili zlekceważone przez strategów transformacji ustrojowej setki tysięcy, a może nawet miliony robotników. Jakże musieli być zdziwieni, rozgorczyeni i wkurwieni, kiedy im za Sierpień '80 podziękowano masowym bezrobociem. A lecieli na bruk bez jakiegoś osłonowego spadochronu. Więc teraz, zamiast rozmowy z tamtym Tadekiem, czytam sobie wielce interesującą książkę młodego naukowca (rocznik 1989) Michała Siermińskiego „Pęknięta Solidarność. Inteligencja opozycyjna a robotnicy 1964-1981”.

Na pewno przebierańcem był Barabuk. Tak z moim kolegą redakcyjnym Marianem Szczurkiem nazwaaliśmy w Gdańsku Lucjana. „Lucek jestem”, obwieścił przy zapoznaniu i wymamrotał jakieś nazwisko zakończone na -ski. Ochrzcziliśmy go Barabukiem, bo używał tego dziwnego słowa często i w najróżniejszych kontekstach.

Poznaliśmy się w lokalu o nazwie Miramar, mieszczącym się w części Trójmiasta zwanej Sopot-Przymorze.

Po sezonie było w Miramarze pustawo, ale niezbyt drogo. Chodziliśmy tam z Marianem wieczorami na mleko, jednak za każdym pobytem kelner nawet nie szedł do kuchni sprawdzić, tylko od razu bezradnie rozkładał ręce. Widywaaliśmy tam niekiedy opolskich delegatów zjazdowych, ale im pobyt umilano także talerzami (za PRL nazywało się to „konsumpcja”, w niektórych knajpach obowiązkowy dodatek do wódki).

Ktoregoś wieczoru pod jakimś pretekstem dosiadł się do nas ów Barabuk, młody, sympatyczny, pogodny

gdański tubylec, ekspert od lokalnej mapy monopolowych krynic, znający miejscowy świat i półświatki. Kiedy tej nocy zamykano interes, to opuszczaliśmy lokal, ale ochotę na jeszcze – absolutnie i kategorycznie nie. Więc po krótkiej naradzie Barabuk dostał od nas trochę kasy i poszedł. Dłuższy czas go nie było, uznaliśmy, że to defraudant, ale się zjawił, a rąk nie miał pustych.

W plenerze, na trawie, podziwialiśmy gwiazdy niemal do świtu. Ale wszystko ma swój koniec. „Wymięty powstań ludu z ziemi, / powstańcie, których dręczy pragnienie. / Łyk to był nasz ostatni, / skończy nam się ten trud, / gdy Związek Radziecki / z Solidarnością / ogaaaarną ludzki ród...”. Mniej więcej z taką, kleconą po drodze wersją „Międzynarodówki” na spierzchniętych ustach

Wszystko, co państwowe, jest podobno be, a prywatne – wszyściuśko cacy. No to się Polskę sprywatyzuje. Nie tylko jakiś sklepik z guzikami.

– wracaliśmy na pokoje. Grzeczniutki Barabuk, czując się gospodarzem iwentu, odprowadził nas pod sam dom, w którym przez organizatorów zjazdu byliśmy zakwaterowani. Żeby rano się nie męczyć ubieraniem, zrobiliśmy od razu bęc do łóżek, w tych po zachodzie słońca wieczorowych, jednakowoż, strojach.

Na leżąc pomyślałem w pewnym momencie, że to Opatrzność nas natchnęła do tego nierozbierania. Ledwie bowiem przymknęliśmy powieki, a tu do drzwi puka jakiś wczesny gość. I my go teraz, cudownie przewidujący, nie będziemy musieli wstydlawie witać w gaciach.

W drzwiach stał Barabuk. Ale nie z zestawem reanimacyjnym. Weszło nam do pokoju dwóch umundurowanych milicjantów i jeden cywil, dowodzący trójką. Ten zapytał Barabuka, czy to ci panowie, czyli my, okradli go po opuszczeniu lokalu Miramar na kwotę... Kwoty już dziś nie pamiętam, ale nie była mała, oj nie. Barabuk potwierdził, że to my. My zaprzeczaliśmy. Wtedy ten cywil zażądał dokumentów. Marian przytomnie zamiast dowodu osobistego wygrzebał

z którejś kieszeni legitymację redakcyjną z napisem „Prasa” na okładce. Cywil rzucił okiem do środka, wskazał palcem na mnie, pokazałem taką samą. Wtedy on wymownym spojrzeniem jakby dał w twarz Barabukowi. I bez słowa wyszli. W naszych legitymacjach, dużymi literami i tłustym drukiem, stało jak byk: Redakcja „Trybuna Opolska”, dziennik PZPR.

Nie byliśmy w Gdańsku w roli delegatów. Mieliliśmy zjazdowi się przysłuchać, przysłuchiwać, a jak nam, nie daj Boże, jakaś myśl wpadnie do głowy, to też możemy spróbować ją z niej wydostać. Nasz naczelny, Włodek Kosiński, postawił warunek: relacje mają być strawne także dla cenzora. Ale zgodził się na naszą propozycję, że w relacjach nie będziemy kłamać, choćby dlatego, że konkurencja zbyt duża.

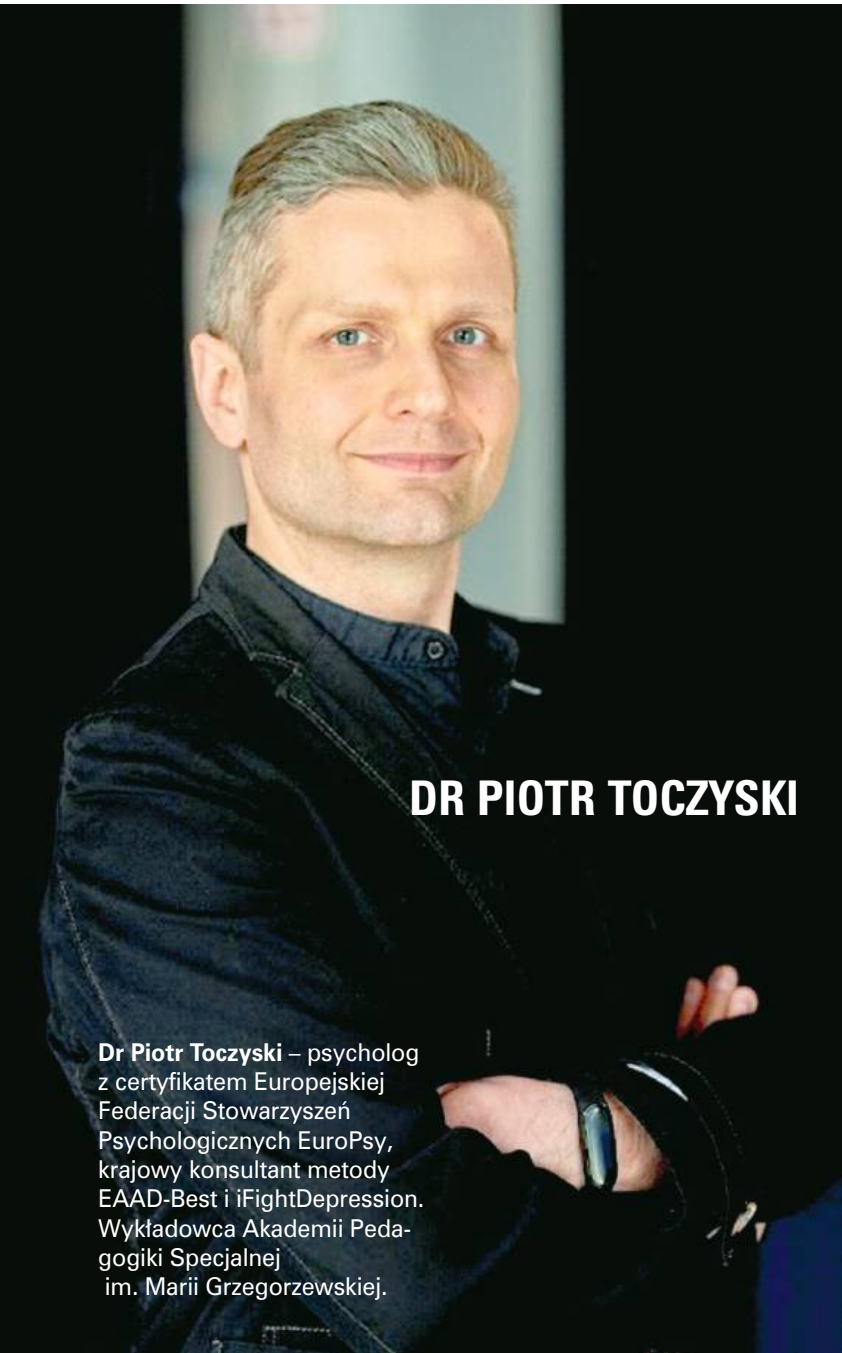
Barabuk, jak się więc okazało, to konfident i jawny współpracownik bezpieki. Wiedział tylko, że jesteśmy trunkowymi ludźmi ze zjazdu Solidarności, i powiadomił o tym kogo trzeba. No i niski szczebel gdańskiej filii SB pewnie uznał, że wprawdzie zdobycz Barabuka to jakieś opozycyjne płotki, ale dla relaksu i w oczekiwaniu na duże gry operacyjne wobec kierownictwa związku można i takich dwóch małych dupków z Opola, pewnie z gębami pełnymi etosu i moralności, posmarować gównem złodziejstwa. A tu klops, zmarnowali przynętę, zarzucając Barabuka na dziennikarzy z partyjnej gazety.

Ilu tam wtedy wokół zjazdu kręciło się takich Barabuków – nie wiadomo. Pewnie sporo. Po latach, z akt IPN, będzie natomiast wiadomo, że wśród 896 delegatów wybranych na I Krajowy Zjazd NSZZ Solidarność było co najmniej 37 tajnych współpracowników. I nie skupiali się oni, jak nasz koleżka z knajpy Miramar, na zjazdowym planktonie.

*Fragment przygotowywanej do druku książki
Romkoczyń Romana Kirssteina*

Depresja w masce

Gdy źródła bólu nie udaje się zlokalizować, pacjent cierpi. Nawet mu do głowy nie przyjdzie, że powinien iść do psychiatry



DR PIOTR TOCZYSKI

Dr Piotr Toczyski – psycholog z certyfikatem Europejskiej Federacji Stowarzyszeń Psychologicznych EuroPsy, krajowy konsultant metody EAAD-Best i iFightDepression. Wykładowca Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej.

Rozmawia Dorota Bartosewicz

Jak szybko rośnie w Polsce liczba osób z depresją?

– Może być tak, że wcale nie rośnie. Badania przesiewowe zrobione w pierwszej połowie roku przez CBOS pokazują, że łagodne objawy depresji występują u przynajmniej co piątego Polaka, a u mniej niż co setnego bardzo nasilone. Przy czym to pierwsza faza badania, więc trudno tu o jakiegokolwiek odniesienia.

Instytut Psychiatrii i Neurologii szacuje, że niecały 1% chorował na ciężką depresję w ostatnich 12 miesiącach.

– Z kolei UCE RESEARCH i SYNO Poland dla platformy ePsychodolzy.pl – już przy użyciu innych narzędzi – podaje, że aż 60% wykazuje objawy depresji. Dlatego najbezpieczniej przyjąć, że ok. 5% Polaków ma depresję. Klinicznie zdiagnozowaną, w której należy włączyć farmakoterapię i psychoterapię. I tutaj od lat nic się nie zmienia. Dobra wiadomość jest taka, że 72% ankietowanych przez CBOS odpowiedziało, że nie ma żadnych objawów depresji. A mężczyźni zaraportowali ich mniej.

To też tendencja stała: na depresję co do zasady częściej cierpią kobiety. Stanowią ok. 25% chorych, podczas gdy mężczyźni ok. 12%.

– W rzeczywistości liczba chorujących mężczyzn może być podobna. A to dlatego, że depresja częściej jest u nich maskowana – zamiast smutku mężczyźni przeżywają np. złość. Poza tym trudniej im się przyznać do problemów, również przed sobą samym, i poszukać pomocy. Nawet jak cierpią na bezsenność, zapytani przez ankietera, odpowiadają: „Nie”. Bo przecież nie wypada się przyznać. Skąd to jeszcze wiadomo? U dzieci i młodzieży diagnozuje się depresję na tym samym poziomie, niezależnie od płci i metody badania. Po okresie dojrzewania u chłopców już rzadziej niż u dziewcząt i tendencja ta się utrzymuje.

A jak wypadamy na tle innych krajów?

– Plasujemy się w środku stawki, nieco poniżej unijnej średniej, która wynosi 7,2%. Za Cyprem, Czechami i Słowacją. Za to przed Węgrami, Grecją i Maltą, jak wynika z danych Eurostatu. Najgorzej pod tym względem jest w Portugalii, gdzie odsetek osób z ciężką depresją wynosi ponad 12,7%.

Czym to tłumaczyć?

– Przyczyny są uniwersalne, bo wszyscy mamy podobną genetykę, która, jeśli wierzyć statystykom, wpływa w 30-40% na rozwój choroby. Poza tym mamy podobną biologię. A przecież wystąpienie depresji związane

jest z zaburzeniami hormonalnymi, zaburzeniami neuroprzekazników w ośrodkowym układzie nerwowym, w tym wychwytywaniem serotoniny i noradrenaliny. Choć może mieć także związek ze zmianami zapalnymi.

Tyle że to niejedyna teoria

wyjaśniająca przyczyny depresji.

– Są też przyczyny psychologiczne.

I co najmniej trzy główne szkoły ich opisywania.

– W tym teoria psychodynamiczna, najwcześniejsza. Kładzie nacisk na konflikty między pragnieniami

i uniemożliwiają obiektywną ocenę sytuacji, co z kolei sprawia, że myślimy o sobie jeszcze gorzej. Tak powstaje błędne koło. Nierzadko błędom poznawczym, negatywnej samoocenie i pesymistycznym przewidywaniom towarzyszą jeszcze czarno-białe myślenie, przypisywanie sobie odpowiedzialności, nadmierne uogólnianie, wybiórcza uwaga i arbitralne sądy. Jeden mechanizm nakręca drugi, a stąd już niedaleko do wykluczenia się z jakiegokolwiek aktywności.

– Bo u jednych może być wywołana przez jedną grupę czynników, u drugich z kolei o rozwoju tej choroby decyduje wystąpienie czynników z różnych grup. Nie do końca zbadano, jakie są tutaj związki przyczynowo-skutkowe. Ba, bywa, że depresja „przykleja się” do innych chorób. Jest schorzeniem wtórnym np. w zaburzeniach i uzależnieniach. Teorii jest wiele. Najważniejsze, że depresję się diagnozuje i leczy.

A jak ją w ogóle rozpoznać?

– Jeśli widzimy, że ktoś zaczyna się spóźniać, jest niedospany, śpi przed komputerem, nie ma energii – warto uważniej mu się przyjrzeć. Podobnie, jeżeli lubił sport albo czytanie, a teraz ani jedno, ani drugie nie daje mu radości i siedzi przygaszony. Dalej: wierzy w ruinę materialną. Że jest wielkim grzesznikiem. Albo ma np. absurdalnie wysokie poczucie winy. I boi się kary, dzień w dzień. „Nie tylko zawiodłem innych, ale jeszcze oni mnie ukarzą”, myśli.

To może być jedynie obniżony nastrój. Co świadczy o tym, że to już depresja?

– Zgoda, czasem i tak bywa. Dlatego najlepiej uwzględnić co najmniej osiem objawów, które pojawiają się w kwestionariuszu PHQ-9 (Patient Health Questionnaire), który przeznaczony jest do przesiewowego wykrywania depresji. Pierwszy objaw to niewielkie zainteresowanie wykonywanymi czynnościami lub

i dążeniami oraz deficyty, głównie z dzieciństwa. Najczęściej sięga się wówczas do Zygmunta Freuda, który dowodził, że przyczyną agresji jest złość skierowana nie na rodziców, ale do wewnątrz. A jeśli jeszcze w rodzinie są sztywne systemy wychowawcze, które sprawiają, że w pierwszych latach życia nie możemy się wyrazić, to w efekcie dochodzi do obniżenia samooceny i samooskarżeń.

Druga teoria psychologiczna bazuje na modelu behawioralnym. Mówi on: osoby, które zapadają na depresję, nie nauczyły się radzenia sobie z sytuacjami społecznymi.

Innymi słowy, mają mniejsze umiejętności rozwiązywania konfliktów.

– Do tego tendencję do wybierania sytuacji międzyludzkich, które rodzą ich frustrację, negatywne przeżycia, stąd smutek, brak energii, zmęczenie. Nierzadko biorą na siebie za dużo. Albo nie sięgają po wsparcie, bo nikt ich tego nie nauczył.

To nawet nie jest sprzeczne z pierwszą teorią sięgającą do wczesnych lat i opartą w dużej mierze na nieuświadomionych procesach. Behawiorysty i freudyści zapewne by się spotkali.

Trzecia teoria to model poznawczy, za którym stoi Aaron T. Beck. Jego zdaniem, u podłoża depresji znajdują się błędne schematy poznawcze i wzory reagowania, wyniesione również z dzieciństwa.

Tyle teoria, a w praktyce?

– Negatywne myśli o sobie i świecie pogarszają samopoczucie

Jaka jest jedna zasada, niezależnie od modelu?

– To, co dostajemy z poziomu biologicznego, jest tylko odpowiedzią na to, co sobie zafundowaliśmy na poziomie psychologicznym. Decydujące znaczenie ma to, że wychowaliśmy się w rodzinie, w której nas karano. Za mało obdarzano miłością. Że nauczyliśmy się nieporadnego wchodzenia w sytuację społeczną. Zbudowaliśmy mechanizmy poznawcze, które sprawiają, że postrzegamy siebie jako gorszych od innych i osadzonych w rzeczywistości, która jest zła. Do tego nierzadko dochodzą inne nieadaptacyjne schematy – wstydu, samopoświęcenia, zależności, podatność na porażki.

Polskie wychowanie, z opresyjną pedagogiką i rygorem szkolnym, bardzo sprzyja depresji.

W podręcznikach można znaleźć jeszcze inne wytłumaczenie przyczyn depresji.

– Bezpieczne przywiązanie, autonomia, tożsamość, zdolność wyrażenia potrzeb, świadomość granic, samokontrola, spontaniczna zabawa – jeśli tego nie ma, wzmocnimy jedynie tendencję do zapadania na tę chorobę. Tak! Co więcej, polskie wychowanie bardzo temu sprzyja – z opresyjną pedagogiką i rygorem szkolnym.

Tyle że te ostatnie dotyczyły większości z nas, a jednak depresja nie dotyka wszystkich. Dlaczego?

niewielka przyjemność z ich wykonywania. Drugi – uczucie smutku, przynębienia lub beznadziejności. Trzeci – kłopoty z zaśnięciem lub przerywany albo zbyt długi sen. Dalej są to: uczucie zmęczenia lub brak energii (objaw czwarty), brak apetytu lub przejadanie się (piąty), poczucie niezadowolenia z siebie lub uczucie, że jest się do niczego albo że osoba wypełniająca kwestionariusz zawiodła siebie bądź rodzinę (szósty).

Jako przedostatnie na liście znalazły się problemy ze skupieniem się,

► **np. przy czytaniu gazety lub oglądaniu telewizji.**

– A jako ostatni objaw poruszanie się bądź mówienie tak wolno, że inni mogliby to zauważyć. Albo wręcz przeciwnie – niemożność usiedzenia w miejscu lub podenerwowanie powodujące ruchliwość znacznie większą niż zwykle. Co też ważne, kwestionariusz PHQ-9 można wypełnić za kogoś. Po cichu. A potem powiedzieć np.: „Słuchaj, wypełniłem, obserwując cię, i w zasadzie wyszło, że warto by było, żebyśmy poszli do fachowca. Może mógłbym cię w tym

Jakie jeszcze mogą być nietypowe objawy?

– Choćby bóle, np. pleców. Przy czym mimo badań i wizyt u internisty źródła bólu nie udaje się zlokalizować. Pacjent nadal cierpi. Szuka diagnozy. Chodzi więc po różnych specjalistach. Do głowy mu nie przyjdzie, że powinien iść do psychiatry. Podejmuje zbędne leczenie objawów towarzyszących, a okazuje się, że maskuje tylko objawy główne. Podliczono przy tym, że jest ok. 1,5 tys. kombinacji objawów chorobowych towarzyszących depresji.

Bywa, że depresja „przykleja się” do innych chorób. Jest schorzeniem wtórnym np. w zatruciach i uzależnieniach.

wspomóc?”. Lepsze to niż nic. Zawsze można również zadzwonić na infolinię. **„Wypisz wymaluj ja”, odpowie każdy Polak. Jak mieć jednak pewność, że to depresja?**

– Objawy muszą się utrzymywać co najmniej dwa tygodnie. Stale. Bez tendencji zniżkowej. Poza tym warto pamiętać, że jeśli ktoś miał już wcześniej zdiagnozowaną i leczoną depresję, ryzyko, że ponownie zachoruje, wynosi ok. 50%. To nawracające zaburzenie.

To jedna rzecz, druga – mówimy o objawach depresji typowej.

A przecież może ona przybrać inną formę.

– I wtedy jest odwrotnie, bo ktoś ma np. zwiększone łaknienie i objada się. „O, tak się dobrze trzyma, pucotowaty, zdrowy jest”, usłyszy wtedy. Albo staje się agresywny. Natarczywy. Błyskawicznie wpada w złość. Szybko wybuch. Spodziewaliśmy się, że będzie zasmucony, przygnębiony, a jest nie do zniesienia dla otoczenia. Obie postaci depresji, co ciekawe, są częściej spotykane u dzieci i młodzieży. Depresja seniorów także nie jest typowa. Włącza się hipochondria. Utrata zainteresowań, motywacji do aktywności. Zmniejszona jest sprawność intelektualna. Wydawać by się mogło, że to dlatego, że starszy człowiek ma słabszą pamięć, gorzej funkcjonuje, słabiej kojarzy fakty. Tyle że po włączeniu leczenia przeciwdepresyjnego w pełni odzyskuje sprawność.

Jakie jeszcze w takim razie?

– Rozżalenie, poczucie, że inni stale mnie ranią. Ale i ryzykowne zachowania na granicy bezpieczeństwa swojego oraz innych, chociażby ściganie się samochodami, zajeżdżanie drogi innym kierowcom, po czym gwałtowne hamowanie.

Ale przecież ktoś może mieć taki typ osobowości, to żadna depresja.

– Nie, jeśli da się wyraźnie wskazać moment, w którym dana osoba się zmieniła. Inna rzecz, że nierzadko nietypowym objawem depresji będzie np. ołowiany paraliż, bardzo ciężkie kończyny, po których depresję rozpozna wyłącznie doświadczony psychiatra.

Jeśli ktoś miał już wcześniej zdiagnozowaną i leczoną depresję, ryzyko, że ponownie zachoruje, wynosi ok. 50%.

Tyle objawy, a jaka jest pana definicja depresji?

– To nic innego jak zachowany w ciele impuls. Coś bym chciał zrobić, ale pojawia się bariera. Niezależna ode mnie, która dramatycznie utrudnia funkcjonowanie. Próbuję ją przezwyciężyć różnymi metodami: a to się przepracowuję, a to maskuję schorzenie – staję się kłótlivy, konfliktowy. Nie toleruję krytyki. Jestem dezorganizowany. Zaniedbuję potrzeby i obowiązki. A jednak pod spodem cały czas kryje się głęboki

smutek, cierpienie psychiczne, które w skrajnym przypadku może doprowadzić do śmierci. To bardzo złożony obraz. W zasadzie nie jeden, ale cała galeria, gdzie wiele jest prac różnych artystów. Czasami to obraz pozornie jaskrawy i pogodny, z którego głębi wyziera potężne cierpienie. Smutek.

Nic dziwnego, że depresja często bywa mylona z innymi zaburzeniami.

– Najczęściej z wypaleniem zawodowym. Mogę myśleć, że zmęczyła mnie praca, że jeszcze wytrzymam, zacisnę zęby. Ale, w przeciwieństwie do wypalenia, depresja nie mija, kiedy przestaję pracować. Bywa też, że depresja mylona jest z żałobą, choć ta ostatnia trwa dłużej, bo około roku, i związana jest z poszukiwaniami duchowymi. Albo nawet z zaburzeniami borderline, w których występują gwałtowne spadki nastroju z myślami samobójczymi i samookaleczeniami. Tutaj różnica jest taka, że stany depresyjne ograniczają się do kilku godzin lub kilku dni.

Niezależnie jednak od trudności w diagnozowaniu depresji WHO już teraz szacuje, że ma być ona drugą, po chorobach układu krążenia, najczęściej występującą chorobą.

– Niekoniecznie diagnoz będzie więcej, za to na pewno przebieg depresji będzie cięższy. Głównie dlatego, że rzeczywistość będzie jeszcze bardziej krucha, niespokojna i niezrozumiała, a społeczność nie zawsze będzie w stanie udźwignąć problem i służyć pomocą. Już w tej chwili 70%

osób stygmatyzuje w Polsce depresję, co pokazał sondaż CBOS. A to oznacza, że większe jest ryzyko trafienia na osoby, które widziałyby w depresji rodzaj naszej winy, naszego lenistwa, niechęci do wzięcia się za siebie, niż na takie, które wzięłyby nas za rękę i zaprowadziły do psychologa czy psychiatry. Stworzyły lepsze warunki powrotu do zdrowia. W efekcie osoba, która miałaby lekki epizod depresyjny, doświadczając będzie umiarkowanego, a ta z umiarkowanym – ciężkiego.

Dorota Bartosiewicz

Był czwartek przed sierpniowym długim weekendem. Późnym wieczorem na policję zadzwoniła kobieta. Powiedziała, że jej 75-letni mąż ileś godzin wcześniej wybrał się do byłego zięcia i od tamtej pory nie ma z nim kontaktu. I że ona bardzo się niepokoi. Patrol policji dostał informację o godz. 22.40. Pojechał pod wskazany adres na warszawskiej Białołęce. Nikt nie zareagował na sygnał domofonu, nikt nie otworzył drzwi na odgłos pukania. Pod drzwiami policjanci zauważyli brunatne smugi. Zaniepokoił się, że to może być krew.

Nagle otworzyły się drzwi windy. Wysiadł z niej 48-letni mężczyzna w bojówkach i bluzie z kapturem. W rękę trzymał pudło z piłą tarczową. Podeszedł do policjantów, którzy stali pod jego mieszkaniem. Zachowywał się dziwnie, powiedział, że źle się czuje i że boi się wejść do mieszkania. Wręczył policjantom klucze oraz nóż, który wyjął z kieszeni. Funkcjonariusze otworzyli drzwi i zamarli. W przedpokoju na podłodze leżał mężczyzna. Cały zakrwawiony, bez nóg. Miał poderżnięte gardło i rany zadane prawdopodobnie siekierą. Obok na podłodze leżały narzędzia: piła, siekiera i toporek. Nogi znaleziono potem w kontenerach na śmieci. Ciało zamordowanego najpewniej miało być dalej kawałkowane i właśnie dlatego 48-latek kupił piłę tarczową, bo zwykłą cięcie kończyn szło powoli.

Mężczyzna, który był zięciem ofiary, został aresztowany na trzy miesiące. Nie przyznaje się do winy. Mieszkanie zostało zamknięte i zabezpieczone. Wewnątrz pozostały kałuże krwi, może również fragmenty ciała oderwane w czasie piłowania. To wszystko ktoś będzie musiał posprzątać.

Czasem alarmuje fetor

Firma V-Twin-90 istnieje od 2003 r. Jako pierwsza w Polsce zajęła się tzw. sprzątaniami funeralnym. Na pomysł takiej niszej działalności wpadł Dariusz Paliwoda z Żor. Pomyślał, że tego rodzaju



CIAŁO

Sprzątanie po zmarłym może trwać kilka godzin, ale i kilka dni

usługa mogłaby znaleźć odbiorców, bo czasy są takie, że wiele osób żyje samotnie, z dala od rodziny. Często zdarza się, że ktoś umiera w domu i przez jakiś czas nikt o tym nie wie. Czasami zgon zostaje odkryty nawet nie przez najbliższych, ale przez sąsiadów, którzy czują dojmujący smród i zgłaszają to do administracji budynku.

Dariusz Paliwoda powiedział o swoim pomysłe sprzątania po zgonach żonie Justynie. Przyjęła to zaskakująco spokojnie. On zarejestrował działalność gospodarczą, zatrudnia żonę, pracując tylko we dwoje. Pierwsze zlecenie dotyczyło kobiety. Zmarła w wyniku szoku termicznego, kiedy w upał zanurzyła nogi w misce z zimną wodą. Po śmierci długo leżała w mieszkaniu, bo nikt nie zauważył jej nieobecności. Choć miała córki. Dopiero smród zaalarmował innych mieszkańców. – Kiedy weszliśmy tam,

fetor był niesamowity – wspomina Justyna Paliwoda. – Łóżko i drewniana podłoga były nasączone płynami ustrojowymi, były robaki, które pojawiają się tam, gdzie rozkładają się zwłoki.

Mąż Justyny też pamięta to zlecenie. Wtedy jeszcze ich umiejętności były mniejsze, teraz postępują w pewnym sensie według dobrze znanego schematu, który modyfikują w zależności od sytuacji. Każde z nich wie, co ma robić. – Najczęściej mamy do czynienia z sytuacjami, kiedy nastąpił rozkład zwłok – mówi Dariusz. – Dostajemy wezwania do mieszkań prywatnych, by sprzątać po zabójstwach, samobójstwach czy śmierciach naturalnych. Zajmujemy się także sprzątaniami obiektów użyteczności publicznej i pociągów.

Kiedy pociąg rozjedzie człowieka, trzeba wezwać karetkę, policję, prokuratora. Ciało wyciągnąć, skompletować. Potem wagon albo kilka należy odstawić na bocznice i zdezynfekować podwozie. Oświetlić mocną latarką wszystkie zakamarki podwozia i zebrać fragmenty ciała do specjalnego pojemnika, a resztki garderoby do utylizacji.

– Mamy umowę z jednym z przewoźników kolejowych – wyjaśnia Dariusz. – Czyścimy podwozia pociągów, pod które wpadł człowiek, i sprzątamy wagony, w których zmarł człowiek, bo np. miał zawał. Regulaminy wewnętrzne przewoźników określają wykonanie ▶

► takiego sprzątanía. Musimy to zrobić w określonym krótkim czasie, dlatego nasz telefon jest czynny na okrągło.

– Jeśli człowiek zmarł w przedziale i nie było krwi, to wykonujemy dezynfekcję – uzupełnia Justyna. – Podobnie jest, jeśli pasażer zmarł w autobusie – wtedy przewoźnik samochodowy zwraca się do nas o dezynfekcję pojazdu. Jeśli ludzie zginęli

osoby bliskiej może się wiązać ze skrajnymi emocjami. Sama ponad 30 lat temu brałam udział w uprzątnięciu piwnicy, w której niewybuch zabił dwóch nastolatków. Do wybuchu doszło w piwnicznym korytarzu blisko mojego boksu. Przy okazji ucierpiało pięć innych boksów. Dzień później, w sylwestra, skrzyknęliśmy się z sąsiadami, by posprzątać. Ofiar już nie było, jednakże

Czasem, kiedy pracują w bloku, lokatorzy się awanturują. Denerwują się z powodu fetoru, choć oni właśnie przybyli, żeby jego źródło zlikwidować, albo dlatego, że windą transportują meble przeznaczone do utylizacji. A jak mają to zrobić inaczej?

Na początek zmyć krew

Firma V-Twin-90 nie otrzymała zlecenia na sprzątnięcie mieszkania na warszawskiej Białolece, gdzie zięć zabił teścia. Choć mogliby takie zlecenie wykonać, bo swoją działalnością obejmują całą Polskę. Pytam Justynę Paliwodę, jak jej zdaniem może wyglądać to mieszkanie po morderstwie. Przebieg wypadków był taki, że sprawca zadał ofierze kilka ciosów siekierą w głowę, podciął gardło, a na koniec odciął nogi. – Bez wątplenia tam będzie masakra – stwierdza Justyna. – Ale trudno mówić o szczegółach. Nie wiemy, czy zaatakowany mężczyzna się bronił, czy uciekał przed agresorem. Od tego zależy, czy ślady krwi będą w całym mieszkaniu, czy nie. Czy będą na ścianach i meblach, czy jedynie na podłodze.

Ofiara zmarła z powodu wykrwawienia, więc tej krwi powinno być dużo. Dużo, czyli ile? Dorosła osoba ma od 3,8 do 5,6 litra. Gwałtowna utrata 30% krwi może zakończyć się zgonem, po utracie ponad

1,5 litra śmierć jest niemal pewna. Krew i inne płynny wyciekły w miejscu, gdzie leżał zabity mężczyzna. – Ponieważ

ciało zostało szybko zabrane, nie następowały procesy, które zachodzą, gdy zwłoki przez wiele dni pozostają w mieszkaniu – wyjaśnia Justyna. – Na pewno kilka dni po morderstwie w mieszkaniu i na klatce schodowej czuje się specyficzny zapach krwi. Jeśli ciało leżało na dywanie, trzeba go zutylizować, jeśli na podłodze z paneli, krew mogła wnikać pod spód i trzeba by je zerwać, a powierzchnię pod nimi umyć.

Krew zmywa się specjalnym środkiem dezynfekującym. Glazurę czy terakotę można umyć skutecznie, ale meble tapicerowane trzeba wyrzucić. Czasami krwi jest niewiele,

Zapach wnika we wszystkie przedmioty, które znajdowały się w pobliżu zwłok: bibeloty, meble, dywany, deski podłogowe czy panele.

w wypadku samochodu osobowego czy busa, zazwyczaj pojazd nie jest sprzątnięty, bo nadaje się wyłącznie na szrot.

Nie ma przepisów, które nakazywałyby właścicielowi lub spadkobiercy uprzątnięcie profesjonalnymi środkami mieszkania po zgonie. A ono po zabraniu ciała może pozostać w dramatycznym stanie, z zaszczniętymi kałużami krwi czy z robakami, które w końcu przepoczwarzają się w muchy. Wcześniej jednak mogą otworami na rury rozchodzić się po budynku. A płyny ustrojowe, które wyciekły z ciała, mogą przeciekać przez sufit. Tak bywa, ale spadkobierca może to zignorować.

Jeżeli mieszkanie jest uciążliwe dla innych lokatorów, sąd może wydać nakaz jego otwarcia i wezwania firmy specjalizującej się w sprzątnięciu funeralnym. Porządkowanie odbywa się wówczas pod nadzorem policji. Kiedy ślady po zgonie znajdują się w miejscach publicznych, np. w hotelu, w akademiku, na ulicy, w bibliotece czy w urzędzie, sanepid pilnuje, by jak najszybciej zostały one doprowadzone do porządku. Firma V-Twin-90 dostaje też takie zlecenia, choć Dariusz Paliwoda zauważa, że teraz zamówień na sprzątnięcie jest mniej, bo ludzie z oszczędności starają się sprzątać samodzielnie.

Czasem myśli, by to rzucić

Po zgonie naturalnym i szybkim zabraniu nieboszczyka sprzątnięcie nie jest nazbyt dokuczliwe. Choć dla

świadomość, że zginęli tam ludzie, była przytłaczająca. W każdej z piwnic znajdowaliśmy strzępy ciał, przypominające nieduże porcje tatara, które zbieraliśmy do słoików. Aby psychicznie wytrzymać tę straszną sytuację, znieczulaliśmy się alkoholem. A kiedy późnym wieczorem dotarłam na sylwestrową prywatkę do znajomych, dostałam na przyślawkę... tatara.

Wszystko to wydarzyło się wiele lat przed powstaniem pierwszej firmy zajmującej się sprzątnięciem po zgonach. Gdyby wówczas była taka usługa, bez wątplenia ja i moi sąsiedzi byśmy z niej skorzystali. Bo to dramatyczne wspomnienie powraca...

Jak pociąg rozjedzie człowieka, trzeba ciało wyciągnąć, skompletować.

Dariusz przyznaje, że bywały momenty, kiedy myślał o rezygnacji. Szczególnie gdy zlecenie było bardzo ciężkie, bo np. zwłoki były w stanie rozkładu i na dodatek rozniesione po ścianach. Wtedy zastanawiał się, czy we dwoje dadzą radę. Ale za każdym razem udawało się pokonać chwilową słabość. W ich wieloletniej działalności tylko dwa czy trzy razy klient zgłaszał jakieś reklamacje. I to dlatego, że akurat Dariusz podjął się pracy mimo choroby i nie był tak perfekcyjny jak zwykle. Innym firmom reklamacje zdarzają się znacznie częściej i nie zawsze są uwzględniane.

tak jak było w przypadku zamordowania w mieszkaniu profesora AGH w Krakowie, który został uderzony tępym przedmiotem. Zdaniem Justyny akurat w tym przypadku rodzina sama mogłaby sobie poradzić ze sprzątaniem, ale najbliżsi ze względów psychologicznych nie zdecydowali się na to. Pracownicy firm zajmujących się sprzątaniem funeralnym muszą mieć odporność psychiczną i nie mogą poddawać się emocjom. Sprzątanie po zmarłym

Ludzie lubią oglądać

W sprzątaniu po zgonach nie ma nic ekscytującego dla osoby postronnej. Ot, po prostu sprzątanie, tyle że wymagające specjalnych środków i procedur oraz zachowania ostrożności. Sprzątający są ubrani od stóp do głów w jednorazowe kombinezony, mają rękawiczki, okulary i maseczki. Wyglądają jak medycy, którzy zjawiali się na wezwanie do zakażonych covidem.

Pierwsza firma zajmująca się profesjonalnie sprzątaniem funeralnym powstała w 2003 r.

może trwać kilka godzin, ale i kilka dni. Od pracochłonności i skomplikowania operacji zależy opłata za usługę: od 900 zł – jak podają niektóre firmy – do kilku tysięcy.

Nie potrzeba koncesji

Swoich zmarłych chcemy widzieć jako ludzi pięknych. Po śmierci są myci, odświeżeni, ubierani, mają utrefione włosy i makijaż na twarzy. Raczej nie myśli się wtedy o procesach, które zachodzą w martwym ciele. Kupujemy piękne wieńce, eleganckie trumny albo urny. Śladów po zmarłych, nawet jeśli są to fragmenty ciała czy kałuże krwi, nie traktujemy z takim szacunkiem. I czasami próbujemy właśnie na sprzątaniu po śmierci zaoszczędzić.

Na polskim rynku funkcjonuje bardzo wiele firm, które zajmują się sprzątaniem po zgonie. W przeciwieństwie do państwa Paliwodów, którzy swoją działalność ograniczają do sprzątania po śmierci, prowadzą one bardzo szeroką działalność DDD, czyli dezynfekcję, dezynsekcję i deratyzację, a do tego dołączają sprzątanie po pożarach czy innych tragediach.

Branża sprzątania funeralnego jest nieuregulowana. Nie obowiązują żadne koncesje czy certyfikaty. Jeden z polskich balsamistów w ramach założonej przez siebie firmy szkoleniowej organizuje kursy w tym zakresie. Po ich ukończeniu uczestnicy otrzymują certyfikat, który nie jest dokumentem państwowym.

Rodziny zmarłych, których znalezione w mieszkaniu, rzadko chcą uczestniczyć w sprzątaniu funeralnym. Po pierwsze – to przeżycie emocjonalne, po drugie – dość nieprzyjemne. Jak mówią technicy od sprzątania miejsc po zgonach, mogły pozostać krew, fekalia, brzydki zapach. Nawet jeśli umierający nie krwawił, po śmierci z ciała wypłynęły płyny ustrojowe. Przebywanie w takim pomieszczeniu może się okazać niebezpieczne dla zdrowia, bo znajduje się tam wiele zarazków i teren jest skażony.

W mieszkaniu, gdzie znajdował się nieboszczyk, może nie być śladów krwi, za to będzie fetor. Usunięcie przykrego zapachu jest kluczowe dla rodziny, bo w przeciwnym wypadku nie można w lokalu zamieszkać czy go wynająć. A nie

sprzątające muszą przed nimi chronić szkodliwe śmieci.

Dezynfekcja mieszkania odbywa się w różny sposób. Może to być zamgławianie ULV, czyli tzw. zimną mgłą, o dużych kroplach, o średnicy od 10 do 50 mikronów. Inną metodą to dezynfekcja poprzez zamgławianie suchą mgłą. Ta ma średnicę od 0,5 mikrona. Kolejny sposób to ozonowanie. A nowsza metoda to mikrodyfuzja, która jest bezpieczna i skuteczniejsza od ozonowania.

W filmach czy serialach kryminalnych reżyserzy epatują widzów obrazami ofiar zabójstw czy samobójstw. Ale miejsce zgonu pozbawione zwłok nie jest obrazem atrakcyjnym dla widza. Takie miejsca pokazują filmy dokumentalne. W internecie można znaleźć filmiki nagrane w celach promocyjnych przez firmy sprzątające po zgonach. Ale można natrafić również na filmy nagrane przez stacje telewizyjne lub wideo-bloggerów, które pokazują przebieg sprzątania w autentycznych miejscach zgonu.

Teraz firmy wykonujące sprzątanie funeralne odmawiają stacjom telewizyjnym i dziennikarzom prasowym udziału w procedurze sprzątania po zgonie. Mówią, że rodziny nie życzą sobie rozgłosu, wykręcają się, że są zobowiązane do zachowania tajemnicy zawodowej. Mnie nie udało się namówić żadnej firmy na umożliwienie udziału w sprzątaniu. Dariusz Paliwoda też się nie zgadza na obecność dziennikarza, nawet

Sprzątanie po zmarłym kosztuje od 900 zł do kilku tysięcy.

jest to sprawa prosta. Zapach wnika we wszystkie przedmioty, które znajdowały się w pobliżu zwłok. Sprzątający muszą więc wynieść z mieszkania właściwie wszystko, z wyjątkiem dokumentów, począwszy od drobnych bibelotów, przez meble i dywany, na deskach czy panelach podłogowych skończywszy. Te przedmioty są gromadzone w kontenerach i przekazywane do profesjonalnej utylizacji. Zdaje się, że przed ich wywiezieniem w kontenerach próbują buszować poszukiwacze „skarbów”. Firmy

jeśli nie będzie miał ze sobą kamery. Nie chciałby, żeby mówiono o nich, że są hienami.

Jeden z filmów nagranych przez wideo-bloggerów i wrzucony przez autora na YouTube'a w styczniu 2018 r. do dziś obejrzało 1,7 mln widzów. Wydaje się to wręcz nieprawdopodobne, że ludzie ekscytują się takimi scenami jak sprzątanie funeralne. A jednak. Może gdyby z ekranu czuć było fetor rozkładających się zwłok, widzów byłoby mniej.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

Garnitur gości

Nietuzinkowi bywalcy Domu Literatów na Krupniczej

Jan Polewka

GRONO GOŚCI I BYWALCÓW

Domu Literatów i Klubu stanowiło pewien przekrój towarzyski łączący dawne, przedwojenne, a nawet młodopolskie echa z echem tułaczki wojennej, a potem pieśni masowej, która głosiła, że „to idzie młodość”. Ale w drugim rzędzie pojawiły się także przyszłe silne osobowości „patrzących na Zachód”, jak je po latach nazwał Ludwik Flaszen, sam do nich duchowo przynależny.

W stołówce i na wieczorach literackich najstarsi byli pisarze czasów moderny – Artur Górski, Ignacy Nikorowicz, Andrzej Rybicki, a obok nich baron Feliks Konopka, znakomity tłumacz o wyglądzie wiekańsko-cesarskim, i hrabia Ludwik

Na Krupniczej bywali też sławni profesorowie Juliusz Kleiner i Stanisław Pigoń oraz liczni młodszy poloniści, poczynając od Kazimierza Wyki, jego asystentów i najzdolniejszych uczniów: Jana Błońskiego, Andrzeja Kijowskiego i Konstantego Puzyny. Z UJ niemal codziennie bywał prof. Konstanty Grzybowski z żoną Krystyną, pisarką z rodu Esreicherów, i córką Renią, a razem z nimi rodzina Chwistków, czyli Olga, wdowa po Leonie, z córką Aliną i wnukami Jagną i jej bratem Antosiem Dawidowiczem, prawdziwym enfant terrible. Bywał z nimi także prof. Sylwiusz Mikucki, historyk i filozof, z żoną i nieodłącznym pieskiem.

Liczne było grono bywalców z kręgu teatru – dramaturdzy i krytycy: Henryk Vogler z żoną aktorką

najczęściej pojawiał się Jerzy Bandura, rzeźbiarz i profesor Akademii Sztuk Pięknych. Z malarzy na obiad przychodzili Józef Kluza z piękną żoną malarką Danutą, z muzyków Zygmunt Konieczny, Elżbieta Łukowicz-Stefańska i redaktor Andrzej Jaroszewski.

Na początku bardzo silna była grupa satyryków – Janusz Minkiewicz, Karol Szpalski i Marian Załucki, a czasem Józef Nacht-Prutkowski razem z Magdaleną Samozwaniec i Jan Izidor Sztudynger. Po nich, już z grona kolegów Tadeusza Kwiatkowskiego, pojawiali się Juliusz Kydryński, Jacek Stwora i Wojciech Żukrowski. I wreszcie Sławomir Mrożek, któremu niekiedy, jeżeli akurat pisał, obiady posyłało na poddasze w menażce, za pomocą sznura. Do Mrożka najchętniej zaglądał aktor i poeta Leszek Herdegen. Z architektem Paczowskim, fotografami i muzykami jazzowymi stanowili oni grono krakowskiej „złotej młodości”, czyli, za Flaszenem, „dzieci października patrzące na Zachód”.

Grono gości stanowiło przekrój towarzyski łączący dawne, przedwojenne, a nawet młodopolskie echa z echem tułaczki wojennej.

Hieronim Morstin. I niezwykle panie: Zofia Morstinowa-Starowiejska, Pia Morstinowa-Górska oraz najbardziej znana i podziwiana Zofia Jachimecka. Niekiedy, dzięki znajomości z Janiną Morkowiczową, pojawiał się Leopold Staff. A w ślad za nimi liczne literackie dwudziestolecie międzywojenne, do którego należeli główni mieszkańcy domu: Andrzejewski, Otwinowski i Gałczyński. Do tego grona zaliczali się dochodzący z zewnątrz Czesław Miłosz, Tadeusz Breza i Adolf Rudnicki. Wśród gości można było także spotkać Romana Brandstaettera, Władysława Dobrowolskiego i Witolda Zechentera, pisarza i przedwojennego dziennikarza koncernu IKC.

Romaną Próchnicką, Tadeusz Kuźliński i Wojciech Natanson, dyrektorzy Jerzy Ronard Bujański, Maria Bilińska i Mieczysław Kotlarczyk, a także aktorzy Teatru Rapsodycznego: Danuta Michałowska, Mieczysław Voit, Tadeusz Malak, Marian Cebulski, i Starego Teatru: Wiktor Sadecki i Jerzy Kaliszewski. Przez wiele lat stałymi gośćmi literackiej stołówki byli bardzo zaprzyjaźnieni z Ewą i Stefanem Otwinowskimi Wincetyna i Andrzej Stopkowie, zazwyczaj razem z cocker spanielem Filipem. Andrzej „Duszek” Stopka był już w tym czasie wybitnym scenografem, współpracującym stale z reżyserem Dejmkiem, a także autorem doskonałych karykatur ludzi sztuki i kultury. Wraz z nimi

GOŚCIE Z WIELKIEGO LITERACKIEGO ŚWIATA byli przez blisko 30 lat przyjmowani i gościnnie podejmowani na Krupniczej. Władysław Bodnicki odnotował tych najślawniejszych: „Związek podejmował w tej sali swoich gości zagranicznych, a były wśród nich takie znakomitości jak posiadacze literackich Nagród Nobla: Ivo Andrić, John Steinbeck, Jean-Paul Sartre, Heinrich Böll, Pablo Neruda, mniej wyróżnieni, lecz nie mniej znakomici pisarze, jak Paul Eluard, Alain Robbe-Grillet, Simone de Beauvoir, Romain Gary, Juliusz Benda, Roger Garaudy, Walentin Katajew, Sergiusz Michajłow, Eugeniusz Jewtuszenko, Konstanty Paustowski, Václav Řežáč, Robert Graves, Graham Greene,



Spotkania z najślawniejszymi przyciągały na Krupniczą tłumy – podczas wizyty Steinbecka publiczność zajmowała część ulicy.

Saul Bellow, Franciszek Halas i dzieciątki, jeśli nie setki innych pisarzy z całego świata. Obowiązek zajmowania się naszymi gośćmi zagranicznymi spoczywał przez całe lata na barkach Marii Traczewskiej, którą nazywaliśmy ministrem spraw zagranicznych naszego oddziału ZLP („Muzy na Krupniczej”).

Ostatnim noblistą, który w roku 1981 przybył na spotkanie z pisarzami i czytelnikami na Krupniczej, był Czesław Miłosz. Wistawa Szymborska po swym Noblu w roku 1996 przychodziła już tylko do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich na Kanoniczej. Spotkania z najślawniejszymi przyciągały na Krupniczą tłumy czytelników – podczas wizyty Johna

Steinbecka, oprócz wypełnionej po brzegi sali klubu, całe zaplecze lokalu i bliską część ulicy zajmowała publiczność, starając się usłyszeć przynajmniej głos pisarza. Podobnie było wiele lat później, kiedy prezes Jan Pieszczachowicz torował drogę do sali Miłoszowi.

Nie wszyscy z wybitnych gości spotykali się z czytelnikami. Najczęściej byli zapraszani na spotkania w gronie krakowskich pisarzy, połączone ze śniadaniem w stołówce-klubie. Mieszkańcy Domu Literatów mijali się z nimi w bramie, kłaniając się i uśmiechając gościnnie. Jan Polewka i Maciej Bober, wówczas licealiści, wracając ze szkoły, ujrzeni przed swym domem niezwykły sznur

samochodów: cztery luksusowe Citroëny DS, nazywane rekinami, z tabliczkami CD (Corps Diplomatique). Jeden z nich był znany w Krakowie, gdyż należał do konsulatu francuskiego, który zresztą mieścił się na Krupniczej pod numerem 5. Oglądając z bliska przeszklone czarne limuzyny, chłopcy zostali nagle odsunięci przez młodych Francuzów, pracowników ambasady. I w tym momencie z literackiej bramy wyszła para niewielkich wzrostem, ale wyraźnie opromienionych sławą gości: Jean-Paul Sartre i Simone de Beauvoir. W owych latach 60. książki i zdjęcia Sartre’a były już znane nawet licealistom, dlatego obaj odruchowo ukłoniли się... zyskując w zamian jedynie błysk oka autora „Muru” zza jego złotych okularów (ich profesorki od polskiego oburzały się: „jak możecie czytać takie świństwa”). Sznur citroënów odjechał komfortowo w stronę lotniska; było to kilka lat przed paryskim Majem ’68.

Wcześniej, w roku 1957, zdarzyła się na Krupniczej niezwykła wizyta młodego angielskiego reżysera Petera Brooka – za sprawą aktorki Haliny Kwiatkowskiej, która po spektaklu „Tytus Andronikus” w Warszawie poszła z dyrektorem Krzemińskim za kulisy, aby pogratulować Brookowi: „»Państwo z Krakowa? Jak się cieszę! Mam na jutro bilet lotniczy do waszego pięknego miasta, ale jest tam jakiś zjazd partyjny i nie ma dla mnie miejsca w hotelu«. Wtedy zaproponowałam: »Jeśli pan tylko zechce, to proszę do mojego domu«. Nie certoląc się, natychmiast się zgodził. Był jednak pewien problem. W nocy wyjeżdżałam z Warszawy prosto do Zakopanego, gdzie miałam nazajutrz dwa spektakle. Zadzwońiłam do męża, żeby wyjechał na lotnisko i zabrał Brooka do naszego mieszkania. »Zupełnie oszalałaś!«. »Ale on bardzo miły i bezpośredni«, uspokoiłam Tadeusza. Wróciłam z Zakopanego o drugiej w nocy, w pokoju zobaczyłam walizę i pozostawioną garderobę. Nie było ich obu do szóstej rano” (Halina Kwiatkowska, „Porachunki z pamięcią”).

Z dalekiego świata pojawiali się też inni goście zaprzyjaźnieni ►

z mieszkańcami. Witold Małcużyński, będąc w Krakowie, nocował u Kisielewskich; Eugenio Barba u Ludwika Flaszena, a Ludwik Zimmerer, zachodnioniemiecki dziennikarz, odwiedzał ludzi Piwnicy pod Baranami tak serdecznie, że wkrótce został pierwszym mężem Joanny Olczakówny. Gościem Haliny

i fajerwerkowych występów w Domu Literatów. Piwnicznianie trafili na Krupniczą w roku 1961, kiedy krakowskie władze wymówiły im na blisko trzy lata podziemia Pałacu pod Baranami. Pisarze przygarnęli ten bardzo literacki, z dzwonkiem Piotra Skrzyneckiego, a bezdomny kabaret za sprawą Hanny Mort-

Program, z jakim Piwnicznianie przybyli do Klubu Literatów, nosił tytuł „Siedem dziewczyn pod bronią”, a okres ten przeszedł do historii, od kiedy w roku 1962 w klubie zadebiutowała Ewa Demarczyk – odkrycie Zygmunta Koniecznego. W przyćmionych światłach, na małym klubowym podium pojawiła się po raz pierwszy „Czarna Madonna piosenki poetyckiej”. I „Grand Walse Brillant” Tuwima-Koniecznego, i „Tomaszów”, a potem Leśmian i Baczyński. W programie występowali też najważniejsi artyści Piwnicy: Dymny, Kwinta, Święcicki, Litwin i Obłóński, a wszystkiemu towarzyszyły prawdziwe race niezwykłego humoru – pod batutą, a raczej pod kierunkiem i pod dzwonkiem Piotra Skrzyneckiego.

Poświatowskiej bywał wysoki Amerykanin John, a Anny Brzozowskiej przystojny Norweg o imieniu Dag. W latach 80. i 90. w mieszkaniu Jana Polewki kilkakrotnie zatrzymywał się, zaprzyjaźniony także z Piwnicą i współpracujący ze Starym Teatrem, włoski reżyser i tłumacz Giovanni Pampiglione.

GRUPA KABARETU PIWNICA POD BARANAMI była głośna tak w sensie ich pierwszej sławy, jak

kowicz-Olczakowej, matki Joanny, i Tadeusza Kwiatkowskiego. W poprzednich latach, kiedy Joanna Olczak mieszkała jeszcze na Krupniczej, w jej mieszkaniu odbywały się spotkania i narady najważniejszych twórców kabaretu. Piotr Skrzynecki, Wiesław Dymny, Zygmunt Konieczny i Kazimierz Wiśniak byli tam bardzo częstymi gośćmi.



Fragmenty książki Jana Polewki *Dom pod wiecznym piórem. Leksykon legendarnego Domu Literatów w Krakowie*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2022

WIKING

PREMIERA
NA 4K ULTRA HD™
BLU-RAY™ I DVD

Film do kupienia na swiatksiazki.pl oraz w KSIĘGARNIE Świat Książki

PARTNERZY MEDIALNI



Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Kawa z dna

Spanie w teatrach ma swoją specyfikę. Nie śpiąc w teatrach, można się dystansować od nich, prowadzić na boku zwykłe, ludzkie życie. W wałbrzyskim teatrze im. Szaniawskiego część pokoiów dla realizatorów znajduje się nad biurami. Dlatego, schodząc rano w celu nabycia kawy w Żabie – z w pełni zaspą, bezmyślną twarzą, można się natknąć na energicznego dyrektora, pełnego werwy dramaturga czy np. czujną księgową. Osoby obdarzone długimi włosami mogą w tym przypadku próbować zasłonić twarz, spuścić głowę, narażając się na kolizję ze schodkiem nr 35. Wracając triumfalnie z kubkiem kawy – z twarzą nieco już na szczęście przewianą – można spotkać także reżyserkę, która, zerwawszy się (być może) przed siódmą, wydaje się młodsza i świeższa niż kiedykolwiek i dzieli się na schodach nowymi pomysłami na sceny. Czy

niemal nietknięte masła. Po ludziach zostają kasze, ryże i makarony. Podłużne szyszki kurkumy i do połowy tylko zjedzone awokado. Całkiem witalna rzodkiew, a nawet domowa sałatka oraz ciasta z cukierni. A cukiernie wałbrzyskie są słynne. Dlatego należy odwiedzić każdą. Najczęściej zaś warto zaglądać do tej ze smutną panią, która stoi – bardzo wysoka, z rudymi, kręconymi włosami – i popatruje zza szklanej lady. A jej kolczyki błyszczą jak zielone galaretki, waniliowe glazury, sześciennie kryształowy cukru. Do smutnej pani chodzimy zatem najczęściej, a tam dosłownie za grosze: słodkie suchary, rogalce z marcepanu, bułkocheleb. Rozśmieszamy ją.

Oczywiście na te fanty chodzi się w przerwie między próbami, które w prawie każdym teatrze trwają w cyklach 10.00-14.00 i 18.00-22.00. Czas wolny następuje więc w środku

pracy, między widelkami (z) pracy, po i przed blokami pełnymi pracy. Wszyscy myślą o tym, żeby wtedy się rozejść, odetchnąć od siebie nawzajem, przespać się porządnie albo do kogoś zadzwonić. Zniknąć w pokoju nad biurami i leżeć szczęśliwie i nieruchomo,

licząc drozofile na śliwkach. Ale po próbach pojawia się głód, trzeba gdzieś pójść, żeby go zaspokoić. Potem kawa, bo bez niej totalnie miazdzą nas górskie niże. Przy kawie – nawet jeśli pije się ją na ławce – ludzie zaczynają o sobie opowiadać. O sobie i swoich bliskich. Całkiem intymne rzeczy. Pojawia się zaufanie, jakie pamiętamy ze szkolnych wycieczek, kiedy wpadało się do pokoju Basi z VI c i nagle robiło się cicho. A każdy po kolei opowiadał, czego się boi najbardziej – i opowiada, jak to był w jednym pokoju z martwym ciałem i jakie to było uczucie.

Wałbrzyski rynek, zaczyna trochę padać. Nikomu nie chce się ruszać. Jest jeszcze tyle czasu, a od teatru dzieli nas tylko kilka kamienic, trzy cukiernie, Żabka i szewc. I dwie dziewczyny palące na progu. I starsza pani z błyszczącą spinką we włosach, i pan szukający najtańszej sałaty w mieście. I dziewczyna mówiąca do smartfona: „Kiedy będziesz?”. I sklepik ze starzyzną, przy którym scenograf zatrzymuje się pewnego razu i cieszy się, skacze: „Znalazłem kołowrotek! Znalazłem kołowrotek! Dokładnie taki, jakiego potrzebowałem!”.

**Nie wiem, gdzie jeszcze można żyć dostatnio bez portfela.
A to całkiem możliwe w teatrze.**

teraz już droga wolna? Można przenieść swoją twarz w rejony umywalki, gdzie zimna woda robi z niej człowieka? We wspólnej łazience łatwo spotkać kostiumologa, który w jedwabnym szlafroku i japonkach ma cię zapewne za jakiegoś lumpa, co nie potrafi zapanować nad twarzą. Wspólne siusiu, mycie zębów, ostatni łyk kawy z dna. I można zejść na próbę.

Wtedy pojawia się ta sprzeczność kategorialna: jestem w domu czy w pracy? Na stole leżą wczorajsze rzeczy: scenariusz, na którym ktoś napisał różowym, brokatowym długopisem: „Jebać kapitalizm”, zapomniany termos z zieloną herbatą, otwarta, na wpół zjedzona czekolada i teatralny kalendarz, gdzie każda premiera ma swój miesiąc i logo. Nasze logo to pas cnoty z dziurką w kształcie serca (robimy „Niewolnicę Isaure”). Prawdopodobnie moje rzeczy mogę znaleźć wszędzie: pod wspólnym prysznicem, w sali prób, w kuchni i w pokoju, w pokoju reżyserki itd. Nie mogę tylko znaleźć portfela. Nic dziwnego, został we Wrocławiu, na półce pod tytułem „Nie zapomnij wziąć!”.

Nie wiem, gdzie jeszcze można żyć dostatnio bez portfela. A to całkiem możliwe w teatrze. Co chwilę ktoś przyjeżdża i wyjeżdża, zostawiając we wspólnej lodówce słoiki pełne past z bakłażana, pudełka pęczniące od humusu czy ciecierczy,

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

BEZPŁATNY

NEWSLETTER



ZAPRASZAMY

Kto już się zapisał? Jeśli nie, można to zrobić na stronie tygodnikprzeglad.pl, podając swój adres e-mail lub dzwoniąc do redakcji, tel: 22 635 84 10 wew. 111.

Dostając newsletter, co tydzień otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGŁADU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach.

**BĄDŹMY
W KONTAKCIE!**



Olga Górska

Nie wszyscy pójdziemy do raju

Wydawnictwo Drzazgi, Czersk 2022



Już nigdy nie będzie takie-go lata. Lata miłości. Sentymentalna, osobista książka, w której są pierwsze czułości i rozczarowania, pierwszy alkohol i pierwszy seks, to nie żadne tanie *young adults*, jakich pełno na naszym pocracznym rynku wydawniczym. Że jest on, jaki jest, to nie gwiazd naszych win, ale wydawców. Jednak wbrew

tym trendom Drzazgi promują błyskotliwe debiuty. Po „Trucznach” Piotra Dardzińskiego mamy „Nie wszyscy pójdziemy do raju” Olgi Górskiej. Oczywiście jest tu trochę klisz i wtórności (katolickie wychowanie, bieda, życie na prowincji), lecz autorka broni się świetnym językiem i płynnością narracji. Duchologiczna wyprawa do lat 90. i następnej dekady jest także przenikliwą analizą klasowo-płciowej tożsamości i próbą opisu homoerotycznego pragnienia. Po tę lesbijską powieść drogi, love story czasów przełomu, warto sięgnąć.

Rafał Pikuła

ZASŁUCHAJ SIĘ



Slow
Under Everchanging Sky
Slowmusic

Świetna smoothjazzowa płyta, przy czym tego smooth absolutnie nie należy traktować wartościująco. To żaden „gorszy” jazz, tylko dlatego że bardziej przystępny, a melodie są chwytliwe, jak chociażby „Grasshopper”, i nastrojowe. Zresztą liderzy Slow: gitarzysta i kompozytor Tomasz Kaczmarczyk oraz klawiszowiec Krzysztof Wermiński, wcale od tego określenia się nie odżegnują. A jeśli ktoś życzy sobie „prawdziwszego” jazzu – proszę bardzo, oto naładowany energią „Bebop Baroque”. Coś dla siebie znajdą też miłośnicy etnicznych inspiracji, bo „Jemaa el-Fna” odwołuje się do brzmień Afryki Północnej – i atmosfery wielkiego bazaru w Marrakeszu. Trzeci w dorobku grupy album, czysto instrumentalny, jest więc zróżnicowany stylistycznie jak tytułowe nieustannie zmieniające się niebo, z muzycznymi pejzażami malowanymi gitarowymi i saksofonowymi improwizacjami na tle perkusji i klawiszy.

Aleksandra Pańko

Dzieci Katriny

reż. Edward Buckles Jr.,

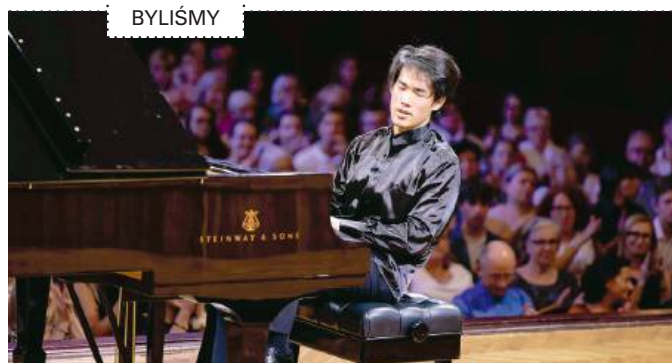
prod. USA, na platformie HBO Max



Nowoorleański filmowiec Edward Buckles Jr. miał 12 lat, gdy huragan Katrina uderzył w miasto. „Podczas takich katastrof – podkreśla reżyser – nie myśli się o czarnych dzieciach. W tym przypadku nie było inaczej. Nikt nie zapytał nas, jak sobie radzimy, więc ja pytam”. Bohaterowie dokumentu Bucklesa – mieszkańcy, którzy tak jak on pamiętają kataklizm z dzieciństwa – żyją potrzebą wykrzywienia tej tragedii. Ze słów ofiar Katriny wyłania się opowieść o zwyczajności w skrajnie niezwykłej sytuacji, z istotnym kontekstem rasowym. Ludzie, którzy potracili domy, nie otrzymali w porę pomocy. Ponieważ nie było ratunku, zaczęto przeszukiwać zniszczone sklepy. Media pokazały sprawę jasno: Afroamerykanie kradną i plądrują. Co więcej, problem stereotypizacji nie minął wraz z huraganem. Dzieci nie otrzymały wsparcia psychologicznego – system zostawił je na pastwę losu, a one zaczęły szukać dla siebie miejsca w lokalnych gangach. Nowy Orlean po Katrina obnaża szerszy problem instytucjonalny i strukturalny. To leksykon amerykańskiego rasizmu.

Mateusz Demski

BYLIŚMY

**Finał z Bruce'em Liu**

Cały Festiwal Chopin i jego Europa uznać trzeba za sensacyjny z powodu wyszukanego programu, markowych wykonawców i entuzjazmu publiczności. Ostatni koncert, legendarnego już zwycięzcy konkursu chopinowskiego, stanowił apogeum wydarzenia. Dowodem była kilkudziesięciometrowa kolejka fanów czekających na autograf na błękitnej płycie Bruce'a Liu. Artysta zagrał zjawiskowo „Koncert f-moll” patrona festiwalu oraz dwa bisy: z orkiestrą polonezowy fragment „Wariacji”, a solo jazzową, ragtime'ową improwizację „Dla Elizy” Beethovena. Owacjom nie było końca. Występ jest w internecie, a pewnie znajdzie się też na płycie.

Bronisław Tumilowicz

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

✉ Śmiechu warte

Wnikliwie, jak zawsze, deszyfruje Robert Walenciak rzeczywiste intencje Jarosława Kaczyńskiego. Ale dlaczego, pisząc o wyssanym z mlekiem matki lęku przed Niemcami, używa pierwszej osoby liczby mnogiej? Tysiące, a zapewne już nawet miliony Polaków pod tym się nie podpiszą. Doceniają wielki i szczerzy wkład obu stron w pojednanie, czytają niemiecką literaturę, ambitniejsi nie wyobrażają sobie myślenia o sensie świata i życia bez niemieckiej filozofii. Mają bogate doświadczenia osobiste. Wiedzą, że w razie globalnego konfliktu można na Niemców liczyć, doświadczyli tego w stanie wojennym.

Jak zwykle Kaczyński lekceważy te historyczne prace, nie dając w zamian żadnej głębszej myśli. Odzegnując się od Unii, zepsuł sądownictwo i energetykę, naraził na szwank polską przyrodę, skazał na cierpienia polskie kobiety. Jego walka z Unią jest w rzeczywistości walką z większością Polaków.

Może więc grubo się przeliczyć, jak to się stało z wyszydzeniem ludzi, którzy przyszli na świat bez jednoznacznego poczucia przynależności płciowej. Stanie przed publicznością, której odzewem będzie coś groźniejszego niż inwektywy – gromki śmiech.

Andrzej Lam

✉ Emerytów dwóch

Jak zwykle z zainteresowaniem przeczytałem tekst Attaché, tym razem o ambasadorku Selimie Chazbijewiczu i zaczynającym pracę w roli konsula



generalnego prof. Józefie Feliksie Tymańskim (PRZEGŁĄD nr 35). Profesora osobiście nie znam, ale znam jego publikacje. Należy je doceniać. I podzielam pogląd autora artykułu na kwestie znajomości fachu oraz te związane z wiekiem i koniecznością podróżowania po państwie o powierzchni 2,7 mln km kw.

Nasuwa mi się jeden wniosek: że w czasach PRL kształcono solidnie. Z uwzględnieniem uczelni resortowych. Pan profesor, co zresztą także doceniam, należy do bardzo dużej grupy absolwentów Wojskowej Akademii Politycznej im. Feliksa Dzierżyńskiego, którzy

w III RP zrobili błyskotliwe kariery naukowe (są nawet rektorami). Praca doktorska poświęcona tej problematyce byłaby hitem w państwie PiS. Prof. Tymański, jako oficer polityczny i znający problematykę Kościoła katolickiego (praca magisterska: „Inspiracje ideowe Kościoła katolickiego w Polsce w działalności NSZZ Solidarność z 1983 r.”), to potwierdza. Również recenzowanie w procesie habilitacyjnym wiceministra spraw zagranicznych nie stanowi raczej przeszkody. Tylko co z naszym rozeznaniem i sprawnością dyplomacji w zabezpieczaniu interesów Polski, o czym mówi w wywiadzie o nowym ładzie międzynarodowym prof. Bogdan Góralczyk?

Kazimierz Kraj

f Powstanie — rozdział otwarty

Dziś Polacy mają ten komfort, że mogą realizować swoją strategię za pomocą innego narodu. Pod tą strategią tworzą narrację, z której wynika, że żadnej innej drogi nie było. To przekłamanie. Podobnych



dopuszczamy się w sprawie własnych powstań, zakończonych w większości tragediami. Wyboru nie mieli Żydzi, dla których kierunek z getta był jeden. My w swojej masie mieliśmy inne wybory. Ale wolimy przelew krwi w takim momencie, w którym można go uniknąć i szukać rozwiązań mniej zadowalających politycznie, lecz zachowujących substancję narodową. Ktoś ten kraj przeciw musi budować i lepiej, żeby to był ten „kwiat” rzucony beżmyślnie do walki.

Michał Błaszczak

f Grubi do bicia

Cokolwiek mówić, obzarstwo jest wyborem. Borykamy się z tym od lat, jęzor wygrywa niestety z rozsądkiem. I wówczas resztkami tego rozsądku wołamy o tolerancję i plujemy na dyskryminację. Jest lepsza droga przecież: sport, mniej słodczy i mięcha, więcej warzyw. Wybieramy opcję mielenia jęzorem, dosłownie i w przenośni.

Jerzy Krawiec-Mostowiak



Niedawno na przystanku widziałam rodziców z dziewczynką w wózku. Mama pilnowała dziecka, tatuś smartfona. Dziecko chciało czekoladkę, to tatuś jeno warknął: daj jej. Po chwili ponowił polecenie. W ogóle ze sobą nie rozmawiali. I tak we troje zjedli całą tabliczkę czekolady. Mama, zapracowana pewnie, jeszcze szczupła, dziecko już ciut za pulchne. I o czym my tutaj piszemy? Moje wnuczki słodczy w rozsądnej ilości dostają tylko w niedzielę, a latem niekiedy lody. I są szczupłe.

Waleria Lubner

f „Zieloni” kontra „czarni”

Autor ciekawego skądinąd artykułu „Zieloni» kontra »czarni»” pisze o „zakręceniu kurka przez Gazprom”. Otóż Gazprom nikomu kurka nie zakręcił, to my



(obóz amerykański) nałożyliśmy na niego sankcje i zamierzamy całkowicie zastąpić rosyjskie surowce energetyczne. Rosja, wbrew temu, co sugeruje autor, w pełni wywiązuje się z kontraktów, a gaz jako broń wykorzystują ci, którzy przez lata ją o to oskarżali.

Wiktoria Bielec

W nowym numerze tygodnika „NIE”:
Polska powinna wypowiedzieć
Watykanowi konkordat. Prędzej
czy później, ale im prędzej, tym lepiej.



Konrad Malec

Przywykliśmy do statystyk, w których jesteśmy na ostatnim miejscu w Unii Europejskiej czy w innym gronie. A co powiecie na siódme miejsce w UE? W niektórych podkategoriach znaleźliśmy się nawet na podium, i to ze złotym medalem! Otóż prowadzimy pod względem importu trofeów z gatunków zagrożonych wyginięciem. Widać, jest prawdą, że naród pod rządami PiS bogaci się na potęgę i usiłuje dogonić Zachód, który odjechał nam w XIX w.

Od kilku lat nasi myśliwi są ostro krytykowani w związku z ich praktykami łowieckimi i uprzywilejowaną pozycją społeczną. Z punktu widzenia ochrony przyrody, ale też racjonalności gospodarczej, większość krytyki jest uzasadniona, a nasze łowiectwo powinno się zmienić, i to szybko. Jednak myśliwi psocą nie tylko na miejscu. W latach 2014-2018 Polska importowała 744 trofea myśliwskie, pozyskane z 36 ssaków wymienionych w konwencji waszyngtońskiej (Konwencja o międzynarodowym handlu dzikimi zwierzętami i roślinami gatunków zagrożonych wyginięciem, CITES). Konwencja zakazuje handlu zagrożonymi gatunkami, wskazuje odstępstwa od zakazu oraz reguluje obrót zarówno żywymi organizmami, jak i szczątkami. To ostatnie jest szczególnie ważne w odniesieniu do gatunków, którym przypisuje się magiczne moce, np. nosorożców, których róg ma leczyć wszelkie dolegliwości, zwłaszcza wspomagać erekcję.

Innym problemem, któremu ma przeciwdziałać konwencja, jest nielegalne pozyskiwanie i przemykanie dla kolekcjonerów i hodowców czy to żywych przedstawicieli fauny i flory, czy szczątków. Tego procederu dotyczą doniesienia medialne o zatrzymaniach na Lotnisku Chopina w Warszawie, rzadziej na innych przejściach granicznych, świadomych i nieświadomych przemytników.

Liczba trofeów wwiezionych do Polski może się wydawać niewielka, ale wywindowała nas na siódme miejsce w UE, która ogółem

Zagrożone i chronione zdobią ścianę

Polska prowadzi pod względem importu trofeów z gatunków zagrożonych wyginięciem



sprowadziła w tym okresie ok. 15 tys. trofeów. To dało nam jako Wspólnocie Europejskiej „prestiżowe” drugie miejsce. Na pierwszym znalazły się Stany Zjednoczone, które w latach 2005-2014 sprowadziły ok. 1,26 mln trofeów.

Duży problem dużych zwierząt

W epoce kolonialnej europejskie elity jeździły na safari i wracały ze skrzyniami dekoracji ściennych i podłogowych. W ich ślady podążyły elity amerykańskie. Nasi rodacy również wyprawiali się na safari, choć nieco rzadziej. Bezpośredniej eksploatacji poddana była niewielka powierzchnia Afryki, ale i tak zaobserwowano ubytek zwierzyny, przede wszystkim dużej. Zjawisko to opisał

w połowie XIX w. ornitolog Władysław Taczanowski. W jego czasach Afrykę zamieszkiwało ok. 12 mln słońi, w 2015 r. było ich ok. 415 tys.! Tylko w latach 2007-2016 w Afryce zabito ok. 110 tys. słońi, głównie dla kości słoniowej, przy czym w znacznej mierze było to kłusownictwo zorganizowanych grup przestępczych, ale motywem było trofeum – kość słoniowa osiągająca niebotyczne ceny na czarnym rynku.

Rzecz jasna, legalnie na słońie też polowano, mimo dramatycznego spadku ich liczebności. W tym czasie w Tanzanii liczba słońi zmniejszyła się o 60%, w Mozambiku o 62%. W innych krajach nie było tak źle, ale w wielu z nich rzeź miała miejsce wcześniej, więc niewiele zostało do pozyskania. We wschodniej

Afryce mamy do czynienia z bardzo małymi stadami, a co za tym idzie – rośnie ryzyko krzyżowania wsobnego, czyli rozmnażania się osobników blisko spokrewnionych. Chodzi o pokrewieństwo genetyczne – im mniej zwierząt, tym mniejsza liczba osobników zdolnych do rozrodu, a to z czasem prowadzi do bliskiego pokrewieństwa genetycznego. Mowa o gatunkach, u których samice w pierwszą ciążę zachodzą w wieku 14-20 lat, a odstępy między porodami wynoszą minimum cztery i pół roku! Odstrzał jest znacznie szybszy niż możliwości regeneracji stad. Wychowanie słonia trwa minimum 10 lat – jeśli małe straci w tym czasie mamę, jego szanse na przeżycie gwałtownie maleją. Poza tym samce żyją w osobnych stadach, w których młodzież jest pod kontrolą starszych osobników, a to oni często padają łupem łowców trofeów.

Można zapytać, w czym właściwie problem. Odstrzelimy kilka zwierząt, łowca zabierze skórę czy coś w tym guście, miejscowi zarobią – wszyscy będą szczęśliwi. Za przykład niech posłuży Botswana. W ubiegłym roku dzięki polowaniom na słonie kraj ten zarobił 2,3 mln dol. Taki obraz kreują duże firmy organizujące międzynarodowe polowania. Gros pieniędzy zostaje na ich kontach. Mityczne zasilenie miejscowej społeczności to w rzeczywistości kasa dla lokalnej władzy w formie opłat licencyjnych lub łapówek.

Innymi beneficjentami polowań dewizowych są latyfundiści, na których terenach również są organizowane polowania. Do zwyczajnych mieszkańców, przedstawianych jako przewodnicy, z obfitego strumienia gotówki nic nie płynie. Jeśli już korzysta się z miejscowych przewodników, płaci się im grosze. W Tanzanii kilka lat temu sprawdzono, jaka część pieniędzy wydanych przez myśliwych ostatecznie idzie na rozwój społeczności lokalnej. To 3%! Niewiele, nawet jak na listek figowy, a ponoć to jeden z lepszych wyników.

Afrykańska rzeczywistość? Tak, ale też zupełnie swojski obraz. Z polowań dewizowych słynęła PRL, a po rozszerzeniu UE w 2004 r. strumień

gotówki popłynął do Bułgarii i Rumunii, gdzie można było legalnie polować na wilki i niedźwiedzie. Nasi myśliwi lubią się w polowaniach na kamczackie niedźwiedzie, szczególnie w tamtejszych zakaznikach (forma ochrony przyrody na terenie byłego ZSRR, bardziej restrykcyjna, przynajmniej formalnie, od naszych parków narodowych). Do czasu napadów Rosji na Ukrainę Polska była pierwszym importerskim niedźwiedziom trofeów w UE, tuż za nami plasowali się Niemcy. Wcześniejsza aneksja Krymu i destabilizacja wschodniej Ukrainy nie przeszkadzały w dalekowschodniej realizacji pasji łowieckiej ani naszym myśliwym, ani tym zza Odry i Nysy.

Drugim w kolejności trofeum przywożonym ze Wschodu są szczątki wilków. W tej konkurencji także znaleźliśmy się na podium, choć tylko ze srebrem (złoto trafiło do Niemców). Oba gatunki podlegają w Polsce ochronie. Rosja była drugim kierunkiem wypraw łowieckich i choć chwilowo te eskapady ustały, większość łowieckich biur podróży nadal ma je w ofercie.

W latach 2014-2018 do Polski trafiły 744 trofea myśliwskie, z 36 ssaków wymienionych w konwencji waszyngtońskiej.

Pierwszym celem była i jest RPA, gdzie poluje się na słonie, nosorożce, pawiany, guźce czy żyrafy. W ubiegłym roku dziesięciu łowców trafiło przed oblicze opolskiego sądu. Polowali legalnie na nosorożce białe. Wprawdzie to gatunek zagrożony, chroniony międzynarodowymi umowami, ale RPA dopuszcza polowania. Niedopuszczalny jest późniejszy handel rogami. A właśnie trofea polskich myśliwych trafiły do Wietnamu. Podobny proceder miał miejsce w Czechach, z tym że tamtejsze służby odzyskały wszystkie rogi. Naszym nie udało się odzyskać ani jednego.

Południowoafrykańskim hitem importowym dla naszych łowców są lwy. Zwierzę to należy do tzw. wielkiej piątki najbardziej niebezpiecznych zwierząt Afryki. Pozostałe cztery? Słoń, nosorożec, lampart i bawół.

Większość lwów sprowadzonych do Polski (tu ponownie mamy srebro) pochodzi z RPA. W tym kraju zostało ich jeszcze 10-12 tys. To niewiele, zważywszy na terytorium. Jednak nasi myśliwi specjalizują się w polowaniach na zwierzęta z hodowli zagrodowej (równie szkodliwej). To takie zoo, zwierzęta ogląda się na wybiegach, można pogłaskać lwiątko, nakarmić je, zrobić sobie selfie, a gdy maluch już podrośnie, zostaje wystawiony na strzał. Skóra należy do dzielnego łowcy, mięso trafi do restauracji, gdzie myśliwy skosztuje swojej zdobyczy.

Wyspy

Wychowani na dawnych książkach podróżniczych i współczesnych filmach przyrodniczych mamy poczucie, że w Afryce, Azji i Ameryce Południowej nadal są nieprzebyte obszary królowania dzikiej przyrody. Niestety, poza nielicznymi wyjątkami sytuacja tam nie różni się od europejskiej, niemal każdy skrawek nadający się do zagospodarowania został wykorzystany. Dzisiejszy zasięg

lwów, słoni, żyraf czy nosorożców to enklawy, oddzielone setkami, a niekiedy tysiącami kilometrów. Jeszcze żałośnie wygląda sytuacja indyjskiego podgatunku lwów – zostało mniej niż 500 osobników, zaledwie w jednym miejscu. Dawniej ich zasięg obejmował nawet południową Europę. Podobnie jest z innymi gatunkami dużych zwierząt. Słoń sawannowy (słoń afrykański kilkanaście lat temu został podzielony na dwa gatunki, tj. słonia sawannowego, zwanego afrykańskim, i słonia leśnego, zwanego afrykańskim słońcem leśnym, by odróżnić go od gatunku, który w Europie wybiłiśmy 4 tys. lat temu) zamieszkiwał niemal cały kontynent. Dziś można go spotkać na zaledwie 15% dawnego terytorium. Słonie leśne jedynie w pierwszej dekadzie bieżącego stulecia straciły 30% zasięgu! 70% słoni mieszka ▶

► poza obszarami chronionymi. To dobrze, bo daje szansę na zachowanie ciągłości występowania słoń i przepływ genów między zamkniętymi enklawami. Ale w takich miejscach są one bardziej narażone na odstrzał, choć nawet parki narodowe i rezerwy nie dają dostatecznej ochrony przed kulami.

Porozrywany zasięg prowadzi do powstania wysp, na których zwierzęta przetrwały. Każda taka wyspa pomieściła tylko część gatunków, które wcześniej znane były z ogromnych obszarów. Do tego zamknięcie w małych rewirach zwierząt, które naturalnie przemieszczają się po olbrzymich

często słyszę: „Ubiłem szesnastka, zaraportowałem jako kulawego, a medal będzie” (szesnastak oznacza, że na jednym z poroży było osiem zakończeń; taką ozdobą czerepu może się poszczycić jedynie samiec w pełni sił). Z tego powodu przez dziesięciolecia łosie w Polsce były wyłącznie badylarzami, czyli miały poroże o patykowatym układzie. Powszechnie znane poroże łosia, pełne w środku, zwie się łopatą, a noszący je byk – łopataczem. Łopatacze bardziej podobają się samicom i... myśliwym. Jak to się ma do deklarowanej przez myśliwych dbałości o kondycję hodowanych zwierząt?

Pomijając tę kwestię, że uczestnicy współczesnych safari nie zawsze są wyborowymi strzelcami, którzy trafiają w cel, zwyczajnie jest to kłamstwem. Doświadczony łowca trofeów nie strzela w głowę czy serce, ale w mniej wartościowe dla przyszłego eksponatu miejsce. Zwierzę dostaje w organy wewnętrzne i powoli się wykrwawia, czemu towarzyszy nie małe cierpienie. Coraz większa grupa łowców pragnie poczuć zew dzikości i (rzekomego) niebezpieczeństwa, używa więc łuków i innych mało precyzyjnych metod, co wpływa na wydłużenie cierpienia zwierzęcia przed zgonem. Czy w XXI w. jest to nam niezbędne do życia?

Hitem importowym dla naszych łowców są lwy.

przestrzeniach, nie tylko zakłóca naturalne procesy, ale i zmniejsza różnorodność genetyczną – wymiana genów następuje pomiędzy znacznie mniejszą liczbą osobników. Prowadzi to najpierw do wspomnianego krzyżowania wsobnego, a następnie do wymarcia gatunku.

Podobne kłopoty mamy na gruncie rodzimym. Wszystkie żyjące dziś żubry pochodzą od 12 osobników, które Polska wykupiła w okresie międzywojennym, a następnie udało się je rozmnożyć i wypuścić na wolność. Niestety, żubry żyją w kilku rozproszonych stadach w Polsce i paru w Europie. By skutecznie ocalić gatunek, należy stworzyć szlaki migracyjne pomiędzy enklawami w skali subkontynentu. Tyle naukowcy, konserwatywni politycy rozważają... wprowadzenie polowań na żubry!

Dorwać szefa

Na utratę genów wpływa również polowanie dla trofeum. Łowca nie strzela do pierwszego osobnika, który się nawinie, ale poszukuje okazałych. To najsilniejsze zwierzęta, o najlepszych genach – ich utrata znacząco osłabia eksploatowaną populację. Jednocześnie ubicie dużych osobników jest szczególnie atrakcyjne i premiowane. Organizacje łowieckie nagradzają taki wyczyn medalami. I nie trzeba szukać w Azji czy Afryce, w rozmowach z naszymi myśliwymi

Obiekty westchnień kasiastych łowców to często przywódcy stad. Stado, które straciło przywódcę, w najlepszym razie gorzej sobie radzi. Szefem zostaje mniej doświadczony osobnik, bo sama siła rzadko decyduje o przywództwie, ważniejsze jest doświadczenie, a nierzadko inteligencja. Nowy szef może nie znać najlepszych pastwisk albo słabiej chroni osobniki podporządkowane przed niebezpieczeństwami. Zabicie przywódcy skutkuje pojawieniem się nowego samca, który zaczyna od zabicia wszystkich dzieci w stadzie jako potomków poprzedniego szefa. W ten sposób przyspiesza możliwość zapłodnienia samic. To przypadek

Wilcze trofeum jest obiektem marzeń niejednego posiadacza sztucera.

najlepiej opisany u lwów. Nieraz stado po utracie przywódcy rozprasza się, a samotne osobniki, zwłaszcza duże drapieżniki stadne, gorzej sobie radzą, więc wpadają po małe co nieco na pastwisko bądź do zagrody, wydając na siebie wyrok śmierci. Zwykle dzieje się to u nas z wilkami (wilcze trofeum jest obiektem marzeń niejednego posiadacza sztucera, wielu nie oparło się pokusie).

Współczesne polowania są przedstawiane jako wysoce etyczne – jeden strzał i trup na miejscu.

Stop!

Importerami trofeów są państwa. To administracja państwowa musi wydać zgodę na wwóz do kraju trofeum objętego zakazem. W tym celu potrzebne są dokumenty potwierdzające legalne pozyskanie zwierzęcia. Logistyka tegoż przedsięwzięcia jest długa i skomplikowana, chyba że ma się wiedzę, jak to zrobić. Dokumentację, zezwolenia na polowanie na miejscu, przewóz itp. załatwia biuro podróży. Wystarczy wsiąść do samolotu, ustrzelić upragniony okaz i wrócić, a krwawa pamiątka dotrze pod drzwi w oznaczonym dniu.

Państwo ma uprawnienia, by szkodliwy proceder powstrzymać. Niektóre już wprowadziły zakazy importu trofeów. Francja w 2015 r. zakazała importu trofeów lwich, w tym samym roku Holandia ustanowiła podob-

ny zakaz dla 200 gatunków, jednak Wielka Brytania ma zamiar zgarnąć pierwsze miejsce i zakazać importu makabrycznych pamiątek z ponad 7 tys. gatunków! Robi to konserwatywny rząd tego kraju, może i nasz się zdecyduje. Pomóc w podjęciu decyzji można, podpisując się pod apelem Humane Society International i 136 organizacji z całego świata na stronie: www.hsi.org/wspierajteraz. Z góry dziękuję.

Konrad Malec

0 tych, którzy mogą

Jest takie powiedzenie w MSZ, znane jeszcze z czasów Polski Ludowej, które zupełnie się nie zdezaktualizowało: „Co jest najważniejsze, żeby dostać awans lub dobrą placówkę? Dobre pochodzenie. Bo za wszystkim trzeba dobrze pochodzić”.

Dołożmy drugą część do tej mądrości – trzeba wiedzieć, do kogo ze swoimi sprawami się udać. A kto najczęściej może? Koło kogo najlepiej pochodzić?

Koło ministra Raua niekoniecznie, tu szafu nie ma, nie cieszy się on opinią osoby, która może w wyjeździe pomóc. A wiceministrowie? O Piotrze Wawrzyku już pisaliśmy, raczej ma wpływ na obsadę konsulatów, choć jedną ambasadę zaprotegował. Paweł Jabłoński... W MSZ naśmiewają się z jego parcia na szkło i mało bystrych komentarzy. Wielkiego poważania u Raua nie ma, więc i jego siła przebicia w sprawach kadrowych jest nieduża. Tak naprawdę może kogoś wcisnąć do placówek w Afryce i na Bliskim Wschodzie (tu – raczej teoretycznie). I w zasadzie tylko wtedy, gdy wzmacni jego głos KPRM. Ale kto w MSZ by się przejmował Michałem Dworczykiem? Więc co to za siła? Marcin Przydacz z kolei jest silny i słaby równocześnie. Przyszedł do MSZ z Kancelarii Prezydenta, jest zatem silny w kwestiach amerykańskich i bezpieczeństwa. I pilnuje spraw Dudy. Ale poza nie wychodzić za bardzo nie może, bo tego z kolei pilnują wszyscy pozostali.

W tej sytuacji dobrym szerpą może być Szymon Szynkowski vel Sęk. Przede wszystkim uważa się, że ma poparcie PiS, czyli partii rządzącej. Sam zresztą lubi opowiadać, że interesów partii pilnuje. Poza tym

podlegają mu placówki europejskie, a także nieoczywiste sprawy typu kontakty z Polonią albo polityka kulturalna – ma więc spore możliwości lokowania ludzi w miejscach nierzucających się w oczy, ale bardzo przyjemnych.

Nie sposób by było, pisząc o tych, którzy mogą w MSZ wiele załatwić, nie wspomnieć o Małgorzacie Gosiewskiej, obecnej wicemarszałek Sejmu. Gosiewska to zakon PC, to przełożenie na Nowogrodzką, powstać w partii ważna. No i przy okazji fanka zagranicznych wyjazdów i wizytowania ambasad. Jak podały media, od początku 2021 r. zadeklarowała 17 delegacji, w których spędziła... dwa miesiące (61 dni)! Była w Mongolii, Gruzji, Kanadzie, Islandii itd. Na te podróże Kancelaria Sejmu wydała łącznie ok. 105 tys. zł.

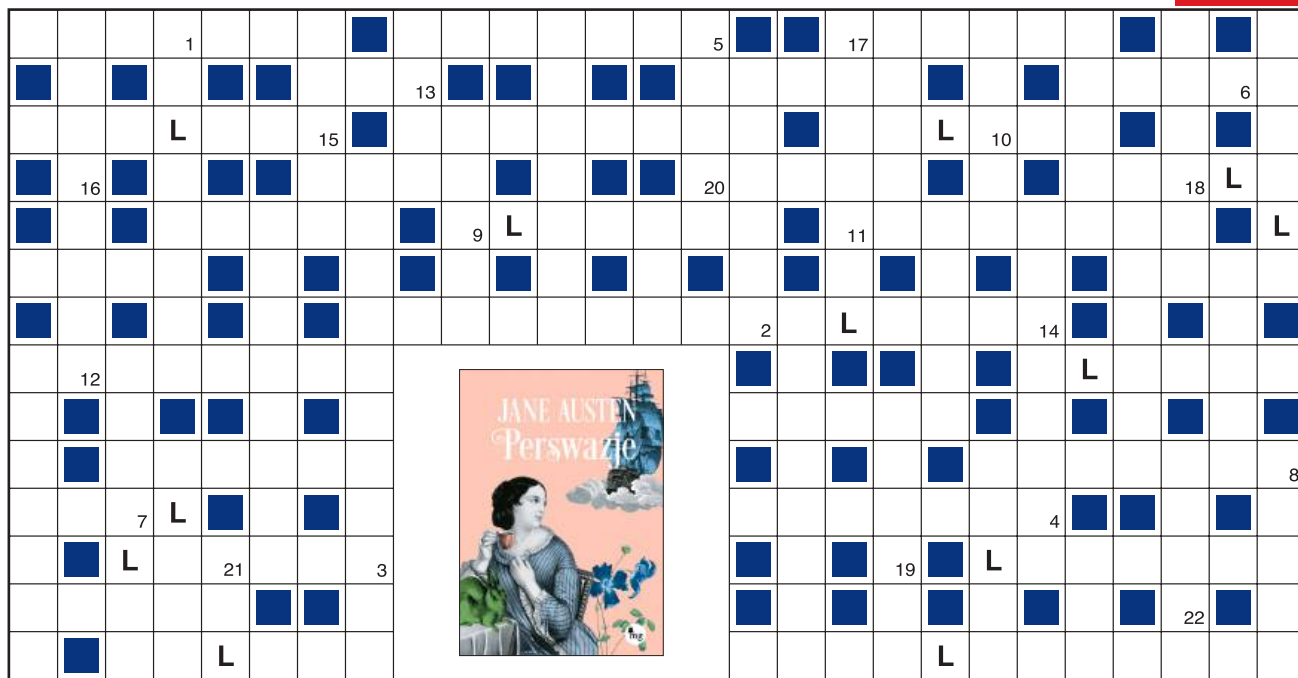
Jak ktoś jej wpadnie w oko – może liczyć na wsparcie. Jak ktoś podpadnie – źle z nim. Ba! Już za PiS mieliśmy w sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych sytuację, że posłowie PiS nie popierali kandydatów na ambasadatorów proponowanych przez ministra (z PiS). Tak poległ kandydat do Oslo, Tel Awiwu i Brukseli (NATO). W ten sposób Gosiewska, która w komisji wywalczyła sobie pozycję partyjnego komisarza, rozszerzyła gremium decydujące o obsadzie placówek. I do Kancelarii Prezydenta, KPRM i MSZ dorzuciła PiS.

Co piszemy ku wiadomości tych, którzy cierpliwie szykują się do przyszłorocznej rotacji, bo obecna już chyba zakończona...

Attaché

Kopalnia węgla kamiennego w Boriszalu w Bangladeszu. Robotnicy transportujący urobek na barkę zarabiają 3 dol. dziennie. Ciekawe, czy polskie spółki kupują również ten węgiel.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery L ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- sławny Dodek niezdobnie
- zabójstwo w nim czasem popełniane
- gdy ma się dowód, że było się gdzie indziej
- ...Gzężółka Gałczyńskiego
- pierwotniak, inaczej pelzak
- stolica Jordanii

- elektroda o potencjale dodatnim
- przedstawiciel plemienia z powieści Karola Maya
- zbiórka wszystkich uczniów szkoły
- kanonier lub ogniomistrz
- „...w Operze” Tuwima
- kwiatostany leszczyny, wierzby
- układacz kocich łbów

- w tym wieku chodzi do ósmej klasy
- pragnienie osiągnięcia celu, skłonność
- napój o właściwościach magicznych
- pracuj, pracuj, a sam ci wyrośnie
- przegowane lub białobrode – antylopa
- i tytuł arystokratyczny, i wykres
- stolica nad Rzeką Czerwona
- imię córki Karwowskich
- dawniej księżna na Rusi
- ...Brytyjska – prowincja Kanady
- fioletowe od niej pola Prowansji
- Freudowski popęd seksualny
- stolica Hiszpanii
- gra o nazwie od portugalskiej kolonii w Chinach

- topiona na znak końca zimy
- dmuchany lub piankowy
- cytaty przed tekstem utworu
- ...pracy – przydzielenie zatrudnienia
- resztkę po produkcji
- poblizie, sąsiedztwo
- filmowy – nagradzany na Camerimage
- ...lizać – pyszne
- strzępywany okruszek, pyłek
- ocieniany stolik w ogródku lokalu
- święty, którego imię się dostaje
- dla niego zebra na jezdni
- tej liczbie odpowiada rzymskie D
- z konta na konto
- nazywana lwem górskim
- kuchenna do chwytania gorącego
- wozu rowerem
- gra w rzucanie gumowym kółkiem

- szuka żony w programie telewizyjnym
- obszar, rozległość, w całej... – całkowicie
- S, M lub XL
- szkolny lub terytorialny
- jedna z funkcji trygonometrycznych
- centrum odnowy biologicznej
- na nim rozmowy w dzień targowy u Brzechwy
- młode pędy bogate w asparaginę
- łopata, np. do odgarniania śniegu
- bardzo wolne – largo
- Łazienkowska
- lub W-Z
- gdy oczy nią zachodzą, zbiera się na płacz
- transmisyjny, meblowy lub strażacki
- werbowanie ochotników do wojska
- pieczenie w przetyku
- Złota, Srebrna, Brązowa – nagroda na Camerimage

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

.....

.....

.....

.....

.....

data, miejscowość

czytelny podpis

.....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1081”. Do rozlosowania książki „Perswazje” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązania można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 11 września 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1078” z nr. 34: *Stare grzechy mają długie cienie.* Nagrody otrzymują: Bogusława Adamczyk z Knurów, Elżbieta Sieradzka z Mińska Mazowieckiego, Aleksander Tatarczuch z Katowic.

PENETRACJE



**PROF. ANDRZEJ
WERBLAN,**
POLITYK, UCZONY

Afera Rywina bardzo zaszkodziła wizerunkowi SLD. Wbrew jednak potocznemu mniemaniu nie ona spowodowała upadek polityczny tej partii. SLD poniósł polityczną klęskę nie z powodu afer, w które był uwikłany, lecz dlatego, że prowadził błędną politykę socjalną i dopuścił do pogorszenia materialnej sytuacji połowy ludności kraju. Stracił poparcie znacznej większości ludzi pracy. Doświadczenie rządowe PiS świadczy dowodnie, że takie poparcie czyni rządzących odpornymi na konsekwencje afer. PiS ma ich dużo więcej niż SLD. Lud wiele jest w stanie wybaczyć tym, którzy dbają o jego położenie materialne.

**DZIENNIK
GAZETA PRAWNA**

**GRZEGORZ
JARZYNA,**
DYREKTOR ARTYSTYCZNY
TR WARSZAWA

Teraz wiem, że gdybym w wielu sytuacjach zachował się jak typowy dyrektor zarządzający zespołem teatralnym i po prostu wręczał nagany pracownikom, a nie tylko koleżeńsko zwracał uwagę, to sytuacja mogła się potoczyć inaczej. Moim zdaniem kryzys w tym teatrze zaczął się wtedy, kiedy poprosiłem jednego aktora, by następnym razem nie wychodził pijany na scenę.



**JERZY
SKOLIMOWSKI,**
REŻYSER

Malarstwo uratowało mnie, wyciągnęło z głębokiego kryzysu, bo od wielu lat nie robiłem już filmów i zaczęło mi brakować pieniędzy na życie. Na szczęście malowanie dosyć szybko przyniosło mi korzyści materialne, w czym pomogli też przyjaciele, bo pierwsze moje obrazy zostały zakupione przez wybitnych klientów, że wspomnę tylko Jacka Nicholsona czy Dennisa Hoppera, którzy nabyli po kilka moich obrazów, co na jakiś czas dało mi środki na życie. Szukałem własnego stylu, który bardzo zabawnie określiła Krystyna Zachwatowicz jako taszyzm figuratywny.



**KATARZYNA
ZDZIEBŁO,**
WICEMISTRZYNI ŚWIATA
I EUROPY W CHODZIE
SPORTOWYM

Skończyła pani medycynę.

– Bardzo trudne studia. Kontynuuję rodzinne tradycje – mama jest lekarzem rodzinnym, tata chirurgiem, brat stomatologiem, medycynę studiuję też siostra. We wrześniu ub.r. zdałam państwowy egzamin lekarski. Obecnie, by uzyskać pełne prawo wykonywania zawodu, odbywam w szpitalu w Rzeszowie 13-miesięczny staż. Dzisiaj jestem czynną sportsmenką i to jest dla mnie najważniejsze.



Patriotyczne ławki rządowe. Pojawiły się z inicjatywy kancelarii premiera już w kilku miastach (nz. Poznań). 15-punktowy regulamin określa szczegółowo, w jaki sposób z nich korzystać.

Aby język giętki...

**WOJCIECH SADURSKI
O ANDRZEJU DUDZIE**

Mieć durnia za prezydenta – niedobrze. Mieć chama za prezydenta – niedobrze. Mieć durnia i chama za prezydenta – straszny pech.

**TOMASZ SEKIELSKI
O ZBIGNIEWIE ZIOBRZE**

Nawet samobójstwo Barbary Blidy nie skłoniło go do głębszej refleksji nad stylem uprawiania polityki.

ANDRZEJ SEWERYN O TEATRZE

Kiedyś się myślało, że teatr robi się, żeby ratować ojczyznę. A ojczyzna dała sobie radę bez nas.

**ALFRED ANDRYS O ŻONIE
GRAŻYNIE BARSZCZEWSKIEJ**

Czekam na chwilę, kiedy wejdzie do domu i powie: „Boże, jak ja się za tobą stęskniłam”, a nie: „Jezu, jaka jestem głodna”.

**BARTOSZ KRAEK
O TOMASZU SAKIEWICZU**

Paszkwilancki recydywista, który od lat posługuje się oszczerstwem i kłamstwem za publiczne pieniądze. Jest modelem funkcjonariusza partyjnego udającego niepokornego dziennikarza.

**AGNIESZKA GROCHOWSKA
O KRYZYSACH**

Lubię, tak jak Chińczycy, patrzeć na kryzys jako na szansę.

JOANNA KULIG O REŻYSERACH

Aktorka to nie jest rekwizyt na planie. Reżyserowanie nie polega na manipulowaniu, używaniu drugiego człowieka.

JERZY STUHR O TOMASZU KOCIE

Nie ma nabożnego stosunku do aktorstwa, nie uprawia go na kolanach. Dla niego to nie mistyka, a zabawa.

**DOROTA POMYKAŁA
O ILUZORYCZNEJ WOLNOŚCI**

W naszej rzeczywistości jesteśmy nastawieni na to, że ma nam być lekko, łatwo i przyjemnie. Najlepiej szybko i za darmo.



Do zakochania jeden mem

Popularność zaczyna zdobywać aplikacja Schmooze, która wstępnie łączy ludzi w pary na podstawie ich poczucia humoru. Swatanie opiera się na tym, jakie memy szukający miłości uznają za zabawne. Za całym przedsięwzięciem stoi Vidya Madhavan, którą z jej przyszłym mężem połączyło wymienianie się humoreskami drogą mejlową. Aplikacja ma standardowe funkcjonalności, takie jak informacje o użytkownikach i ich zdjęcia, ale bardziej ekscytująca jest możliwość sprawdzenia, poprzez które memy algorytm sparałoby nas z daną osobą. Wówczas pozostaje już tylko decyzja, czy dobry żart randki wart!

O cholera, nawet tam dociera?

Już niedługo osoby podziwiające widoki z Kilimandżaro będą mogły się cieszyć także... szybkim internetem. Minister informacji Tanzanii Nape Nnauye poinformował, że kontrolowany przez państwo operator telekomunikacyjny objął już zasięgiem bezprzewodowej sieci obóz Horombo (3720 m n.p.m.), co zwiększy bezpieczeństwo turystów i tragarzy. Do końca roku ma zostać zapewnione połączenie ze szczytem Uhuru na wulkanie Kibo (5895 m n.p.m.), o czym zapewne marzą liczni miłośnicy efektownych selfie. W ich imieniu z góry dziękujemy!

Niejednemu kibicowi Fatih

W Turcji tysiące osób chcą zmienić personalia, by nazywać się tak samo jak legendarny trener klubu piłkarskiego Galatasaray. Gdy Generalna Dyrekcja ds. Ludności i Obywatelstwa umożliwiła składanie internetowych wniosków o zmianę imienia i nazwiska, wielu fanów piłki nożnej zapragnęło w taki nietypowy sposób oddać hołd Fatihowi Terimowi, który w 2000 r. zdobył z drużyną ze Stambułu Puchar UEFA, pokonując w finale londyński Arsenal. Niestety, nie ma pewności, czy marzenia kibiców się spełnią – złożone wnioski będą oceniane m.in. pod kątem zgodności z „ogólnymi zasadami moralnymi”. A teraz ręka w górę, komu przeszło przez myśl, by nowo narodzonej córce dać na imię Gadocha, względnie synkowi – Piechniczek.

Uwaga, przebój!

Raymond Chen z koncernu Microsoft ujawnił, że jeden z przebojów Janet Jackson niszczy sprzęt komputerowy. Utwór „Rhythm Nation” zawiera dźwięki o niefortunnej częstotliwości, w związku z czym odtwarzany przez głośniki laptopa powoduje drgania określonych modeli twardych dysków, co skutkuje utratą danych, a czasem wręcz nieodwracalnym uszkodzeniem nośnika pamięci. Co ciekawe, awariom mogą ulec także dyski w komputerach znajdujących się w pobliżu urządzenia odtwarzającego hit z 1989 r. Znajdą się wśród was odważni, żeby go sobie odświeżyć?

Strażak bez naklejek jak szewc bez butów

Rozbudowana remiza Ochotniczej Straży Pożarnej w Gorenicach pod Olkuszem od kilku miesięcy nie może zostać otwarta, gdyż... nie spełnia przepisów przeciwpożarowych. Wśród uchyleń stwierdzonych przez zawodowych strażaków są m.in. nieposiadające atestów drzwi przeciwpożarowe oraz brak naklejek z kierunkiem ewakuacji. Z niektórymi kwestiami, takimi jak zbyt wysokie stopnie na klatce schodowej, nic się nie da zrobić, dlatego „państwowi” koledzy zaproponowali druhom rozwiązania zamienne. Olkuski urząd miasta i gminy zapewnia, że gorenicka remiza zostanie oddana do użytku do końca listopada. Ponieważ

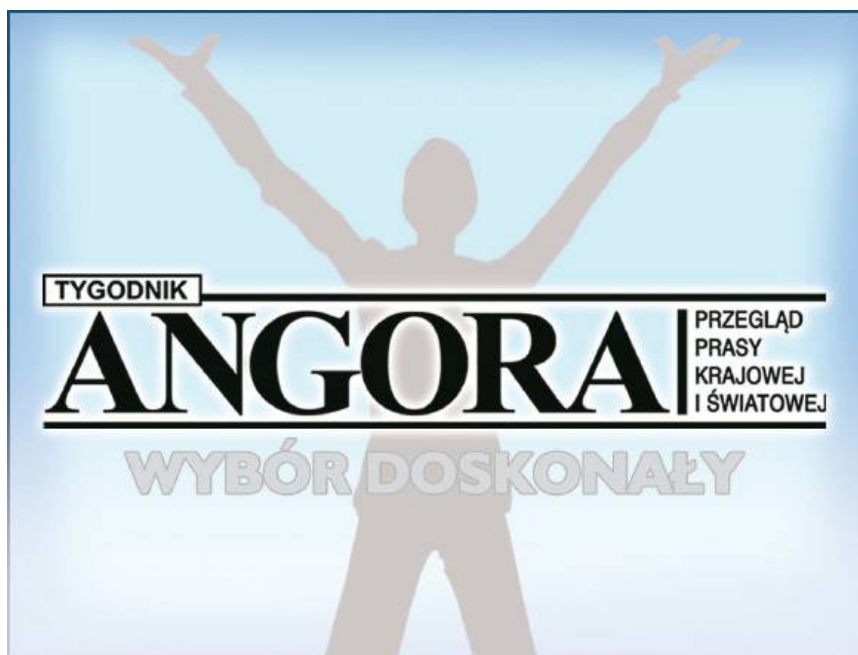


Gdy sytuacja niepewna, najlepiej zdać się na rodzica. Samiec długoszpona, wyczuwając niebezpieczeństwo, zagarnia latorośle pod swoje skrzydła.

z tzw. części bojowej, potrzebnej do wyjazdów na interwencje, cały czas można korzystać, ciśnie się na usta: spokojnie, nie pali się!

Do dna? Oby nie

Duński koncern Carlsberg w oryginalny sposób przypominał mieszkańcom Szwecji o zagrożeniach płynących z picia alkoholu na morzu, co jest w tym kraju przyczyną ponad połowy wypadków śmiertelnych na łodziach. Tuż za głównym moło miasteczka Smögen firma otworzyła podwodny bar, symbolizujący miejsce, gdzie na ostatnią kolejkę mogą trafić żeglarze „pod wpływem”. Lokal wyposażono m.in. w szynkwasy, kraniki z piwem bezalkoholowym, krzesła i neony. Krytycy kampanii nie mają wątpliwości: ten pomysł nie mógł powstać na trzeźwo.



FOT. MEMY GORSZEGO SORTU, PACZAIZM.PL, POLSKA ORKA POLITYCZNA, SEKCJA GIMNASTYCZNA, EAST NEWS

eprasa.pl 2f1f3e1012



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),

Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),

Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek,

Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków),

Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),

Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,

Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,

Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),

Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,

Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,

Beata Znamirowska-Soczała (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczkowski,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbełka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzytary: Magdalena Gluska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruk po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszów, ul. Pułtusa 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





ZIEMIA

Inspiracje do cyklu „Ziemia” artysta i raper Maksym Fedirchuk, absolwent Wydziału Sztuki Uniwersytetu Rzeszowskiego, czerpał, jak mówi, z telewizji lokalnej w rodzinnym miasteczku – Gródku Podolskim, „W reportażach z miasta oraz gminy zauważam interesujące kompozycje. W odcinkach wiadomości ludzie często debatują z władzami miejscowymi lub kłócą się o miedzę z sąsiadem, zapominając o kamerze. Na ich twarzach, w gestach rysują się emocje. (...) Moim celem było uchwycenie życia codziennego rodaków ze szczególnym pochyleniem się nad trudami, których doświadczają. Z czułością i z szacunkiem przyjmując ich rzeczywistość. Mam nadzieję, że atmosfera ukraińskiej prowincji oraz to spojrzenie uczyniły się również innym”.

Dobre Miejsce w Warszawie
Galeria Krużganek, ul. Dewajtis 3
wejście A
do 26 września





Olimp

REŻ.

KOŚCIELNIAK

WOJCIECH

NA MOTYWACH ODYSEI HOMERA

PREMIERA:
30 WRZEŚNIA

GRAMY:
1-5 PAŹDZIERNIKA



WWW.TCN.AT.EDU.PL

AGATA BUZEK W PEŁNYM TAJEMNIC MYSTERY DRAMACIE

ILUZJA

FILM MARTY MINOROWICZ

W KINACH OD 9 WRZEŚNIA

